R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

ANDRÉ SIMONE

*

LUDZIE KTÓRZY ZDRADZILI FRANCJĘ

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit.

ANDRÉ SIMONE

LUDZIE KTÓRZY ZDRADZILI FRANCJĘ

• KSIĄŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1949

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit.

„Książka i Wiedza", Warszawa
Printed in Poland
Lipiec 1949 rok

*

Przełożył
RYSZARD MATUSZEWSKI

*

Okładkę projektował
Jan Lenica

6942/2

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ekon. Polit.
L. inw. 4685

D-04109
Tłoczono 10.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza" w Łodzi
Obj. 16,25 ark. Papier dziel. mat. 80 g, 61.86 cm
Zam. nr 1051. Oddano do składu 19. IV. 49. Druk ukończono 20. VII. 49.

PRZEDMOWA

Znowu ukazują się na arenie politycznej ludzie, o których mówi w swej książce André Simone i którzy są odpowiedzialni za najbardziej upokarzające wydarzenia w naszych dziejach. Tak jest niestety — ludzie w rodzaju Queuille'a, Reynauda i Delbosa decydują teraz o losach Francji; raz już doprowadzili ją do katastrofy i znowu zmierzają w tym samym kierunku.

Dlatego też trudno znaleźć książkę bardziej aktualną niż ta monografia okresu, który powinien należeć do niepowrotnej przeszłości. Skoro reakcja pragnie, żebyśmy po raz drugi przeżyli to samo, warto przypomnieć sobie te tragiczne lata i rolę, jaką wtedy odegrali ludzie powracający dziś do steru naszej polityki.

Książka André Simone'a była pomyślana jako prosty rejestr faktów, zestawiony przez dziennikarza. Napisana tuż po hańbiącej kapitulacji 1940 r., miała być i jest jedynie wierną relacją wydarzeń siedmioletniego okresu, który zaczął się po dojściu do władzy Hitlera. Dzisiaj, z perspektywy czasu, moglibyśmy zapewne połączyć opisywane tu fakty w bardziej spoistą całość i dokładniej pokazać ich istotne przyczyny, dać jeszcze ostrzejszą ocenę niektórych osób i grup.

Miejsce, które w historii postępu zajmuje walka ludu francuskiego o ugruntowanie demokracji, występuje wyraźniej w świetle zwycięstwa odniesionego nad faszyzmem

i wynikłej stąd zmiany układu sił w polityce światowej. Widzimy już jasno, że to ta sama nienawiść do demokracji, która przybiera obecnie tak bezwzględne i podstępne formy, kierowała niegdyś zdrajcami sprawy narodowej, torującymi drogę do Pétaina i rządu Vichy. Nie możemy myśleć bez najgłębszego oburzenia o czasach, gdy klika zdrajców, obawiająca się, żeby lud nie doszedł do głosu, obróciła w niwecz jednomyślne poczynania wszystkich prawdziwych republikanów.

Simone pisze zresztą w tonie spokojnym, nie daje się unieść oburzeniu, lecz każe przemawiać faktom. Wystarczają one, aby zbudować miażdżący akt oskarżenia, oparty nie na uczuciach autora, ale na rzeczowej relacji o działalności ludzi, którzy przez dziesięć lat byli panami Francji, a teraz, wbrew historii i woli ludu, chcieliby na nowo odegrać tę samą rolę. Obiektywne przedstawienie wypadków mówi samo za siebie, a wstrząsający opis wydarzeń, z konieczności bardzo skondensowany w książce o niespełna trzystu stronach, rzuca jaskrawe światło na kulisy i sprężyny zdrady.

Charakterystyczną jest rzeczą, jak dalece w r. 1933 koła kierujące polityką Trzeciej Republiki zlekceważyły wydarzenie, które miało stać się brzemienne w następstwa dla polityki europejskiej. W zdumienie wprawia nas tępota ludzi decydujących wówczas o losach naszego kraju. Simone, opowiadając o reakcji ministrów na wiadomość o dojściu Hitlera do władzy, pisze: „W innym rogu pokoju radykalny socjalista Henri Queuille, były i przyszły minister rolnictwa, wypowiada tymi słowami swój niezwykle głęboki pogląd na tę sprawę: — Hitler objął władzę? Czyż to ma jakie znaczenie? I tak nie doprowadzi do tego, żeby Niemcy pili więcej wina".

Pan Queuille osądził ten zwrotny moment w historii Europy z punktu widzenia człowieka interesującego się zagadnieniem produkcji wina. Aż do chwili, kiedy potężny ruch ludowy, rozbudzony w obliczu niebezpieczeństwa faszystowskiego, uświadomi ich, jakie siły nurtują kraj, ci ludzie będą się przejmowali tylko swoimi prywatnymi interesami, w których

ciasnota umysłu walczyła o lepsze z ambicjami osobistymi. Nie dostrzegali interesów Francji, żyjąc sprawą własnej kariery, pozując na mężów stanu i drżąc ze strachu przed wszystkim, co nowe.

Zmiany na stanowiskach ministrów były jedynie tasowaniem kart, podziałem władzy między nieliczną ekipę manekinów, rozgrywających na ślepo partię, w której kto inny przesuwał pionki.

Jeśli bowiem rozmaitym Daladierom i Reynaudom wystarcza opinia ludzi czynu, inni, ukryci za ich plecami, są świadomi swych celów i naprawdę prowadzą grę. Przerażenie ogarnia na myśl, że polityka rządu Daladiera, utworzonego po dojściu do władzy Hitlera, została ustalona w rozmowie z takim reakcjonistą, jak generał Weygand, przyszły patron faszystowskiej organizacji kagulardów. W rozmowie tej premier nie potrafi sformułować najogólniejszego choćby zarysu programu, u generała natomiast widać zupełnie określoną orientację:

„Z punktu widzenia polityki dojście Hitlera do władzy ma według Weyganda swoje dobre strony. Francja, jego zdaniem, powinna odnieść się życzliwie do ruchu skierowanego przeciw komunistom niemieckim, którzy przedstawiają dużą siłę i zachowują się prowokująco. Rozrost komunizmu w Niemczech miał silny wpływ na Francję, gdzie według raportów kontrwywiadu, komunizm rozszerza się powoli, ale stale. Zduszenie komunizmu w Niemczech przyczyni się do osłabienia francuskiego ruchu komunistycznego."

Nie inną postawę widzimy w zarządzie Banku Francji i u dwustu rodzin, które tworzą i obalają gabinety. Motorem reakcyjnej polityki francuskiej jest antykomunizm, czyli obawa przed ludem, co już wtedy — rzecz znamienna — idzie w parze z zanikiem poczucia narodowego i w konsekwencji prowadzi do zdrady kraju.

Nic więc dziwnego, że w tej atmosferze podłości, w której rządy wysługują się po lokajsku wielkim trustom, spotykamy postacie groteskowe. Do nich należy Yvon Delbos, któ-

remu Front Ludowy powierza tekę spraw zagranicznych, gdy trzeba odbudować to, co zniszczył Laval, i który umie tylko kontynuować metody swego poprzednika. Do nich należy też Queuille, który w tragicznym czerwcu 1940 r. przechyla decyzję w kierunku kapitulacji. Obok tych żałosnych pajaców działają aferzyści z rodzaju najpodlejszych, jak fabrykant fałszywych dokumentów, Bonnet, idący pod rękę z Daladierem, Flandin, nadawca gratulacyjnych depesz do Hitlera, Pétain. Ci ludzie grali swe role za kulisami wszystkich gabinetów Trzeciej Republiki. Reynaud, udający męża stanu, a w rzeczywistości zajęty wyłącznie swymi interesami i wykonywaniem zleceń potęg finansowych, których jest posłusznym narzędziem — mając ratować naród, wzywa pomocy defetysty Weyganda i kagularda Pétaina, przez co przypieczętowuje ostatecznie zdradę ludu francuskiego. Wreszcie Blum. Blum, który doszedł do władzy z woli ludu i o którym Simone pisze: „Z jego stosunku do mas pracujących widać było, że jest od nich daleki i że nawet podświadomie gardzi nimi".

Szczególnie pouczającą lekturą jest rozdział: „Front Ludowy w akcji", gdzie autor opisuje ustawiczne wycofywanie się Bluma, jego lęk przed proletariatem, jego wieczne niezdecydowanie oraz haniebną i tragiczną politykę nieinterwencji, ukoronowaną następnie przez układ monachijski. Rozdział ten kończy się cennym wyznaniem Bluma, w którym ujawnia się sens całej jego polityki, prowadzącej do zdrady klasy robotniczej. Polityka, której naturalnym skutkiem jest powstanie trzeciej siły i jej całkowite uzależnienie się od imperializmu amerykańskiego: „Przyczyną naszej klęski nie były trudności finansowe, ani nawet niekorzystny wynik głosowania w senacie; żadna siła nie obaliłaby nas, gdybyśmy nie czuli, że klasa robotnicza nie słucha już naszych postanowień."

Należałoby właściwie przytoczyć całą treść książki Simone'a, gdyż z każdej jej strony bije w oczy coraz bardziej świadoma zdrada interesów ludu i Francji. W zetknięciu

z tak perfidną podłością ogarnia czytelnika uczucie obrzydzenia.

To są ludzie, którzy dziś wracają na arenę polityczną! Reakcja francuska znowu tasuje karty i od początku zaczyna partię. Schuman następuje po Schumanie, Queuille po Reynaudzie. Znowu polityka Francji steruje ku Monachium i zdradza interesy narodu. Kurs antykomunistyczny i antyradziecki jest dziś tak samo jak dziesięć lat temu motorem, który pobudza do działania reakcję francuską, i parawanem, za którym kryje się zdrada. Dziś, jak dziesięć lat temu, kandydat na dyktatora działa za kulisami i znajduje rząd, który podaje się za republikański w tym celu, by uprawiać swą własną politykę. Dziś, tak jak kiedyś marionetki, często splamione krwią, kierują naszymi losami, drżą ze strachu przed ludem, a równocześnie są niezdolni do rozsądnych i leżących w interesie narodu decyzji.

A jednak historia nie powtórzy się! W ciągu dziesięciu lat coś się zmieniło, i to coś zasadniczego. Dziś jest już bezcelowe rzucanie jak niegdyś kalumnii na Związek Radziecki i na socjalizm. Socjalizm wzrósł w siłę na całej kuli ziemskiej i jest nadzieją całego świata pracy. Imperializm amerykański na próżno straszy wojną i podporządkowuje sobie obce rządy. Narody już rozumieją. Nie pozwolą, aby powtórzyła się zdrada, której niedawno padły ofiarą. Naród francuski nie pozwoli, aby wola jego została znów sponiewierana. Nie da wyrwać sobie z rąk sprawy niepodległości, tak haniebnie zdradzonej przez gnijący kapitalizm, i coraz bardziej jest świadomy stawki, o jaką toczy walkę. Stworzy zjednoczony i silny rząd jedności demokratycznej, który go poprowadzi do dobrobytu i pokoju. W tym wielkim wysiłku, w tej nieustannej walce niezbędne jest zjednoczenie wszystkich sił postępu. Książka Simone'a wydatnie przyczyni się do tego.

Emile Bottigelli

(Cahiers du communisme, listopad 1948)

I

KAPITULACJA

Było to 16 czerwca 1940. Aż do późnego popołudnia nie zdawałem sobie sprawy, że jest to moja ostatnia niedziela we Francji. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Czyż nikt z tych, którzy przeżyli te złowieszcze godziny w Bordeaux, nie będzie mógł ich nigdy wymazać z pamięci?

Jako dziennikarz bez dziennika, przybyłem poprzedniego dnia do tego uroczego, starego portu. Antyczny Citröen pozwolił czterem z nas opuścić 11 czerwca Paryż. Wciśnięty w nie kończący się pozornie strumień pojazdów wszelkiego rodzaju — taksówek, autobusów, ciężarówek, wozów i motocykli, niewielki nasz wehikuł wlókł się z szybkością 15 kilometrów na godzinę. Co krok usiłowano nas zatrzymać, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Nie mieliśmy żadnej odpowiedzi dla przerażonych wieśniaków, którzy pytali nas, co będzie. Nie wiedzieliśmy, gdzie byli Niemcy, ani gdzie znajdowały się armie francuskie, ani nawet — czy istniały one jeszcze. Podobnie jak czterdzieści milionów Francuzów i Francuzek, nie zdołaliśmy jeszcze ogarnąć rzeczywistego znaczenia tego, co się wówczas stało. Nie wiedzieliśmy, czy nasz dziennik będzie mógł się ukazywać gdzieś na prowincji. Jedyną rzeczą pewną, o jakiej wiedzieliśmy, było to, że rząd Paula Reynau-

da wyjechał do Tours. Dlatego kierowaliśmy się w stronę Tours.

Potrzebowaliśmy 16 godzin, aby się tam dostać. Ulice nowej siedziby rządu były pełne uciekinierów. Pokoi wolnych w hotelach nie było. Dostanie czegoś do zjedzenia okazało się prawie niemożliwością. Spaliśmy w samochodzie.

Kiedy przybyłem do Tours, ofensywa piątej kolumny w łonie rządu i jego otoczeniu rozwinęła się w całej pełni. Jeden z członków gabinetu, którego spotkałem przed ratuszem, powiedział mi, iż generał Weygand utrzymywał stanowczo, że siłom nazistowskim nie da się przeciwstawić skutecznego oporu. W jego argumentacji na rzecz zawieszenia broni podtrzymywało go dwu wiceprezydentów, stary marszałek Pétain i przebiegły Camille Chautemps. Tego dnia minister ów oświadczył mi, że los Francji zawisł na włosku.

Oto, co mi powiedział: — Podczas posiedzenia gabinetu generał Weygand podniósł się gwałtownie i opuścił pokój. W kilka minut później szybko powrócił strasznie poruszony i wykrzyknął: — Komuniści zajęli Paryż! Rozruchy w całym mieście. Maurice Thorez jest w Pałacu Elizejskim! — Zażądał wówczas, aby wysłano natychmiast do Hitlera prośbę o zawieszenie broni: — Nie możemy zostawić kraju w rękach komunistów! Jest to nasz obowiązek wobec Francji!

Oświadczenie Weyganda wywarło, według mego informatora, głębokie wrażenie na Radzie Ministrów. Ale Georges Mandel, minister spraw wewnętrznych, poszedł natychmiast do telefonu i zawezwał prefekta policji w Paryżu. Odpowiedziano mu, że w Paryżu panuje spokój. Nie ma rozruchów ani żadnych walk ulicznych, ani dyktatury komunistycznej. Próba Weyganda, naśladującego chwyt z podpaleniem Reichstagu, spaliła na panewce.

— Ale na jak długo? — pytał z bólem minister.

Tak, na jak długo? Fala pogłosek ogarnęła hotele i kawiarnie, gdzie zbierali się politycy. Obszedłem kawiarnie na Grand-Rue. W ciągu godziny dowiedziałem się, że Niemcy będą tej nocy w Tours; że Anglicy zawarli zawieszenie broni

za plecami Francuzów; że Winston Churchill popełnił samobójstwo; że Paul Reynaud uczynił to samo; że Paryż stoi w płomieniach; że powstanie komunistów wybuchnie w ciągu kilku godzin; że się już rozpoczęło; wreszcie — wiadomość o niemałym znaczeniu, że Hitler zaofiarował Pétainowi honorowe warunki, z zachowaniem wszelkich form wojskowych.

W kawiarni Pierre Laval, były premier, rozmawiał z kilkoma ze swych przyjaciół. Twierdził, iż przewidział wszystko, co się stało. — Zawsze byłem za zgodą z Hitlerem i Mussolinim. Ta absurdalna polityka probrytyjska i ukłony w stronę Sowietów zgubiły Francję! — Zapewniał swoich słuchaczy, że gdyby poszli za jego radami, Francja byłaby teraz krajem szczęśliwym i żyłaby w spokoju.

Przerwał mu starszy pan w szarym garniturze zapytując: — Pan premier Laval? — Nim Laval zdążył odpowiedzieć, wymierzył mu policzek i znikł w ogólnym zamieszaniu, jakie powstało. Dowiedziałem się później, że syn jego, lotnik zginął na polu walki.

Taka była atmosfera w Tours, kiedy przybył tam Winston Churchill w towarzystwie lorda Halifaxa i lorda Beaverbrooka. Udali się do ratusza, gdzie czekali na nich ministrowie francuscy. Była to scena dramatyczna. W każdej chwili szala mogła przeważyć na rzecz kapitulacji Francji. Przedstawiciele każdej z grup wiedzieli, że spotykają się, być może, po raz ostatni jako sprzymierzeńcy. Wiedzieli, że kampania francuska została przegrana i że nie mogli przeciwstawić się biegowi wypadków na kontynencie. Ale rozważali zagadnienie, czy rząd Reynauda będzie kontynuował wojnę na wielkim obszarze francuskiego imperium z jego siedemdziesięcioma milionami mieszkańców; czy część armii francuskiej może być ewakuowana. Rozważali również sprawę dla Anglików najbardziej żywotną: czy flota francuska będzie nadal walczyła przy boku Anglii.

W owych dniach uzyskanie prawdziwych informacji było trudniejsze niż kiedykolwiek. Słyszałem różne wersje o prze-

biegu tego historycznego posiedzenia. Mówiono mi o straszliwej scenie między Weygandem a Churchillem. Ktoś inny opowiadał o zabiegach Chautemps, aby skłonić ministrów do zgody na zawieszenie broni. Trzeci twierdził, że kierownicy polityki brytyjskiej wykazali zupełne niezrozumienie sytuacji francuskiej i myśleli tylko o interesach angielskich.

Ale wszystkie wersje były zgodne co do jednego, zasadniczego punktu, że Reynaud żądał od Anglii zwolnienia Francji z obowiązku niezawierania odrębnego pokoju lub zawieszenia broni. Churchill odrzucił to żądanie, ale w jego odmowie nie było zwykłej pewności siebie i sprawił on na Francuzach wrażenie człowieka głęboko zaniepokojonego. W końcu ministrowie francuscy i angielscy powzięli zgodnie wniosek, że Reynaud winien zwrócić się z nowym apelem o pomoc do Stanów Zjednoczonych.

Dziennikarze otoczyli Reynauda, gdy opuścił salę posiedzeń. — Będziemy walczyli nadal? — pytali. — Naturalnie! — odpowiedział żywo, bardzo żywo, mały premier. Mam dotąd w uszach dźwięk jego głosu. Ale stała się rzecz dziwna: ogłoszono tekst apelu o pomoc, wysłanego przez Reynauda do prezydenta Roosevelta na kilka dni przedtem! Reynaud oświadczył w nim, że Francja, jeśli zajdzie potrzeba, będzie nadal prowadziła walkę w Afryce.

Wysoka osobistość z Ministerstwa Informacji wytłumaczyła nam, że opublikowano ten apel, aby zwiększyć nacisk na Stany Zjednoczone.

— Ale — zapytał jeden z moich kolegów — jeśli odpowiedź nie będzie zadowalająca, będzie to miało fatalny skutek moralny. — Oficjalna osobistość wzruszyła ramionami.

Rzecz ciekawa, niesposób było stwierdzić, kto był odpowiedzialny za publikację owego apelu: Reynaud czy Jean Prouvost, minister informacji, zwolennik zawieszenia broni.

Plotki zaczęły rosnąć. Koledzy angielscy powiedzieli nam, że w ich ambasadzie oceniano sytuację bardzo ponuro. Mówiono, że Churchill opuścił konferencję przekonany, iż kapitulacja była już tylko kwestią dni.

Ta piekielna niepewność i szarpiący nerwowy niepokój trwały jeszcze jeden dzień. Znów byliśmy w drodze. W drodze do Bordeaux, gdzie już w r. 1914 rząd francuski szukał schronienia przed armiami niemieckimi. W roku 1914 armie niemieckie nie dosięgnęły jednak Paryża. Armia Hitlera wkroczyła doń. Kiedy dobiegła wieść, że Paryż padł, nikt nie mógł wymówić słowa. Wsiedliśmy do samochodów i pojechaliśmy dalej. Padł na nas cień pokonanego Paryża. Paryż, miasto pełne radości i czaru w dniach przedwojennych, Paryż, smutny i posępny w czasie wojny, bombardowany, atakowany, okaleczony symbol woli narodu i pragnienia wolności, był w rękach hitlerowców.

W Bordeaux atmosfera była jeszcze bardziej naelektryzowana plotkami. Wpływ grupy Weygand — Pétain wzmagał się z godziny na godzinę.

Mer Bordeaux, Adrien Marquet, przeszedł w toku swej kariery politycznej od socjalizmu do faszyzmu. Był on obecnie rzecznikiem teorii, według której „nowa Francja" powinna współpracować z hitlerowcami, aby zlikwidować komunizm, demokrację i oczywiście — Żydów. Jego przyjaciel Pierre Laval oraz cały orszak stojących za nim i licznych jak nigdy polityków powtarzał jak gdyby chórem jedno zdanie: — Mussolini, którego znam jak własną kieszeń, nie pozwoli Hitlerowi być zbyt twardym w stosunku do Francji.

Zaufani Pétaina kręcili się po całym mieście i zapewniali, że stary marszałek był jedynym człowiekiem, który mógł uzyskać od Hitlera dobre warunki. „Bohater spod Verdun" miał odbudować nową Francję na gruzach Francji zwyciężonej, na obraz katolickiej Hiszpanii Franco.

Zwolennicy Pétaina, Marqueta i Lavala zgadzali się w wypowiedziach, że za klęskę Francji odpowiedzialni są: Front Ludowy, Rosja Sowiecka i Anglia.

Dziennikarzy angielskich uprzedzono w ich konsulacie, aby byli gotowi do opuszczenia kraju.

Opublikowany został nowy apel Reynauda do Stanów Zjednoczonych. Jego ton był przeraźliwie pesymistyczny: szef

rządu domagał się „chmury samolotów" i dodawał: — Gra idzie o życie Francji. Nasza walka, z każdym dniem cięższa, nie ma sensu, jeżeli prowadząc ją nie widzimy nawet z daleka rosnącej nadziei wspólnego zwycięstwa.

Znaki stanowiące zapowiedź kapitulacji? Dwu spośród ministrów przeczyło temu energicznie. Jeden z nich mówił: — Jutro zdecydujemy, gdzie zainstaluje się rząd, aby toczyć dalszą walkę.

Nazajutrz była niedziela, o której mówiłem. Ostatnia moja niedziela we Francji.

Niewiele osób spało tej nocy. Każdy wiedział, że decyzja zostanie powzięta w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Gabinet zbierał się trzy razy. Głównym tematem dyskusji była odpowiedź prezydenta Roosevelta. Na pierwszym posiedzeniu zwolennicy dalszej walki kurczowo trzymali się jednego zdania odpowiedzi, które mówiło: „Każdy mijający tydzień przyniesie zwiększone dostawy dla aliantów." Grupy Pétaina, które w debatach tych reprezentował przede wszystkim Chautemps, utrzymywały, że Roosevelt oświadczył również, iż nie weźmie bezpośredniego udziału w rozgrywce wojennej.

Mówiono, że pod koniec zebrania trzynastu ministrów było jeszcze zwolennikami toczenia nadal walki przeciw jedenastu zwolennikom opinii przeciwnej.

Na popołudniowym posiedzeniu Rady Ministrów przedstawiono angielską propozycję stworzenia wspólnego rządu francusko-brytyjskiego i na tych samych zasadach opartego parlamentu. Pod koniec tego posiedzenia większość członków rządu była nadal za kontynuowaniem wojny; trzynaście głosów przeciw jedenastu było jeszcze po stronie dalszego oporu. Jeden z ministrów powiedział mi, że powzięto decyzję przeniesienia rządu do Perpignan na granicy Hiszpanii. Stamtąd można było łatwo dotrzeć samolotem do posiadłości północno-afrykańskich.

To, co się stało w ciągu dwóch następnych godzin, pozostaje dotychczas jeszcze tajemnicą. Wiadomo jedynie, że w tym czasie odbyło się kilka rozmów o dużej doniosłości.

Szef rządu zamknął się z generałem Weygandem i swoją przyjaciółką, hrabiną Heleną de Portes. Wiedziano o niej, że jest przychylna kapitulacji.

Laurent Eynac, minister lotnictwa, który głosował za prowadzeniem nadal wojny, miał długą rozmowę z marszałkiem Pétainem. Camille Chautemps przyjął ministra aprowizacji, Henri Queuille'a. Obaj widzieli się z Albertem Lebrun, prezydentem republiki.

Trzecie posiedzenie Rady Ministrów zostało otwarte o 10 wieczorem i nie trwało długo. Wicepremier Chautemps nie tracąc czasu zażądał, aby zawarto natychmiast zawieszenie broni. Twierdził, że gdyby warunki były nie do przyjęcia, lud francuski toczyć winien dalszą walkę z największą zaciętością. Georges Mandel nie zgodził się z tym i oświadczył, że, skoro raz poprosi się o zawieszenie broni, żadnego żołnierza nie zmusi się potem na nowo do walki.

Charles Pomaret, minister pracy, podtrzymywał Chautemps występując z gwałtownym atakiem przeciw Anglii. Ybarnégaray poparł go, czyniąc przejrzystą aluzję do żydowskiego pochodzenia Mandela: „łatwo zrozumieć, dlaczego Żydzi chcą walczyć z Hitlerem nie myśląc o klęsce."

Marszałek Pétain i generał Weygand starym zwyczajem wskrzesili straszaka komunizmu. Prezydent Lebrun poparł ich.

Reynaud występował za przyjęciem oferty angielskiej, ale kilku ministrom wydało się, że jego argumentacjom brakowało siły przekonywającej. Po jego przemówieniu Chautemps ponowił swoją propozycję. I wtedy dokonał się przełom. Dwaj ministrowie, Laurent Eynac i Queuille, którzy aż do tego czasu należeli do zwolenników walki, przeszli do grupy Chautemps: większość została obalona.

Jeden minister socjalistyczny dołączył się w ostatniej chwili do kliki Pétaina. Zarządzono głosowanie: czternaście

głosów przeciwko dziesięciu było za kapitulacją. Rząd Reynauda został obalony, a na czele gabinetu francuskiego stanął Pétain w osiemdziesiątym czwartym roku swego życia.

Decyzję tę przyjęliśmy bez wstrząsu. W kilka godzin później ktoś zauważył, że widać przeznaczeniem starych marszałków było oddawanie ich krajów Hitlerowi. Taka rola przypadła Hindenburgowi w Niemczech, Pétainowi we Francji.

Jeśli w istocie takie jest przeznaczenie starych marszałków, to nad jego spełnieniem z niewątpliwym zapałem pracował Philippe Pétain. Urodzony w okolicy, gdzie ludzie odznaczają się krzepką budową i upartym charakterem, kształcił się w Saint-Cyr, w szkole, która wydała elitę francuskich oficerów. Na początku wojny 1914 miał pięćdziesiąt dziewięć lat i był dowódcą brygady piechoty w randze pułkownika. W jego kartotece personalnej znajdujemy notatkę: „Nie może awansować ponad stopień generała brygady." Żadna szczególna zaleta nie zwróciła na niego uwagi jego przełożonych. Podobnie jak Hindenburg w Niemczech, przed rokiem 1914 był uważany za przeciętnego wyższego oficera.

Po wojnie legenda związała jego nazwisko z Verdun, ale nie ustaje dyskusja, czy rzeczywiście był „bohaterem spod Verdun".

W r. 1917 ten poważny generał, o jasnobłękitnych oczach i typowo francuskim wąsie, stał się głównodowodzącym armii francuskiej. W szkole wojennej zalecał powtarzające się natarcia „wykonywane bez dalszego określonego celu". Obecnie nadarzała mu się sposobność wprowadzenia tej teorii w życie w gigantycznej skali. Ponosi odpowiedzialność za kilka ofensyw, w których poszczególne jednostki armii francuskiej szły na ogień niemiecki bez jakiegokolwiek wsparcia oddziałów zmotoryzowanych.

Te kosztowne ofensywy i nieumiejętność dowodzenia na najwyższym szczeblu wywoływały w armii francuskiej kryzys rozpaczy. Wybuchnął bunt, który Pétain stłumił; kazał w zbuntowanych pułkach rozstrzelać co dziesiątego żołnierza. Od tego czasu dla części Francuzów imię jego w wię-

kszym stopniu niż z obroną Verdun łączyło się z tym właśnie wydarzeniem.

Pod koniec wojny wycofał się z życia publicznego, ale pojawił się znów w r. 1925, wezwany celem uśmierzenia rewolty Riffa w Maroku. Jednym z oficerów jego sztabu w czasie tej kampanii był pułkownik de La Rocque.

Marszałek i pułkownik spotkali się w parę lat później, tym razem w Paryżu. De La Rocque był wówczas szefem Krzyżów Ognistych, organizacji byłych kombatantów, która przekształciła się w ligę faszystowską. Marszałek Pétain, z natury i wychowania związany z obozem francuskiej reakcji, oddał swój prestiż w służbę Krzyżów Ognistych.

Pétain był bohaterem tej organizacji. Kiedy po rozruchach w lutym 1934 roku został ministrem wojny w gabinecie Doumergue'a, przyczynił się do scementowania przyjaźni między ruchem Krzyżów Ognistych i dowództwem armii.

W tym właśnie gabinecie marszałek związał się z ludźmi, którzy mieli stać się twórcami rządu, sformowanego przez niego w r. 1940, po klęsce Francji: z Pierrem Laval, Adrienem Marquet, François Piétri i Henrym Lémery.

Krótki pobyt w Ministerstwie Wojny wpłynął w znacznym stopniu na wzrost zainteresowań politycznych marszałka. Od tego czasu nie przestawał mieszać się w codzienne życie polityczne Francji. Jest gorliwym katolikiem. Sposób jego myślenia określa szablon dyscypliny wojskowej. Od lat spędzonych w Saint-Cyr sympatyzuje ze sprawą rojalistów.

Strach przed komunizmem kazał mu pójść drogą, którą poszło wiele innych wysoko postawionych osobistości we Francji. On, który głosił teorię nieustającej ofensywy, w osiemdziesiątym roku życia stał się jednym z najgorętszych popleczników zbliżenia z Hitlerem, jednym z najzacieklejszych przeciwników sojuszu francusko-brytyjskiego i, oczywiście, nieprzejednanym wrogiem Związku Radzieckiego.

Kiedy generał Franco rozpoczął swe działania w Hiszpanii, marszałek Pétain stał się jego najaktywniejszym obrońcą w kołach rządowych. Franco był uczniem Pétaina w szkole

wojennej. Walczyli obaj przeciwko powstańcom w Maroko. Teraz sprzymierzyli się obaj przeciwko Francji.

Pétain był pierwszym ambasadorem Francji w Hiszpanii frankistowskiej. Pewnego dnia, gdy rozdzielał chleb wygłodzonemu ludowi na ulicach Burgos, tłum falangistów powitał go okrzykami: „Precz z Francją! Niech żyje Pétain!"

W Hiszpanii spotkał się z ambasadorem hitlerowskim Eberhardem von Stohrer. Stali się dobrymi przyjaciółmi. Pétain zgorszył wiele ludzi ze świata politycznego, kiedy we wrześniu 1939 r., podczas gdy Francja była już od miesiąca w stanie wojny z Niemcami, wymienił gorący uścisk dłoni z von Stohrerem przed historyczną kaplicą klasztoru Real de las Huelgas.

Nie był to jedyny kontakt z ambasadorem nazistowskim. W czasie całej wojny Pétain utrzymywał z nim stosunki. Pod koniec wojny stary marszałek trzykrotnie wysyłał do Paryża czynione ze strony Hitlera propozycje odrębnego pokoju, zaopatrując je ze swej strony w przychylne komentarze.

Tego rodzaju człowieka uczynił Paul Reynaud wicepremierem w maju 1940, kiedy armie niemieckie rozbiły francuską linię oporu pod Sedanem. Do gabinetu Reynauda weszli też i inni ludzie, którzy „obawiali się porażki Hitlera bardziej niż jego zwycięstwa". Do rządu Francji wprowadzono konia trojańskiego.

W Bordeaux Pétain, od chwili kiedy stał się szefem rządu, dwukrotnie telefonował do Madrytu. Raz do ministra spraw zagranicznych Hiszpanii, pułkownika Jauna Beigbedera, drugi raz do ambasadora Niemiec von Stohrera. W ten sposób w ciągu pierwszych 24 godzin od chwili dojścia Pétaina do władzy Hitler dowiedział się, że bitwa o Francję została zakończona. Kroniki filmowe pokazały, z jaką histeryczną radością powitał Hitler to wydarzenie. Miał po temu wszystkie powody, manewr Pétaina czynił Hitlera władcą Francji.

W ciągu pierwszych 24 godzin panowania Pétaina Georges Mandel został aresztowany. W chwili gdy siedział w Bordeaux

w kawiarni w towarzystwie pewnego generała i kobiety, zbliżył się do niego oficer, który oświadczył: — Mam przykry obowiązek aresztowania pana. — W parę godzin później Mandel został zwolniony. Kiedy Pétain wezwał go i wyraził mu swoje ubolewanie, Mandel odmówił podania mu ręki.

Marszałek wysłał do Hitlera emisariuszy celem przyjęcia warunków zawieszenia broni.

22 czerwca Trzecia Republika została oficjalnie pogrzebana w starym wagonie, w lesie koło Compiégne.

Pokój z Hitlerem został podpisany.

Zaczynała się era „Pracy, Rodziny, Ojczyzny",[1] era Hitlera i Pétaina.

Opuściłem Bordeaux w dwa dni po dojściu Pétaina do władzy. Podczas gdy statek mój pruł łagodnie grzbiety fal, w głowie mojej, jak w wielu innych, kołatała jedna myśl: „Do czego doszła Francja i jak się to mogło stać?"

Mam niezłomną wiarę w lud francuski. Wszystko, co uczyniono przed wojną, podczas niej i po niej, uczyniono poza jego plecami. Rządzący nim pozostawili go w nieświadomości, ponieważ mieli wszelkie powody bać się pełnego światła. Został zdradzony przez ludzi, dla których zdrada jest drugą naturą. Został poświęcony dla korzyści małej grupki ludzi, którzy mieli nadzieję przy pomocy Hitlera zachować swoje przywileje i potęgę. Ale jestem pewien, że dzień rachunku nadejdzie.

Lud francuski można zwieść, oszukać, zdradzić, ale niesposób go ujarzmić. Ani przy pomocy panów własnych, ani obcych.

Aby zrozumieć to, co naprawdę stało się we Francji, trzeba sięgnąć do dnia, w którym Hitler objął władzę w Niemczech. Dlatego moja historia rozpoczyna się 30 stycznia 1933 roku.

---

[1] Slogan Pétaina. — Red.

II

OD DOJŚCIA DO WŁADZY HITLERA DO ZAMIESZEK W PARYŻU

W złowróżbnym dniu 30 stycznia 1933, kiedy Hitler mianowany został kanclerzem Rzeszy, Francja była bez rządu. Na dwa dni przedtem dziewięćdziesiąty pierwszy gabinet Trzeciej Republiki, pod przewodnictwem Paul Boncoura — podał się do dymisji. W zmaganiach z dotkliwym zagadnieniem budżetu rząd ten usiłował zredukować pobory pracownicze o 5 do 6%. Wówczas, po ożywionej debacie, która trwała prawie całą noc, podzielił los wielu rządów poprzednich: o świcie został zgilotynowany.

Paryż przyjął wiadomość o dojściu do władzy Hitlera z dużym spokojem. W ów chłodny zimowy ranek paryżanie szli do swych zajęć jak każdego innego dnia. W godzinach popołudniowych kawiarnie na bulwarach wypełniał tłum rojny i gwarny, ale głównym wydarzeniem chwili, ważniejszym niż wszystkie inne, był stan interesów. Czasy były ciężkie i stawały się coraz cięższe. Ani Hitler, ani kryzys gabinetowy nie stanowiły głównego tematu rozmów i dyskusji.

Giełda paryska nie przywiązywała większej wagi do Hitlera. Z ostrożną rezerwą czekała na wiadomość o nowym rządzie francuskim. Wieczorne dzienniki starały się zbagatelizować dojście do władzy Hitlera; prześlizgiwały się nad tym,

że führer nazistowski głosił w Mein Kampf izolację i unicestwienie Francji, którą nazywał odwieczną nieprzyjaciółką Niemiec. Dzienniki francuskie starały się wytłumaczyć, że Hitler i dwaj inni ministrowie narodowo-socjalistyczni, którzy weszli do rządu niemieckiego, byli w istocie całkowicie zależni od większości „dobrych" konserwatystów, którzy ich otaczali, jak mówił grzecznie półoficjalny Le Temps, rzecznik sfer finansowych i wielkiego przemysłu francuskiego:

> Możliwe, że nowy kanclerz straci swe siły w tej grze i że jego ogromna popularność nie zdoła uniknąć zwykłego losu reputacji cudotwórcy, jaką mu narzucono.

Kuluary Izby Deputowanych były pełne niepokoju; deputowani nie tracili czasu na dyskusje o Hitlerze. Walka o miejsca w rządzie była bardziej aktualna. Mąż stanu, któremu prezydent republiki powierzył misję stworzenia nowego gabinetu, zgodnie z uświęconą przez czas rutyną składał wizyty lub telefonował do wpływowych polityków, którzy ze swej strony zapewniali wylewnie, że byliby szczęśliwi uczestnicząc w tworzeniu rządu. Deputowanych i senatorów, o których wiedziano lub o których mówiono, że wejdą w skład nowego gabinetu, otaczał w kuluarach tłum petentów, pochlebców i indagatorów. Każdy gorliwie szukał miejsca sekretarza lub szefa gabinetu dla któregoś ze swych własnych protegowanych. W owym dniu 30 stycznia bitwa o stanowiska przy rządzie doszła do zenitu. Wpływowi politycy rywalizowali między sobą w wynoszeniu zasług swych synów, bratanków lub przyjaciół. Konkurencja była duża, nawet gdy chodziło o podrzędne funkcje urzędnicze.

Przypominam sobie, że widziałem byłego premiera André Tardieu, stojącego w kącie, otoczonego przez grupę przyjaciół i uśmiechającego się ironicznie. Od czasu kiedy był szefem opozycji, ani on, ani jego zwolennicy nie mieli żadnych szans otrzymania jakiegokolwiek stanowiska, toteż dyskutował na temat taktyki, za pomocą której mógłby lepiej

zwalczać nowy rząd. Pewien dziennikarz przyniósł im wiadomość o mianowaniu Hitlera kanclerzem Rzeszy.

— Co pan o tym myśli? — zwrócił się do Tardieu.

— Oczekiwałem tego — wymruczał Tardieu kategorycznie. — Przed kilkoma tygodniami czytałem przepowiednię Leona Bluma, że Hitlera i narodowych socjalistów czeka rychły koniec. Skoro Blum coś przepowiada, może pan być pewien, że będzie odwrotnie. W ten sposób może pan zawsze zgadnąć, co będzie naprawdę.

Taką wagę przywiązywał Tardieu do wydarzenia stanowiącego zasadniczy zwrot w historii Europy.

W innym kącie Henri Queuille, były oraz przyszły minister rolnictwa z partii radykałów-socjalistów, wyrażał z największą powagą swą opinię w takich słowach:

„Hitler przy władzy? Cóż za różnica. Nie może kazać Niemcom pić więcej wina."

Podobnie jak dla wielu innych jego kolegów wiejskiego pochodzenia zboże i wino rozstrzygały dla niego o losie Francji. Konsumpcja była miernikiem ich opinii o przyszłości społecznej i politycznej Europy.

Wieczór przyniósł zawieszenie broni w owej kuluarowej bitwie; prawie w tej samej chwili Adolf Hitler z balkonu na Wilhelmstrasse przyjmował przy świetle pochodni defiladę stu tysięcy maszerujących gęsiego, rozfanatyzowanych esesowców. Dwie chwile z życia dwu sąsiadujących ze sobą narodów...

Nazajutrz został utworzony nowy gabinet francuski z Edouardem Daladier jako premierem na czele. Dookoła Pałacu Elizejskiego, gdzie zebrani byli ministrowie, roiło się od wścibskich reporterów i fotografów. Na wiadomość o utworzeniu rządu Daladiera kursy na giełdzie wykazały zdecydowaną tendencję zwyżkową. Giełda cieszyła się, że na liście nowego rządu nie było ani jednego socjalisty: była ona szczególnie rada z wyboru nowego ministra finansów, Georges'a Bonnet. Dzienniki wieczorne dały fotografię nowego szefa rządu: pokazywały jego twarz szeroką, surową i nieco nachmurzoną. Kilka

dzienników zrobiło nieco ironicznie luźną uwagę na temat podobieństwa do Mussoliniego.

Edouard Daladier wszedł na scenę światową w dzień po Adolfie Hitlerze. Siedem lat od chwili dojścia do władzy führera do drugiej wojny europejskiej wypełniają liczne dramaty i tragedie. W całym tym okresie, podczas blisko pięciu lat, Daladier odgrywał decydującą rolę w polityce francuskiej bądź jako szef gabinetu, bądź jako minister wojny, bądź jako jeden i drugi równocześnie. Wypadło mu stać na czele rządu francuskiego w chwili, kiedy uśmiercono Czechosłowację, kiedy zdławiono Hiszpanię i okupowano Polskę. Był francuskim ministrem wojny, kiedy zostały pochłonięte: Belgia, Holandia i Norwegia. Był ministrem wojny również w maju 1940, kiedy armie hitlerowskie straszliwym uderzeniem przełamały front pod Sedanem.

Wybrany na posła w r. 1919, po raz pierwszy wszedł do rządu w 1924; jego dawny profesor Edouard Herriot ułatwił mu start polityczny. Następnie Daladier wchodził w skład kilku gabinetów, ostatnio już stale jako minister wojny.

— Jakżeż tam panu idzie z pańskim nowym ministrem wojny? — zapytał któregoś dnia pewien deputowany z partii radykałów-socjalistów generała Weygand, podówczas naczelnego dowódcę francuskich sił zbrojnych.

— Nie prowadzimy nigdy sporów — odpowiedział żywo Weygand ze znaczącym uśmiechem.

Daladier zyskał w środowiskach politycznych i u dziennikarzy opinię człowieka energicznego i milczącego. Ludzie nie orientowali się, czy jego milczenie oznacza brak czy bogactwo myśli, co było dla niego korzystne. Daladier był profesorem historii i geografii: jeden z jego dawnych uczniów, André Stibio, bez wątpienia najinteligentniejszy ze sprawozdawców parlamentarnych naszych czasów, mówił o nim, że wykładał geografię nie rozumiejąc jej. Daladier, syn piekarza, pochodził z wiejskiego okręgu na południu Francji. Urobiła się opinia, że przeważały w nim cechy człowieka z ludu i że miał głębokie wyczucie, jak myśli i reaguje chłop francuski. Podczas

debat parlamentarnych i posiedzeń Rady Ministrów bronił swego punktu widzenia z wytrzymałością i uporem: stąd zrodziła się legenda, że był człowiekiem energicznym. Jak pokazały wypadki, szafował rozrzutnie swą energią jedynie w parlamentarnych i ministerialnych rozgrywkach. Wobec historycznych wydarzeń rozwiewała się ona jak mgła.

Do swego pierwszego gabinetu Daladier wziął dwóch ludzi, których nazwiska są również nierozerwalnie związane z upadkiem Francji: ministra finansów Georges'a Bonnet i ministra spraw wewnętrznych Camille'a Chautemps. Obaj zajmowali już swego czasu fotele ministerialne, ale dopiero Daladier dał czterdziestoczteroletniemu Bonnetowi pierwszorzędne stanowisko w rządzie francuskim. Georges Bonnet wypłynął po raz pierwszy w roku 1919 jako człowiek, któremu powierzono przeprowadzenie we Francji demobilizacji. To zadanie pozwoliło młodemu i ambitnemu politykowi wejść w kontakt z finansistami i wpływowymi przemysłowcami. Kontakty te nigdy nie zostały zerwane ani zapomniane. Z tym potężnym oparciem Bonnet wszedł w r. 1924 do parlamentu, gdzie wyspecjalizował się z kolei w problemach handlowych i finansowych. Usadowił się mocno we wpływowej partii radykałów-socjalistów poślubiając siostrzenicę jednego z pierwszych jej przywódców, Camille'a Pelletan.

Wielu deputowanych mawiało, że ambicja Odetty Bonnet była większa i dalej sięgająca niż nos jej męża. Aczkolwiek formułka ta nie brzmi zbyt przyjaźnie, daje ona dokładne wyobrażenie o gwałtownych wysiłkach pani Bonnet. Ogólnie biorąc, małżeństwo Bonnet odegrało w zdradzie Francji posępną rolę.

Podobnie jak Daladier, tak samo i Camille Chautemps otrzymał po raz pierwszy tekę ministerialną od Herriota, lecz w przeciwieństwie do Daladiera nie pretendował on wcale do miana człowieka energicznego. Nie demonstrował też tak ostentacyjnie swojej ambicji jak Bonnet. Od swego ojca, który również był ministrem, nauczył się widzieć w polityce francuskiej w znacznej mierze sprawę kompromisu. Dzięki temu

Chautemps zyskał opinię parlamentarzysty bardzo zręcznego, przebiegłego gracza, umiejącego w momentach kryzysu niwelować różnice i wygłaszać przemówienia obliczone na złagodzenie gniewnych nastrojów i uspokojenie niezadowolonych. Kiedy w r. 1933 został ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Daladiera, był już bardzo ceniony w parlamencie. Jednakże kilku spośród jego kolegów mawiało, że nie widzieli nigdy, aby Chautemps patrzył komukolwiek prosto w oczy. Jego wzrok zdawał się stale kryć jakąś wieczną tajemnicę. Georges Mandel, który po swoim starym mistrzu Clemenceau odziedziczył talent czynienia ciętych uwag, powiedział któregoś dnia:

— Ten Chautemps ma twarz zdrajcy!

Ci trzej politycy: Daladier, Bonnet i Chautemps byli członkami partii radykalno-socjalistycznej, która w ciągu kilkudziesięciu lat albo miała w ręku losy polityczne kraju, albo wywierała na nie przeważający wpływ.

Radykalni socjaliści pretendowali do roli rzeczywistych spadkobierców jakobinów z czasów Wielkiej Rewolucji 1789. Powoływali się też na Clemenceau, „Tygrysa" wielkiej wojny. Był on w istocie prezesem honorowym partii radykalno-socjalistycznej, ale jego patronatu szukały w praktyce wszystkie francuskie stronnictwa z wyjątkiem skrajnej lewicy.

W rzeczywistości określenie „radykalny socjalista" było o wiele groźniejsze niż program stronnictwa lub samo stronnictwo. Nie miało ono w sobie nic radykalnego ani socjalistycznego. Było stronnictwem warstw średnich, stronnictwem umiarkowanie liberalnym, które często zaciemniało swój własny program lub wręcz popadało w sprzeczność z nim. Siła tego stronnictwa była natury strategicznej, bo polegała na tym, że trudno było sformować rząd bez poparcia radykalnych socjalistów.

Gabinet Daladiera był trzecim gabinetem radykalno-socjalistycznym od chwili wyborów w maju 1932, które przyniosły zdecydowane zwycięstwo blokowi lewicy, sformowanemu przez partię radykalno-socjalistyczną i socjalistyczną. Ale

koalicja wykazywała już wyraźnie rysy i pęknięcia. Chociaż wegetowała od roku, taktycy parlamentarni przewidywali moment, w którym radykałowie złamią solidarność i zwrócą się wyraźnie ku prawicy.

Stworzywszy rząd i zatrzymawszy dla siebie tekę ministra wojny, Daladier zawezwał reakcyjnego generała Weyganda. Premier rozmawiał z Weygandem przez kilka godzin. Nic nie przeniknęło z tej długiej i (jak można było sądzić) ważkiej rozmowy, ale w kilka dni później redaktor mego dziennika złożył wizytę Daladierowi i miał z nim dłuższą rozmowę. Mój redaktor wyraził troskę w związku z nową sytuacją, jaka powstała w Europie wskutek dojścia do władzy hitlerowców. Aby go uspokoić, Daladier streścił mu swą rozmowę z generałem Weygand, która dotyczyła sprawy Hitlera i konsekwencji, jakie mogła mieć dla Francji. Pożegnawszy się z premierem zwierzchnik mój zapisał niezwłocznie przebieg rozmowy. Oto resumé jego notatek:

Według ówczesnych słów Daladiera Weygand był całkowicie przekonany, że jeśliby nawet Niemcy hitlerowskie zużyły całą swoją energię i wykorzystały wszystkie swe środki na odbudowę armii, musiałyby mieć co najmniej dziesięć lat do stworzenia takiego aparatu wojennego, jakim dysponowały Niemcy Wilhelma. Weygand miał wysokie mniemanie o zdolnościach, wartościach organizacyjnych i o dowództwie Reichswehry. Uważał jednak, że brak oficerów i wyszkolonych rezerw uniemożliwiał armii niemieckiej osiągnięcie, przynajmniej przed upływem długiego czasu, tej siły zaczepnej, jaką miały Niemcy kaisera. Zresztą według słów Weyganda groźba ta nigdy nie mogła przybrać pokaźniejszych rozmiarów ze względu na potężną linię fortyfikacji, którą budowano już na granicy francusko-niemieckiej. Plan budowy tego systemu obronnego przewidywał koniec robót na rok 1934 i czynił Francję nie do zdobycia w praktyce. Były to fortyfikacje, które stały się później sławne pod nazwą linii Maginota.

Komentując sojusze, które łączyły Francję z innymi państwami, generał Weygand stwierdzał, że wartość armii polskiej była nikła ze względu na złe wyposażenie techniczne i niekompetencje dowództwa. O armii belgijskiej, zobowiązanej na mocy układu w Locarno do okazania pomocy Francji w wypadku agresji, Weygand nie miał zbyt wysokiego mniemania ze względu na liczne tarcia pomiędzy Wallonami a Flamandami. Natomiast wysoko cenił armię czeską; dalej — sądził, że chociaż na armię angielską wiele liczyć nie można, flota brytyjska odegra na pewno rolę decydującą.

Jeśli chodzi o stronę polityczną, Weygand widział korzyść w dojściu Hitlera do władzy. Francja, sądził on, powinna była bez zastrzeżeń ustosunkować się przychylnie do ruchu skierowanego przeciwko niemieckim komunistom, którzy się stali siłą niebezpieczną. Rozprzestrzenienie się komunizmu w Niemczech miało oddźwięk we Francji, gdzie według raportów wywiadu wojskowego, komuniści czynili powolne, lecz stałe postępy. Walka z komunizmem w Niemczech przyczyni się do osłabienia francuskiego ruchu komunistycznego. Zresztą antykomunistyczna krucjata w Niemczech wpłynie niewątpliwie na przyszłe stosunki niemiecko-rosyjskie, a to również mogło być tylko korzystne dla interesów Francji.

Reasumując, według opinii Weyganda, Francja całkowicie panowała nad sytuacją na kontynencie. Polityka francuska mogła opierać się na przeświadczeniu, że pokój nie zostanie w Europie zakłócony co najmniej w ciągu dziesięciu lat. Francja wkraczała właśnie w okres lat chudych. Przy poborze roczników powołanych do służby wojskowej zaczynało się dopiero odczuwać straty w ludziach z czasu minionej wojny. Weygand proponował więc przedłużenie służby do osiemnastu miesięcy; zwrócił także uwagę Daladiera na słabość lotnictwa i wskazywał na konieczność planu wzmocnienia go.

Ale sytuacja budżetowa była niepewna. Było do przewidzenia, że nadchodzą trudne dni dla rządu. Z tego względu Weygand ustalił z ministrem wojny, że wprowadzenie osiemnastomiesięcznej służby wojskowej można odroczyć.

Sądy Weyganda zaciążyły na Daladierze. Ten drobny, ruchliwy generał o zaciśniętych wargach był postacią symboliczną. Wraz ze zmarłym marszałkiem Fochem i starym marszałkiem Pétainem dla wielu Francuzów uosabiał zwycięstwo nad Niemcami w minionej wojnie. Rozmowa z Weygandem wywoływała w tym czasie u Daladiera poczucie dumy. On, syn piekarza, który w czasie pierwszej wojny światowej walczył w randze kapitana, analizował braki w uzbrojeniu Francji na równej stopie ze sławnym dowódcą! Weygand wyznał kiedyś, że między nim i Daladierem nigdy nie było sporu. Nie było między nimi powodu do sporów i później. Generałowie francuscy uważali, że Daladier był bardzo zgodnym, bardzo wygodnym ministrem wojny. Sztab generalny podtrzymywał konsekwentnie legendę o wyjątkowych zdolnościach organizacyjnych i energii Daladiera.

Kariera Weyganda była niepospolita. W r. 1914, na początku wojny, był on podpułkownikiem kawalerii. Z rekomendacji Joffre'a mianowany został szefem sztabu tworzącej się właśnie armii generała Focha. W r. 1918 był obecny podczas słynnej rozmowy w Rethondes, kiedy marszałek Foch przyjmując w wagonie delegację niemiecką, proszącą o zawieszenie broni, tonem pogardliwym pytał Niemców o cel przybycia.

W roku 1920 Weygand został wysłany do Polski, gdzie wojskom Piłsudskiego groziło rozbicie przez Armię Czerwoną. W kilka lat później został odkomenderowany do Syrii, terytorium pod mandatem francuskim, gdzie z okrucieństwem bez precedensu stłumił rodzące się powstanie. Opowiadano po śmierci Focha, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Jeśli kiedykolwiek Francja będzie w niebezpieczeństwie, wezwijcie Weyganda."

W r. 1931 Weygand objął po marszałku Pétain jedno z najważniejszych stanowisk: wiceprzewodniczącego Najwyższej Rady Obrony Państwa. W tym samym roku został wybrany do Akademii Francuskiej. Armia francuska liczyła w tym czasie w samej metropolii 370.000 ludzi. W jej oficerów,

wychowanych w specjalnych szkołach wojskowych, spośród których najsławniejszą była szkoła w Saint-Cyr, wpajano doktryny najbardziej reakcyjne. Wielu generałów, jak Foch, Pétain i Weygand, było rojalistami. Uważali republikę za zło konieczne. Tolerowali ją z mieszaniną pobłażliwości i pogardy, ale nie sądzili bynajmniej, że jest to forma rządu, o którą warto by było bić się. Marszałek Pétain, poprzednik Weyganda, miał ścisłe związki z partiami skrajnej prawicy i później z ugrupowaniami faszystowskimi. Weygand miał poglądy wybitnie klerykalne. Clemenceau oświadczył pewnego dnia, „że tkwił on po uszy wśród księży". Przewodził związkom Młodych Patriotów, półfaszystowskiej organizacji młodzieży. Szedł nawet, jak później zobaczymy, dalej jeszcze, gdyż był jednym z inspiratorów tzw. C a g o u l a r d s, którzy spiskowali w celu obalenia rządu Republiki przy pomocy terroru i siły zbrojnej.

Dowódcy wojskowi we Francji wiedzieli, że chcąc dojść do władzy w Republice, muszą ukrywać swe uczucia antydemokratyczne, a w każdym razie głosić je bardzo dyskretnie. Weygand był mistrzem w tej sztuce. Kiedy Pierre Cot, nowy minister lotnictwa w rządzie Daladiera, powiadomił swego premiera o reakcyjnych i antydemokratycznych tendencjach generała Weyganda, Daladier powiedział żywo:

— Ho, ho, niech pan tylko posłucha, co mówi Weygand! Poszedłbym z nim do piekła!

Jak przedstawiała się sytuacja Francji, kiedy Daladier został szefem rządu, a Hitler kanclerzem Rzeszy?

Pewien cieszący się poważaniem ekonomista pisał, że w tym okresie Francja pod względem siły wojennej, politycznej i finansowej była pierwszym państwem w Europie. Francja była powiązana łańcuchem przymierzy, które dawały jej w wypadku zaatakowania rękojmię pomocy ze strony W. Brytanii, Belgii, Polski, Czechosłowacji. Chociaż nie istniał traktat przymierza wojennego z Jugosławią, Rumunią — stosunek sympatii łączącej Francję z tymi krajami nie ulegał żadnej wątpliwości. Włochy zmagały się z trudnościami wynikającymi

z kryzysu światowego i nie mogły działać przeciwko Francji. Świeżo proklamowaną Republiką Hiszpańską rządzili ludzie, którzy w czasie ostatniej wojny okazali gorącą sympatię dla sprawy alianckiej. Stosunki ze Zw. Radzieckim w ciągu roku poprzedniego poprawiły się. W listopadzie 1932 Herriot podpisał pakt o nieagresji z Rosją Sowiecką.

Ale sytuacja gospodarcza nie była zachęcająca. Światowy kryzys gospodarczy, ujawniony po raz pierwszy w czasie krachu Wall Street w roku 1929, ogarnął wielkie kraje przemysłowe Zachodu: Stany Zjednoczone, W. Brytanię i Niemcy. Około r. 1933 na horyzoncie tych wyczerpanych olbrzymów przemysłowych dały się zauważyć słabe przejaśnienia. Rok następny przyniósł oznaki pewnego rodzaju zwrotu.

We Francji przebieg kryzysu był zdecydowanie odmienny aniżeli w wyżej wymienionych krajach. Ze względu na pewne przyczyny szczególne i właściwe wyłącznie Francji kryzys dał się tu odczuć o wiele później i swój punkt najgłębszy osiągnął pomiędzy rokiem 1933 a 1935. Francja oparła się pierwszym atakom burzy. Ale nadciągnął groźny epilog. Jak choroba w organizmie bardziej opornym, mniej jadowita na początku, tak kryzys dopiero skutki miał paraliżujące i długotrwałe dla świata politycznego.

Istotny kryzys zaczął się we Francji w roku 1933 za dymną zasłoną sloganów, mitów i złudzeń, które początkowo niemal że osiągnęły swój cel, przyczyniając się do ukołysania i uśpienia francuskiego społeczeństwa. Rząd Daladiera odziedziczył po swych poprzednikach budżet rozdęty i niezrównoważony. Deficyt szacowany był na sumę od 12 do 14 miliardów franków. Wpływ z podatków był o wiele niższy niż normalnie. Eksport i import zmniejszyły się więcej niż o jedną trzecią. Ruch turystyczny — jedno z najbardziej lukratywnych źródeł francuskiego dochodu — spadł w ciągu ostatnich lat. Liczba przyjezdnych z czterech milionów zmniejszyła się do jednego miliona. Bezrobocie wstrząsnęło całą społeczną strukturą kraju. Liczba bezrobotnych wzrosła w czwórnasób. Dwa i pół miliona robotników było bez pracy, a tylko dwadzie-

ścia siedem i pół tysiąca spośród nich otrzymywało skąpą zapomogę.

Pracownicy państwowi, liczący milion osób, zależni byli od budżetu i następujące po sobie rządy usiłowały, jeden po drugim, przerzucić na nich koszty kryzysu przez skłonienie ich do zaakceptowania obniżki płac. Była to stara jak świat idea skąpca: zrównoważyć budżet narzucając państwu jak najdalej idące oszczędności. Nie mogąc walczyć w pojedynkę pracownicy ci dziesiątkami tysięcy zgłaszali akces do najrozmaitszych ugrupowań i ruchów protestacyjnych.

Przeszło osiem milionów ciężko pracujących chłopów, ciułających grosz do grosza, przeklinało i złorzeczyło coraz gwałtowniej. Ceny zboża i wina — oto był dramat! Były to dwa talizmany francuskiego wieśniaka. Kiedy otrzymywał za nie dobrą cenę, jak do roku 1931, był zadowolony. Ale kiedy ceny światowe, a w konsekwencji — i ceny wewnętrzne wina i zboża obniżyły się, poczciwy kmiotek drapał się w głowę i zrzędził gniewnie. Oskarżał wówczas głupców i niedołęgów z Paryża jako odpowiedzialnych za sytuację. Od roku 1929 cena zboża spadła o jedną trzecią, a ceny wina wykazywały spadek jeszcze bardziej tragiczny, przy czym perspektywy na przyszłość w tej dziedzinie były nader posępne.

Warstwy średnie zostały również ciężko dotknięte przez kryzys. Prócz czterystu tysięcy drobnych rentierów około sześciu milionów osób podpisało bony skarbu państwa. Z trwogą śledzili oni wahania swoich rent w oficjalnych notowaniach giełdy. Kurs wciąż spadał, spadał... przeciętnie o 12 procent. Clemenceau słodko zapewniał: „Szwab zapłaci". Ten sam minister był później oskarżony o wydawanie czeków bez pokrycia. Oszustwem były nie tylko jego czeki, ale także jego szarlatańskie obietnice, że Niemcy zapłacą wszystkie rachunki. A także obietnice wszystkich, jednego po drugim, rządów, że katastrofalny spadek cen światowych nie dotknie Francji. Francja miała być fortecą, przystanią pomyślności, oazą szczęścia. Ale warstwy średnie śledziły tylko notowania na giełdzie. Ich majątki, ich własność, ich renty, ich fermy, ich

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit.

sklepiki, ich przedsiębiorstwa były w niebezpieczeństwie. Niezadowolone narzekały i szemrały.

Na jedenaście milionów ludzi, żyjących we Francji z pracy zarobkowej w roku 1933, około sześciu milionów pracowało w przemyśle. Dwa ośrodki miały wagę szczególną: okręg paryski, który obejmował hutnictwo, fabryki zbrojeniowe i samochodowe oraz okręg północny dookoła Lille, gdzie znajdowały się kopalnie węgla i przemysł włókienniczy. Jedną przy tym z cech charakterystycznych Francji jest to, że ważne ośrodki robotnicze rozrzucone są właściwie we wszystkich okolicach kraju. Jednakże proletariat Paryża stoi na czele francuskich mas pracowniczych. „Czerwony pierścień" gmin przedmiejskich stolicy daje hasło do walki.

Właśnie w Paryżu puls ruchu robotniczego stawał się gwałtowniejszy, w miarę jak wzrastał kryzys. Kiedy Daladier objął władzę, świat pracy burzył się już. To wzburzenie miało jeszcze charakter nieokreślony i sporadyczny. Krystalizowało się ono stopniowo. Liczba strajków wzrastała. Dawał się odczuć powolny spadek wpływów socjalistycznych na rzecz komunistów, ale liczba członków obu partii nie była zbyt wielka. Liczba zrzeszonych w związkach zawodowych sięgała półtora miliona.

Socjaliści, dzięki sojuszowi z partią radykałów, uzyskali w wyborach r. 1932 znaczne zwycięstwo. Obecnie odczuwali oni coraz większy nacisk ze strony swych wyborców. W tym samym czasie prawicowe skrzydło kierownictwa partii socjalistycznej przygotowywało się do opuszczenia szeregów partii i połączenia z radykałami. Grupa ta nazwała się „neosocjalistyczną", ale „neosocjalizm" nieco później łatwo prześliznął się ku faszyzmowi. Przywódcą grupy był rzutki mer Bordeaux, Adrien Marquet, dentysta, znany ze swej dandysowatej elegancji, macher polityczny.

Liczne były ważne zagadnienia, do których musiał ustosunkować się triumwirat radykalno-socjalistyczny sprawujący władzę — Daladier, Bonnet i Chautemps. Deficytowy bu-

dżet, pogłębiająca się depresja gospodarcza z jej nieuniknionymi konsekwencjami: wzrastającym bezrobociem i niepokojami społecznymi; sprawa rozbrojenia, stosunki z hitlerowskimi Niemcami. Punktem głównym był oczywiście ten ostatni problem. Rząd nie mógł żywić wątpliwości co do tego, jakie były intencje Hitlera. Opublikował on swe plany w M e i n K a m p f. Jego programem była izolacja Francji, umożliwiająca z kolei jej unicestwienie.

Ideałem każdego sztabu jest poznanie planów przeciwnika. Rząd francuski znajdował się w tej idealnej sytuacji. Znał szczegółowo zamierzenia nieprzyjaciela i mógł przedsięwziąć wszelkie środki, które uważał za konieczne.

Fakt, że rząd nie brał M e i n K a m p f na serio, stał się dla mnie jasny po rozmowie z jednym z członków gabinetu Daladiera. Cytując książkę Hitlera, mówiłem o polityce i o programie, jaki w niej rozwijał.

— Czy sądzi pan rzeczywiście, że politykę można kształtować zgodnie z książką? — zapytał mnie z lekkim uśmiechem minister, widocznie ubawiony tą myślą. Kiedy odpowiedziałem mu, że tak sądzę, wybuchnął śmiechem.

— Pan jest dziennikarzem. Pan wierzy w to, co jest napisane, ale ja jestem politykiem-realistą i zapewniam pana, że nie ma żadnych widoków w świecie na to, aby Hitler mógł postępować zgodnie z tym, co napisał w swojej książce. Rzeczywistość go wychowa.

Zamiast stworzyć koalicję w obronie pokoju przeciwko Hitlerowi, Daladier usiłował uzyskać wzajemne porozumienie. Rozpoczął układać stosunki z Niemcami zgodnie z ideą nazwaną później „polityką uspokojenia". Niewątpliwie „uspokojenie" Daladiera nie miało w owym okresie tego charakteru, jaki miało przybrać później. Uległo ono kilku metamorfozom. Przeszło przez kilka etapów i kilka zakrętów niejednokrotnie sprzecznych. Musiało kilka razy zmienić skórę, zanim przebrało się w ostatnią. Przechodziło kilkakrotnie okresy nagłego przebudzenia energii i oporu. Ulegało przemianom w ciągu nieskończonych walk politycznych. Politycy zmieniali

kilkakrotnie swoje pozycje, zanim dwa fronty, front „uspokojenia" i front przeciwny „uspokojeniu", przybrały wyraźnie zaznaczone kształty w przeddzień konferencji monachijskiej, we wrześniu 1938 r. Ale zasadnicze elementy „uspokojenia" istniały w polityce zagranicznej Daladiera już w roku 1933.

W dniu 2 lutego 1933 r. w pierwszym przemówieniu, które Hitler wygłosił przez niemieckie radio jako kanclerz Rzeszy, zręcznie potrącił on strunę o brzmieniu sympatycznym dla wszystkich narodów demokratycznych. — Będziemy szczęśliwi — powiedział — jeżeli świat zredukuje swoje zbrojenia, co uczyni zbędne zwiększenie naszych zbrojeń.

Dla Daladiera retoryczny chwyt Hitlera był zaproszeniem. Mógł go wykorzystać do przezwyciężenia palących trudności wewnętrznych, które groziły w każdej chwili obaleniem chwiejnego gabinetu. Jeśliby mógł osiągnąć w jakimkolwiek stopniu porozumienie z Niemcami, jego sytuacja, zwłaszcza w stosunku do partii prawicowych, uległaby znacznej poprawie. Prawica tradycyjnie pretendowała do monopolu na patriotyzm, nacjonalizm i miłość ojczyzny. Ale obecnie po raz pierwszy od roku 1918 dzienniki i czasopisma prawicowe były bardzo umiarkowane w swych atakach przeciwko Niemcom. Były one niezdolne do zajęcia stanowiska. Część programu Hitlera odpowiadała im: nieubłagana walka przeciwko komunizmowi. Druga część jednak przerażała ich już na wstępie: tendencje do ekspansji, tendencje pangermanistyczne partii hitlerowskiej, jej imperialistyczne fanfaronady, jej pozycja w walce przeciwko „dyktandu" wersalskiemu.

Ta postawa prawicy francuskiej stała się widoczna podczas pożaru Reichstagu w lutym 1933. Wówczas, kiedy cały świat cywilizowany płonął z oburzenia, kilka reakcyjnych dzienników francuskich znajdowało oczywistą przyjemność w powtarzaniu hitlerowskich wymysłów, że ogień pod budynek Reichstagu podłożyli komuniści.

Pożar Reichstagu posłużył Hitlerowi do tego, aby postawić niemiecką partię komunistyczną poza prawem i zerwać hamulce, paraliżujące konserwatywnych ministrów własnego

rządu. Daladier wybrał właśnie ów moment, aby wysłać do Berlina swego pierwszego emisariusza. Nazywał się on Fernand de Brinon; pochodził z najlepszych sfer paryskich. Był doświadczonym dziennikarzem i zaufanym przedstawicielem jednego z wielkich banków. Już Pierre Laval, będąc premierem, powierzał mu misje poufne. De Brinona polecił Daladierowi jego minister finansów Georges Bonnet, którego łączyły bardzo ścisłe stosunki z tym samym bankiem, dla którego de Brinon pracował z wielkim oddaniem i zręcznością.

Daladier miał się spotkać z Ramsayem Mac Donaldem, który jechał do Rzymu. Premier brytyjski spodziewał się pozyskać Mussoliniego dla nowej formułki, paktu między czterema wielkimi potęgami: Anglią, Niemcami, Francją i Italią. Właśnie po rozmowach z Mac Donaldem Daladier wysłał de Brinona do Berlina. I właśnie w momencie, kiedy hitlerowskie bojówki, upojone pomyślną akcją podpalenia Reichstagu, szalały w całych Niemczech, siejąc terror, torturując i mordując liberałów, socjalistów, komunistów, Żydów, katolików, syndykalistów i całą elitę inteligencji niemieckiej, w tym samym momencie — hrabia de Brinon prowadził poufne rozmowy z zausznikami Hitlera.

Kiedy nowina o projektowanym pakcie czterech doszła do wiadomości publicznej, Edouard Herriot energicznie zaprotestował. Został on właśnie wybrany ponownie na przewodniczącego partii radykałów-socjalistów. Daladier miał mało szans powodzenia dla swego planu wobec zdecydowanej opozycji Herriota. Toteż wysłał swego starego profesora w tournée propagandowe po Ameryce dla zorientowania się w intencjach prezydenta Roosevelta i dla załagodzenia goryczy spowodowanej odmową Francji wzięcia na siebie zobowiązań co do spłaty długów wojennych Stanom Zjednoczonym. Daladier spodziewał się w ten sposób upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Pozbywał się Herriota w chwili zakładania podwalin pod pakt czterech i obarczał go misją, której wyniki w najgorszym razie nie miały wielkiej wagi. Mimo rad swych najbliższych przyjaciół Herriot dał się wciągnąć w pułapkę.

Powrócił ze Stanów Zjednoczonych z pustymi rękami i był w ciągu kilku miesięcy ulubioną ofiarą satyryków i karykaturzystów.

W pierwszej swej wersji pakt czterech przewidywał politykę rzeczywistej współpracy pomiędzy czterema potęgami „dla utrzymania pokoju" i brał pod uwagę możliwość rewizji traktatu wersalskiego. Pierwotny projekt paktu dawał dobitny wyraz tendencjom „polityki uspokojenia". Wskazywał, że Francja porzucała swą tradycyjną politykę, dążącą do utrzymania traktatu wersalskiego przy pomocy Ligi Narodów, która jedyna miała prawo rewizji traktatu. Ignorował Rosję Sowiecką. Groził obaleniem z trudem utrzymywanej równowagi małych państw europejskich, które widziały jeszcze w Lidze Narodów gwarancję swej narodowej niezawisłości. Jeśli cztery wielkie potęgi Europy drwiły z Ligi Narodów i wyłączały się z niej tworząc „kontynentalny dyrektoriat", małe narody miały wszelkie podstawy do najgorszych obaw. Monachium okazało później w pełni, jak bardzo obawy te były uzasadnione.

Ponieważ pertraktacje trwały dłużej, niż przewidywano, w międzyczasie powrócił Herriot i wszczął gwałtowną kampanię przeciwko pierwotnej wersji paktu. W ożywionej dyskusji z Daladierem, która trwała kilka godzin, Herriot zwyciężył premiera. Udowodnił, że wojna wybuchnie na pewno, jeżeli Francja uczestniczyć będzie w porozumieniu czterech, przewidującym rewizję granic. Wygłosił publiczne przemówienie, w którym podkreślił ów właśnie moment tak skutecznie, że zredagowano nowy projekt. Prawnicy i ustawodawcy precyzowali każde słowo i snuli delikatną przędzę kazuistyki. Rewizja traktatu i formuła rozbrojenia były zależne od Rady Ligi Narodów.

Ów pakt, o którym Herriot powiedział, że nie miał sensu i przynosił nie pożytek, a tylko niebezpieczeństwo, był już w chwili podpisania 7 czerwca 1933 roku w Rzymie — dzieckiem martwo urodzonym. Ale to poronione Monachium otwierało już nowe perspektywy w „polityce uspokojenia". Cho-

ciaż pakt stał się ostatecznie nieszkodliwym, sam jego projekt pozostawił wiele niesmaku. Po raz pierwszy od czasu Wersalu znalazł się rząd francuski, który przyjął w zasadzie rewizję traktatu, poza ramami Ligi Narodów. Tego rodzaju szkodę nie łatwo było naprawić.

Najpoważniejsze konsekwencje nastąpiły w Polsce. W marcu 1933 r. dyktator polski, marszałek Piłsudski, poinformował rząd Daladiera o tajnych planach zbrojeń Hitlera. Niemcy przekroczyły już stadium projektów i planów. Pod szczelną osłoną tajemnicy zbroiły się w szalonym tempie. Marszałek Piłsudski proponował Francji wspólną walkę przeciwko Hitlerowi. Daladier zwlekał, później odmówił. Oferta została powtórzona w kwietniu 1933 r., poparta notą ambasadora polskiego w Paryżu, która przytaczała masę szczegółów na temat gorączkowej rekonstrukcji potężnego aparatu wojennego w Niemczech. Na notę ową nawet nie odpowiedziano. Ale w kilka dni później rozeszła się wiadomość, że pakt czterech miał przyjąć wkrótce formę bardziej określoną. Ambasador polski na Quai d'Orsay zaprotestował. W odpowiedzi zapewniono go, że sojusz polsko-francuski w żadnym wypadku nie ulegnie osłabieniu. Nie wystarczało to do uspokojenia Warszawy. Wkrótce jeden z ministrów powiadomił mnie, że Piłsudski zebrał swych doradców i zlecił im rozważenie możliwości układu polsko-niemieckiego. Pertraktacje nad paktem czterech wydały owoce. Powiadomiony przez gen. Sikorskiego, że traktat niemiecko-polski jest w opracowaniu, Emil Buré, redaktor dziennika nacjonalistycznego l'O r d r e, wydał okrzyk zgrozy: „Polska nas zdradza!!" [1]

[1] Pamiętać należy, iż propozycja Piłsudskiego w stosunku do Francji była swojego rodzaju manewrem i prowokacją: pragnąc zawrzeć pakt z Niemcami Piłsudski proponuje Francji „wojnę prewencyjną" przeciwko Niemcom, aby wykazać zwolennikom sojuszu z Francją, że na Francji oprzeć się nie można.

Jak wiadomo, równocześnie z wysunięciem propozycji w sprawie „wojny prewencyjnej" przeciw Niemcom prowadzi Piłsudski poufne rozmowy z niemieckim attaché wojskowym w Warszawie gen. Schindlerem w sprawie zawarcia układu z Niemcami.

Decyzja w sprawie układu spadła niczym bomba na świat dyplomatyczny: niemiecko-polski traktat o nieagresji postanawiał, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat obydwa kraje „w żadnych okolicznościach nie uciekną się do użycia siły w regulowaniu kwestii spornych". Taki był początkowy wynik Daladierowskiego flirtu czterech mocarstw. Pierwszy wyłom we francuskim systemie sojuszów został dokonany.

W jesieni rozeszła się pogłoska, że Daladier i Hitler projektują spotkanie w Szwarcwaldzie. Pochodziła ona od drugiego emisariusza Daladiera w Berlinie — Edwarda Pfeiffera, sekretarza generalnego partii radykalno-socjalistycznej. Wyśpiewywał on pochwały ku czci Hitlera na wszystkie możliwe tony. „Kanclerz niemiecki — mówił on — nie chce niczego innego niż zgody z Francją." Ale projekty te zostały nagle obrócone w niwecz, gdy Hitler trzasnął drzwiami na konferencji rozbrojeniowej w Lidze Narodów.

Był to straszliwy cios dla ministra spraw zagranicznych, kabotyna Paul Boncoura. W październiku 1933 delegaci zebrani w Genewie dowiedzieli się z krótkiego telegramu von Neuratha, hitlerowskiego ministra spraw zagranicznych, że Niemcy zostały zmuszone do wycofania się z Ligi Narodów. Wywołało to u Paul Boncoura jeden z jego nagłych, chwilowych wybuchów: zażądał, by wysłano do Niemiec energiczną odpowiedź. Natychmiast wyznaczono podkomisję dla przygotowania projektu odpowiedzi. Złożona ona była z Paul Boncoura, sir Johna Simona, wówczas ministra spraw zagranicznych W. Brytanii, i Normana Davisa, obserwatora z ramienia Stanów Zjednoczonych. Ci trzej ludzie podjęli się redakcji odpowiedzi, odkładając to jednak z posiedzenia na posiedzenie; kiedy wreszcie ujrzała ona światło dzienne, dla Hitlera było jasne, że nie miał się czego obawiać.

W ten sposób Hitler po raz pierwszy wypróbował gotowość oporu zachodnich demokracji i skonstatował, że była ona słaba, nieszczera i rozdmuchana. Lekcja ta wskazywała mu drogę w dalszej polityce i projektach wojennych. W kilka dni po jego brutalnym wycofaniu się z Genewy, Quai d'Orsay

dowiedziało się na podstawie raportu otrzymanego z Berlina, że większość konserwatywnych ministrów i współpracowników Hitlera przeciwstawiała się jego posunięciom. Wymusił on wówczas ich zgodę grożąc przedstawieniem staremu marszałkowi Hindenburgowi listy rządowej, złożonej wyłącznie z narodowych socjalistów. Reakcja potęg demokratycznych na zuchwały czyn Hitlera wzmocniła jego prestiż w wielkofinansowych kołach niemieckich. Cieszyły się one z jego śmiałych posunięć zarówno w polityce zewnętrznej jak wewnętrznej.

Inną konsekwencją francusko-brytyjskiego fiaska na konferencji rozbrojeniowej było jeszcze większe zaniepokojenie wśród małych krajów europejskich. Przewidując dalsze odstępstwa angielskie i francuskie, zaczynały one poważnie myśleć o zawarciu porozumienia z Hitlerem. Takie stanowisko zajęły: część potężnej partii agrarnej w Czechosłowacji, kamaryla dworska rumuńskiego króla Karola i grupa Stojadinowicza w Jugosławii.

Konferencja rozbrojeniowa dogorywała, a sytuacja we Francji z dnia na dzień pogarszała się. Kryzys siał spustoszenia. Skarb był pusty. Już na początku roku 1933 minister finansów, Georges Bonnet, pertraktował z Londynem o krótkoterminową pożyczkę 30 milionów funtów szterlingów. Obecnie poszukiwał on rozpaczliwie nowych źródeł finansowych. Atak partii prawicowych przeciwko rządowi wzmagał się. Czujna opozycja orientowała się, że nadchodzi moment, w którym radykalno-socjalistyczny gabinet „przechyli się na prawo", tzn. znajdzie się w sytuacji, w której będzie musiał szukać koalicji z partiami prawicowymi. Ligi faszystowskie i półfaszystowskie z dnia na dzień wzrastały na sile. Najpoważniejsze z nich Krzyże Ogniste, kierowane przez płka de La Rocque, rosły jak grzyby po deszczu. Początkowo było to stowarzyszenie dawnych kombatantów, pozbawione oblicza politycznego; obecnie stało się ono organizacją faszystowską, która ćwiczyła swych członków, odbywała tajne manewry i próby mobilizacji, posługując się nawet lotnictwem. Stosunki de La Rocque'a z armią czyniły organizację Krzyżów

Ognistych szczególnie niebezpieczną; mówiono już powszechnie, że ich uzbrojenie pochodziło z magazynów i arsenałów wojskowych.

W połowie października redakcje dzienników i kuluary Izby Deputowanych obiegła wieść, że wkrótce ma wybuchnąć nowy skandal finansowy. Starałem się wówczas zdobyć szczegóły dotyczące tej tajemniczej afery, ale bez powodzenia.

Po trwającym całą noc dramatycznym posiedzeniu, pełnym gwałtownych sporów i pojedynków słownych, rząd Daladiera padł o świcie 24 października 1933 roku. Nowa propozycja obniżki płac urzędników państwowych i pracowników służby publicznej wykazała nieudolność rządu. Cała paryska policja została tej nocy zmobilizowana: mówiono, że urzędnicy państwowi mieli zamiar urządzić olbrzymią manifestację przed Izbą Deputowanych. Paryskim prefektem policji był Korsykanin, Jean Chiappe, którego Clemenceau nazwał kiedyś „najelegantszym szpiclem Francji". Był on znienawidzony przez partie lewicowe. Doglądał osobiście pracy policji przy głównym wejściu do Palais-Bourbon, gdzie zgromadzeni byli deputowani. Kiedy zbliżył się do niego pewien deputowany socjalistyczny i zapytał:

— Co pan tu robi, panie Chiappe?

— Chronię życie pana Daladiera — odpowiedział Chiappe z przebiegłą miną.

W ciągu trzech następnych miesięcy zostały utworzone i równie szybko obalone trzy nowe gabinety. Te same twarze, ta sama stara ekipa radykalno-socjalistyczna zjawiała się za każdym razem, wymieniając jedynie między sobą niektóre teki w każdej z kolejnych kombinacji ministerialnych. Następcą Daladiera był Albert Sarraut z Tuluzy, jeden z przywódców partii radykalno-socjalistycznej w południowo-zachodniej Francji. Niezwykle czynny w samym centrum francuskiego życia politycznego Albert Sarraut szedł przez życie jak gdyby pod ochroną talizmanu szczęścia. W młodości podczas pojedynku był niebezpiecznie ranny i wyszedł z tego. W czasie afery Dreyfusa został mianowany generalnym gu-

bernatorem Indochin. Sprawując to stanowisko był kilkakrotnie obiektem zamachów terrorystycznych, z których również zawsze udawało mu się wyjść cało. Miał duże stosunki jako jeden z przywódców partii; u schyłku życia coraz bardziej absorbowały go kobiety. Daladier zachował w gabinecie Sarrauta tekę ministra wojny i w dalszym ciągu kokietował Hitlera.

Ale polityce zbliżenia z führerem zdawało się grozić załamanie. Deputowany nacjonalistyczny Georges Mandel, prawa ręka Clemenceau podczas pierwszej wojny światowej, w przemówieniu do wyborców podał do publicznej wiadomości rewelacje o tajnych zbrojeniach Niemiec hitlerowskich. Największy dziennik poranny Le Petit Parisien, który później sprzymierzył się z polityką uspokojenia, poparł Mandela, publikując serię artykułów wykazujących wzrost zbrojeń hitlerowskich. Daladier natychmiast wysłał do Berlina de Brinona. W listopadzie 1933 de Brinon wrócił do Francji z orędziem, które „łagodziło i wyjaśniało" sytuację. Na żądanie Daladiera wpływowy dziennik francuskiego trustu stali, Le Matin, opublikował to orędzie. Wrażenie było sensacyjne. De Brinon poprzedził jego tekst następującym oświadczeniem:

> Myślę, że Hitler ma ambicję doprowadzenia do pojednania z Francją.
>
> Jeśli jego książka Mein Kampf pełna jest nienawiści pod adresem Francji, to trzeba wziąć pod uwagę, że była pisana, kiedy pan Hitler cierpiał katusze w więzieniu. Od tego czasu przeszedł on wielką ewolucję.

Oto co Hitler wyznał panu de Brinon:

> — Jestem przekonany, że skoro raz ureguluje się problem zagłębia Saary, które jest ziemią niemiecką, nie pozostanie już absolutnie nic, co mogłoby przeciwstawić Francję Niemcom... Powtarzałem już wielokrotnie, że los Alzacji i Lotaryngii został przesądzony i że nie zgłaszamy pod tym względem żadnych pretensji rewindykacyjnych. Ci, którzy mówią, że chcę wojny, znieważają mnie. Nie jestem

człowiekiem tego rodzaju. Wojna? Nie rozwiązałaby ona niczego. Mogłaby tylko pogorszyć istniejący stan rzeczy... Oznaczałaby koniec naszych ras, które tworzą elitę świata, i pozwoliłaby zatriumfować bolszewizmowi.

De Brinon wspomniał Hitlerowi o niepokoju, jaki wywołały we Francji gwałtowne zbrojenia Niemiec. Führer zaprzeczył temu pod słowem honoru, co zresztą czynił często, tak przedtem jak i potem. Oświadczył uroczyście:

— Sam decyduję o polityce Niemiec, a kiedy daję słowo, mam zwyczaj go dotrzymywać.

Owa rozmowa de Brinona z Hitlerem z listopada 1933 roku oznaczała istotny zwrot; Daladier dał gwarancję szczerości Hitlera. Le Matin, którego związki z potężnymi trustami bankowymi i przemysłowymi oraz partiami prawicy były powszechnie znane, dawał te same gwarancje. Odtąd gdy ktoś poddawał w wątpliwość szczerość Hitlera, jego sympatycy we Francji mogli odpowiedzieć:

— Nie czytał pan wywiadu w Le Matin? Czy nie wie pan, że sam Daladier jest jego gwarantem?

Od tego czasu zwodnicza propaganda pacyfistyczna Hitlera znajdowała się pod skrzydłami opiekuńczymi ministra wojny, tzn. dowództwa armii i stojących za nim reakcyjnych polityków. Opublikowanie tego wywiadu było pierwszym sukcesem piątej kolumny. Dalsze nie kazały na siebie czekać. Jacques Chastenet, jeden z redaktorów wpływowego dziennika Le Temps, pojechał do Berlina zobaczyć Hitlera. On również wrócił jako zwolennik polityki uspokojenia. Zarysowujące się wewnątrz Francji siły, zagrażające samemu jej istnieniu, wzrastały w sposób wyraźny.

Partie lewicowe, radykałowie i socjaliści, zajęte całkowicie drobnymi intrygami, targami i kombinacjami parlamentarnymi, nie zareagowały z odpowiednią siłą na ten pierwszy oficjalny kontakt pomiędzy reakcją francuską a Hitlerem.

Rząd Sarrauta upadł po trzech tygodniach.

Dalsze rozgrywki parlamentarne postawiły na czele rządu Camillea Chautemps. Daladier znów otrzymał ministerstwo wojny. Wówczas to wyszedł na światło dzienne skandal, o którym mówiono od wielu tygodni — afera Staviskiego. Jej dzieje zapisały się w historii Francji krwawymi zgłoskami.

Aleksander Stavisky, „piękny Aleksander", był równie dobrze i od lat znany w spelunkach półświatka jak i w najelegantszym towarzystwie paryskim. Ścigany już za sprawę sfałszowania czeków na sumę przeszło miliona franków, sfabrykował fałszywe bony kredytowe miasta Bayonne, małego osiedla na południowym zachodzie Francji, na sumę przeszło trzystu milionów franków. Tropiony przez policję — według raportów oficjalnych — popełnił samobójstwo w Chamonix. Ale według opinii paryskich dzienników, a zwłaszcza dzienników prawicowych, został on zabity, ponieważ zbyt dużo wiedział.

Zasadniczym rysem afery Staviskiego był jednak nie wyłącznie oszukańczy jej charakter. Oszustwa popełniano nieraz i to na sumy większe. Ale w ten skandal zamieszanych było kilku ministrów, między innymi Georges Bonnet, pewna liczba deputowanych, urzędników, kilku naczelnych redaktorów dzienników i prefekt policji Chiappe. Afera ogarniała bez różnicy polityków prawicowych i radykałów z lewicy. Ale partie prawicowe skorzystały z niej, aby przygotować drogę rządowi przez siebie kontrolowanemu, awangardzie francuskiego faszyzmu.

Przeciwko lewicy rozpoczął się atak o nie spotykanej dotąd gwałtowności. Heroldami tej ofensywy były: Action Francaise, dziennik o tendencjach rojalistyczno-faszystowskich, Le Jour, szmata skrajnie prawicowa, i Gringoire, tygodnik redagowany w tonie napastliwym, wydawany przez zięcia Chiappe'a. Wydawnictwa te podczas afery Staviskiego podniosły dziesięciokrotnie swój nakład.

Na początku 1934 roku, z okazji otwarcia sesji parlamentarnej, nastąpiły w Paryżu pierwsze zorganizowane mani-

festacje uliczne. Najczynniejszymi z demonstrantów byli Les Camelots du Roi związani z Action Francaise. Dołączyły się do nich wkrótce inne ugrupowania faszystowskie. Manifestacje stawały się coraz liczniejsze i gwałtowniejsze aż po dzień 26 i 27 stycznia. Wówczas na głównych bulwarach Paryża i w sąsiedztwie Izby Deputowanych członkowie różnych organizacji byłych kombatantów dołączyli się do ruchu. Każdy dzień przynosił nowy dowód, że demonstracje były wynikiem wspólnej działalności organizacji faszystowskich i że były kierowane przez wspólny sztab. Zaraza rosła. W całej Francji mnożyły się napisy: „Precz z deputowanymi! Deputowani do diabła!" Zamieszanie osiągnęło swój punkt kulminacyjny.

Jak wykazał później Georges Mandel, materiały dla konspiracji antydemokratycznej i antyparlamentarnej dostarczone zostały faszystom przez prefekta policji Chiappe'a. Żywił on jawne sympatie dla prawicy. Dzięki swemu stanowisku szefa policji paryskiej mógł zebrać dostateczną ilość wiadomości kompromitujących niektórych wybitniejszych polityków z lewicy. Nie miał on żadnych skrupułów demaskując tych ludzi. Na ich liniach telefonicznych działał podsłuch. Wiele nieznanych szerszej publiczności afer finansowych Trzeciej Republiki figurowało w jego archiwach. Było to źródłem jego potęgi.

Związki Sarrauta z kobietami podejrzanej konduity, kombinacje finansowe i spekulacje Bonneta, intymne sekrety Chautemps stanowiły skarb Chiappe'a. Tylko cząstkę swych archiwów udostępniał on dziennikom, drugą część zachowując w rezerwie. Według opinii deputowanych, godnych zaufania, jeszcze inna część szła do Berlina, do archiwów hitlerowskich. Pewien były minister wyznał mi, że chęć dojścia do porozumienia z Hitlerem, jaką wykazywali Bonnet i Chautemps, można częściowo wytłumaczyć faktem, że niemiecki kanclerz wiedział o nich zbyt dużo. Agenci hitlerowscy, dorzucił mój informator, operowali stale groźbą opublikowania tych rewelacji jak mieczem Damoklesa zawieszonym nad gło-

wami obu polityków. Czy było tak w istocie? Nie dowiemy się tego aż do czasu, kiedy archiwa owe zostaną otwarte dla oczu świata. Wszyscy wybitniejsi cudzoziemscy politycy i mężowie stanu figurują tam na oddzielnych kartkach ze specjalnym oznaczeniem ich przywar, ich stosunków społecznych i finansowych, ich zdolności, sympatii i antypatii.

Francuskie partie prawicowe uważały aferę Staviskiego za nie lada gratkę. Nadarzał się dobry moment! Kraj był znużony nieustannym krążeniem tek ministerialnych, tasowaniem wciąż tych samych zatłuszczonych kart, wciąż powtarzanymi monotonnymi propozycjami obniżki płac pracowników służby publicznej, wiecznymi obietnicami i nieustannym paraliżowaniem próby działania. Robotnicy, chłopi i warstwy średnie były doprowadzone przez kryzys do ostateczności. Chwila zdawała się dostatecznie dojrzała do obalenia ustroju parlamentarnego i form demokratycznych we Francji i do przekształcenia tego ustroju na modłę faszystowską.

Camille Chautemps opuścił swój posterunek przed bitwą. Chociaż uzyskał zasadniczo wotum zaufania w Izbie, podał się do dymisji. Stworzyło to precedens. Po raz pierwszy w historii Trzeciej Republiki rząd legalnie stworzony, podtrzymywany przez Izbę, podał się do dymisji pod presją grup faszystowskich i profaszystowskich, które opanowały ulicę.

Nowe przetasowanie kart miało być lekarstwem w tej poważnej sytuacji? I znów pojawił się Daladier. W końcu stycznia 1934 roku stworzył swój drugi gabinet. Na kilka dni przedtem w arystokratycznych salonach Paryża krążyła lista „dyrektoriatu" złożonego z pięciu członków, który miał kierować losami państwa. Lista zawierała nazwiska: marszałka Pétaina, byłego prezydenta Republiki Gaston Doumergue'a, Pierre Lavala, André Tardieu i Adrien Marqueta.

Nowy rząd nie utrzymał się nawet dziesięć dni. Padł pod ciosami pierwszych rozruchów zorganizowanych przez piątą kolumnę hitlerowską we Francji. Dnia 6 lutego 1934 roku na

Placu Zgody i koło Izby Deputowanych zgromadzono ludzi, aby wysłali deputowanych do diabła. Znalazły się tam w pełnym szyku bojowym wszystkie ugrupowania i ligi, które burzyły się od tygodni z zamiarem obalenia francuskich instytucji demokratycznych. Krzyże Ogniste, Młodzi Patrioci, Les Camelots du Roi ryczeli: „My chcemy Pétaina!" Lecz był to jak gdyby tragiczny kontrapunkt, diaboliczna symfonia, gdyż poprzez nią dawała się słyszeć inna melodia, panująca nad tłumem, który ryczał na Placu Zgody. Głos ten powtarzał: „My chcemy takiego człowieka jak Hitler." Ambasador obcego mocarstwa, który znajdował się w środku tej dzikiej hordy, słyszał, jak ktoś z tłumu powiedział do niego: „Hitlera nam potrzeba!" Spędziłem kilka godzin pośród manifestantów i słyszałem to samo zdanie wszędzie i przez cały czas. W rok po dojściu do władzy najgroźniejszego wroga Francji francuski faszyzm rzucał już swe antydemokratyczne hasła bojowe.

Manifestacja zamieniła się w rozruchy. Tłum zaatakował policję, która zrazu stawiała opór, później sama zaczęła nacierać. Po walce znaleziono na asfalcie trupy dwudziestu demonstrantów i jednego agenta policji. Było przeszło dwustu rannych; w tym połowa spośród policji. Była to złowroga noc strzelaniny, ulicznych ataków i kontrataków. Faszyści strzelali do autobusów, do budynku Ministerstwa Marynarki, usiłowali owładnąć Pałacem Elizejskim. W tym samym czasie, kiedy rozgrywała się pierwsza batalia hitlerowskiej piątej kolumny we Francji, Daladier uzyskał w Izbie wotum zaufania 343 głosami przeciw 237.

Po tym głosowaniu w Izbie udałem się do Ministerstwa Wojny, gdzie miał swoje biura Daladier. Spotkałem go przy drzwiach wejściowych. Wydawał się niezdecydowany.

— Co pan ma zamiar czynić? — zapytałem go.

— Rozruchy zostaną stłumione — odpowiedział mi. — Rząd nie będzie tolerował zakłócenia porządku publicznego. Ma on wszelkie sposoby, aby nakazać posłuszeństwo prawu.

Rzuciwszy przez ramię te słowa wszedł do gmachu ministerstwa.

Wówczas to odbyło się drugie spotkanie Weygand — Daladier w nocy z 6 na 7 lutego. Weygand znieważył Daladiera, wściekłego i sinego ze strachu.

— Mówią, że pan ma zamiar wezwać na pomoc armię. Nie mogę panu gwarantować, że za panem pójdzie, ale mogę gwarantować, że armia nie zapomni nigdy, jeśli jej pan oszczędzi tego dylematu.

We wczesnych godzinach rannych w dniu 7 lutego Daladier, zastraszony, opuszczał swój posterunek. Podawał się do dymisji bez naradzenia się nawet ze swymi kolegami. Otwierał drogę rządowi, po którym spodziewano się, że wprowadzi faszyzm. Poza nim rysowały się w cieniu profile piętnastu regentów Francji.

III

REGENCI FRANCJI

W ciągu siedemdziesięciu lat istnienia Trzeciej Republiki miała ona przeszło sto gabinetów, ale w rzeczywistości przez cały ten okres krajem rządziło 15 regentów Banku Francji. Oni byli prawdziwymi władcami kraju.

Konstytucja Trzeciej Republiki przyjęta była większością jednego głosu przez parlament, w którym przeważali monarchiści. Konstytucja ta, nie podlegająca w ciągu lat żadnym zmianom zasadniczym, została uchwalona przez swych monarchistycznych twórców w takiej formie, która chroniła przywileje znikomej mniejszości. Głosowanie powszechne i bezpośrednie, obejmujące wyłącznie mężczyzn, dotyczyło tylko wyboru Izby Deputowanych. Senat został utworzony jako tama i hamulec. Ta wysoka Izba była wybierana w sposób pośredni przez radców municypalnych i generalnych, na których można było z powodzeniem wywierać najrozmaitsze rodzaje presji. Presje te były regułą — nie wyjątkiem. Prezydentowi republiki nie dano prawie żadnej władzy. Był raczej postacią reprezentacyjną niż zwierzchnikiem władzy wykonawczej. Miał on jednakże istotną prerogatywę: prawo wyboru prezesa ministrów. Niejeden prezydent Trzeciej Republiki wyznaczał umyślnie premiera konserwatystę, aby

powściągnąć lub złagodzić nastroje Izby, której większość była lewicowa.

Ale poza i ponad tą strukturą twórcy konstytucji pozostawili nietknięty Bank Francji. Instytucja ta stała na szczycie piramidy państwowej w tej postaci, w jakiej stworzył ją Napoelon Bonaparte: autonomiczna, nietykalna, źródło potęgi nieograniczonej. W chwili swego powstania, przed z górą wiekiem, w broszurze, która miała wielkie powodzenie, Bank Francji został nazwany „nową Bastylią". Dowiódł on ponad wszelką wątpliwość słuszności tej nazwy: stanowił dobrze obwarowaną fortecę, wzniesioną w interesie najbogatszych sfer kraju.

Wysoki Bank, jak się go zwykło nazywać, trzymał rękę na pulsie wszystkich zasadniczych gałęzi przemysłu, wszystkich instytucji kredytowych i banków handlowych Francji. Wyznaczał arbitralnie stopę dyskontową i wysokość kredytu krytego gwarancjami i złotem. Zgadzając się na eskonto weksli — pozwalał żyć przedsiębiorstwom handlowym, odmawiając go — ogłaszał na nie wyrok śmierci. Rządził bezapelacyjnie finansami i przemysłem. Rozstrzygał o losie rządu znajdującego się u władzy. Przyznając konieczne kredyty pozwalał gabinetowi istnieć, odmawiając ich przecinał życie gabinetu.

W roku 1933 kapitał Banku Francji podzielony był między 31.000 akcjonariuszy. Ale wśród nich zaledwie dwustu miało prawo głosować na walnych zgromadzeniach. Tych dwustu akcjonariuszy nosiło nazwę „dwustu rodzin"; dzierżyły one ster finansów i przemysłu całego kraju.

Sprawami Banku kierowała Rada złożona z 21 członków: prezesa, dwu wiceprezesów, piętnastu tzw. regentów i trzech radców finansowych. Prezes i wiceprezesi byli wyznaczani przez rząd. Ale tylko akcjonariusz posiadający co najmniej sto akcji mógł być mianowany prezesem. W r. 1933 sto akcji reprezentowało sumę około 2 mil. fr. Tylko posiadacz pięćdziesięciu mógł zostać wiceprezesem. Było w zwyczaju, że piętnastu regentów zapewniało prezesowi i wiceprezesowi

wymaganą liczbę akcji. Było również w zwyczaju, że prezes i wiceprezesi otrzymywali w chwili wygaśnięcia ich mandatu lukratywne stanowiska w prywatnym przemyśle.

Piętnastu regentów reprezentowało wielkie banki, wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Ale dla najważniejszych spośród nich wybór do Rady Nadzorczej był zwykłą formalnością, ponieważ ich stanowisko było w praktyce dziedziczne. W ten sposób rodzina Rothschildów reprezentowana była w Radzie od siedemdziesięciu lat, Malletowie i Hottingerowie od przeszło stulecia.

Rada Banku była równie ekskluzywna jak arystokratyczny Jockey-Club. Garstka ludzi, połączona węzłami klasowymi, małżeńskimi, materialnymi, stosunkami społecznymi i towarzyskimi, tworzyła solidną twierdzę, broniącą się przed każdym, kto chciał dotrzeć do niej z zewnątrz. Uczęszczający do tych samych salonów i tych samych ultrawytwornych klubów mogli z powodzeniem ścierać się i rywalizować między sobą. Ale jeśli tylko poważniejsze niebezpieczeństwo zaczynało zagrażać ich wspólnym interesom, występowali z nieubłaganą solidarnością, usuwając ze swej drogi wszystko, co mogło im się przeciwstawić, aby utrzymać porządek społeczny, na którym oparta była ich potęga. Kontrolowali oni obieg pieniądza i panowali w konsekwencji nad większą częścią aparatu przemysłowego kraju. Utrzymywali najściślejsze związki ze sferami kierowniczymi spośród kasty wojskowej, do której należeli liczni przedstawiciele ich rodzin. Byli związani z niektórymi z najwyższych dygnitarzy kościoła. Ich synowie, zięciowie, bratankowie dzierżyli kluczowe stanowiska w aparacie państwowym, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w administracji finansowej. Oni dostarczali dyplomatów, którzy reprezentowali Francję za granicą. Oni finansowali hojnie partie i ugrupowania polityczne. Za pośrednictwem prasy, której byli właścicielami lub którą kontrolowali, kształtowali opinię publiczną według swoich potrzeb.

W ten sposób, dzięki możności zlikwidowania każdego rządu, dzięki kontroli nad partiami politycznymi prawicy i kilkoma z najbardziej wpływowych francuskich dzienników, wielka finansjera kontrolowała w istocie politykę francuską. Historia jej jest długa, ale zawsze, jak powiedział publicysta francuski, Delaisi, „była ona z tamtej strony barykady".

W czerwcu 1848 Bank walczył z liberalnymi demokratami i poparł generała Cavaignaca. Dzika brutalność, z jaką generał ów stłumił powstanie czerwcowe, jest powszechnie znana. Później Bank zawarł sojusz z Napoleonem III i podtrzymał jego reakcyjną dyktaturę. Po wojnie roku 1870 Bank Francji był po stronie marszałka Mac Mahona i monarchistów przeciwko ludowi. Podczas afery Dreyfusa Bank, wbrew Rothschildom, finansował antydreyfusardów. W pierwszym dziesięcioleciu po wojnie 1914-1918 Bank zwalczał zaciekle dwa rządy sformowane przez radykałów pod przewodnictwem Herriota i obydwa pogrzebał. Jak oświadczył wówczas Herriot, stworzył on „mur pieniężny", którego nie był w stanie zwalczyć żaden gabinet. Pewnego dnia, podczas pierwszej wojny światowej, kiedy Clemenceau skarżył się, że nie ma dostatecznej władzy, pewien deputowany zapytał go:

— Ależ w końcu kto jest od pana potężniejszy?

— Rada Banku Francji — rzucił brutalnie stary „Tygrys".

Podczas pierwszej wojny światowej Mussolini walczył o to, by Włochy przeszły na stronę aliantów. Jego wysiłki były hojnie finansowane przez ówczesny rząd francuski. Po dojściu do władzy duce stał się faworytem regentów Banku. Ich dzienniki podtrzymywały od pierwszej chwili jego reżim, mimo licznych gwałtownych ataków na Francję w okresie powojennym. Nawet fakt, że rewindykacje terytorialne Włoch faszystowskich dotyczyły kolonii i posiadłości francuskich, nie zmniejszył jednostronnego uwielbienia regencji dla ustroju faszystowskiego.

Nie po raz pierwszy przy tym Bank Francji dawał swym prywatnym interesom pierwszeństwo przed interesami narodowymi. Podczas wojny 1870 roku Bank stał wiernie u boku

Thiersa, „potwornego karła", który szukał porozumienia z pruskim kanclerzem Bismarckiem.

W roku 1933, kiedy Hitler sięgnął po władzę, regenci byli zachwyceni zdławieniem niemieckiego proletariatu, rozbiciem związków zawodowych i zakazem działania wszystkich partii politycznych liberalnych i lewicowych. Gotowi byli zapomnieć, że führer określił Francję jako wroga Niemiec nr 1 i że w Mein Kampf izolację i zniszczenie Francji umieścił na czele swego programu.

Od pierwszych dni reżimu hitlerowskiego dwieście rodzin patrzyło z zawiścią na drugi brzeg Renu. Uznały one Hitlera, tak samo jak to przed nimi uczyniła wielka finansjera niemiecka, za tego, kto wybawi Europę od bolszewizmu. W pierwszych miesiącach rządów Hitlera miały one pewne wątpliwości co do jego utrzymania się przy władzy i dalszych sukcesów. Ale na początku roku 1934 dwieście rodzin nieodwołalnie zdecydowało pójść za jego przykładem i zawarło z Hitlerem przymierze polityczne. Uważały one, że Francja dojrzała do przekształcenia się na wzór Włoch faszystowskich lub hitlerowskich Niemiec.

Raport Komisji Finansowej Izby Deputowanych, datujący się z r. 1936, uchyla rąbka tajemnicy kryjącej działalność i konszachty Banku Francji. Oskarża on Bank o to:

1. że znajdował się w rękach oligarchii rządzącej krajem ponad głowami jego wybranych reprezentantów;

2. że udzielał ulg kredytowych członkom oligarchii i ich otoczenia chętniej i hojniej niż innym firmom;

3. że czynił nieograniczone ułatwienia kredytowe wielkim instytucjom, odrzucając wnioski mniejszych przedsiębiorstw handlowych;

4. że doprowadził do ruiny wiele małych i średnich przedsiębiorstw, jak na przykład prywatne banki rolne.

Statystyka wykazała, że piętnastu regentów było prezesami lub członkami rad nadzorczych 250 instytucji, w tym trzydziestu jeden banków prywatnych, dwóch towarzystw eksploatacji kolei żelaznych, siedmiu towarzystw przemysłu

hutniczego, sześciu instytucji użyteczności publicznej, ośmiu towarzystw węglowych, dwunastu towarzystw przemysłu chemicznego i ośmiu towarzystw ubezpieczeniowych. Jak ośmiornica wyciągali regenci swoje macki do kluczowych gałęzi przemysłu i ośrodków finansowych kraju. Ale ich szpony sięgały również i poza granicę kraju.

Eugeniusz Schneider, król przemysłu hutniczego, przedstawiciel wielkiego trustu zbrojeniowego Schneider-Creusot w Radzie Banku Francji, stał również na czele Banku Unii Europejskiej, który kontrolował wielkie zakłady zbrojeniowe Skoda w Czechosłowacji. Izbie Deputowanych dostarczono przekonywających dowodów, że francuski dyrektor zakładów Skoda rozdysponował bardzo poważne sumy na rzecz partii narodowo-socjalistycznej. Po inwazji na Czechosłowację w r. 1939 Schneider sprzedał Niemcom swe akcje zakładów Skoda. Transakcja została dokonana za pośrednictwem paryskiego banku braci Lazard, reprezentowanego w Radzie Banku przez Maxa David-Weill. Bracia Lazard mieli ścisłe związki z bankiem Lazard, Speyer i Elison we Frankfurcie, związanym z kolei z Metallgesellschaft, filią potężnego niemieckiego trustu chemicznego I. G. Farben.

I. G. Farben współpracowało w Hiszpanii, w Południowej Ameryce i w Chinach z chemicznym trustem francuskim Kuhlmanna, reprezentowanym w Radzie Banku przez René Duchemin. Godny zanotowania jest fakt, że 75% kapitału jednej z fabryk materiałów wybuchowych I. G. Farben należało do Francuzów.

Członek Rady Nadzorczej, senator François de Wendel, stał na czele trustu Wendel, najpotężniejszego trustu górniczego we Francji. Stał on także na czele Comité des Forges, najpotężniejszej federacji francuskiego przemysłu ciężkiego. Kopalnie, fabryki, wielkie piece koncernu Wendel położone są na granicy francusko-niemieckiej. Jedne są we Francji, inne w Zagłębiu Saary. W roku 1914, na początku pierwszej wojny światowej jeden z bliskich krewnych senatora de Wendel był członkiem Reichstagu.

Prezydent Lebrun był zawsze dobrze notowany w Comité des Forges. Jako inżynier-górnik i dyrektor jednego z towarzystw akcyjnych w Lotaryngii, Lebrun był członkiem Rady Przemysłu Stalowego w Micheville, instytucji wchodzącej w skład tego komitetu. François Poncet, ambasador Francji w Berlinie od 1931 do 1939, miał również ścisłe związki z tą wszechpotężną organizacją. Przed podjęciem się funkcji dyplomatycznych w Berlinie François Poncet wydawał w Paryżu codzienny biuletyn Comité des Forges. Należało do tradycji, że ambasador Francji w Berlinie był „człowiekiem zaufania" francuskich magnatów stali.

Wojna 1914-1918 nie zerwała bynajmniej kontaktów między ciężkim przemysłem francuskim i niemieckim. Od samego jej początku kopalnie żelaza w zagłębiu Briey wpadły w ręce Niemców i były eksploatowane na wielką skalę dla produkcji zbrojeniowej. Francuzi raz jeden tylko bombardowali te kopalnie. W r. 1916 zapytano ministra wojny, generała Lyautey, dlaczego to poważne źródło surowców wojennych dla Niemiec nie zostało zniszczone. Oświadczył on, że wydano stosowne rozkazy, lecz nie zostały one wykonane. Po wojnie dziennik l'Information z 16. 2. 1919 r. opublikował list, który odsłaniał przyczyny, dla jakich rozkazy te nie były wykonane: między toczącymi wojnę zawarte zostało ciche porozumienie, zagwarantowane ze strony francuskiej przez de Wendela i Schneidera, ze strony niemieckiej zaś przez magnata przemysłowego Thyssena i króla przemysłu hutniczego w Zagłębiu Saary — Roechlinga.

W r. 1933 na kongresie partii radykalno-socjalistycznej delegat, nazwiskiem Sennac, oświadczył, że koncern Schneider-Creusot dostarczył ostatnio Niemcom hitlerowskim pewną liczbę tanków francuskich najnowszego typu, wysyłając je przez Holandię, aby uniknąć wszelkich podejrzeń. Delegat Sennac gotów jest to udowodnić. W marcu 1940 r. na jednej z tajnych sesji Izby Deputowanych ujawniono, że od wrześ-

nia 1939 Francja dostarczyła Niemcom znacznych ilości rudy żelaznej, otrzymując w zamian za to węgiel. Tranzyt szedł przez Belgię.

Tak wygląda cząstka danych o działalności ludzi, którzy w charakterze członków Rady Banku Francji rządzili faktycznie państwem francuskim. Zarówno w czasach pokoju jak w czasach wojny udowodnili oni, że interes narodowy obchodził ich o tyle tylko, o ile zbiegał się z ich prywatnymi interesami: w ukryciu popierali oni pod względem finansowym wszelkie ugrupowania i ligi faszystowskie. Legitymacja Ligi Krzyży Ognistych, którą posiadał François de Wendel, nosiła jeden z pierwszych numerów, a mianowicie nr 13. Legitymację nr 7 tego stowarzyszenia miał — jak mówiono — potentat przemysłu elektrycznego, Ernest Mercier, ściśle związany z niemieckim trustem elektrycznym A.E.G. W roku 1934 otrzymano wiadomość, że jego subwencje na rzecz owej najpotężniejszej organizacji faszystowskiej we Francji przekroczyły kwotę 10 milionów franków. Za pieniądze tych bogaczy płk de la Rocque dokonywał zakupów broni, amunicji i samolotów dla swych formacji wojskowych. Za te pieniądze zostały zorganizowane rozruchy 6 lutego 1934 r. i Trzecia Republika doprowadzona nad brzeg przepaści. Kiedy lutowe rozruchy osiągnęły swój cel i Daladier podał się do dymisji, miejsce jego zajęło „ukochane dziecko" dwustu rodzin. Był nim Gaston Doumergue.

IV

PAPA DOUMERGUE, NIEUDANY ZBAWCA

Powierzenie funkcji utworzenia rządu w roku 1934 Gastonowi Doumergue, liczącemu siedemdziesiąt dwa lata, zostało przywitane przez organizację Krzyżów Ognistych jako duży sukces. Płk de La Rocque nadał telegraficzny biuletyn zwycięstwa do wszystkich swoich placówek na terenie kraju.

Na konferencji kierowników organizacji de La Rocque wyraził przekonanie, że faszyzm zostanie wprowadzony we Francji najpóźniej pod koniec 1934 roku. Pomylił się w obliczeniu mniej więcej o sześć lat.

Rząd Doumergue'a był pierwszym z serii rządów „narodowych", które sprawowały władzę we Francji w okresie dwóch lat. W rządach tych brali udział radykalni socjaliści i ludzie prawicy; ci ostatni — w większości. Lata te zaznaczyły się usiłowaniami wprowadzenia zmian do konstytucji Trzeciej Republiki, wyposażenia prezydenta republiki we władzę półdyktatorską i ograniczenia zazdrośnie strzeżonych przez parlament praw jego do kontroli finansów państwa. W tym okresie powstał Front Ludowy, stanowiący sojusz proletariatu i warstw średnich.

Na tydzień przed krwawymi utarczkami na Placu Zgody Doumergue oświadczył w przemówieniu radiowym, że parlament jest odpowiedzialny za wynikłą sytuację. Że nie uczy-

nił nigdy nic, aby wypełnić swoje zadania i że rewizja konstytucji wydaje mu się palącą koniecznością. Tak wyglądał szkic programu nowego rządu.

W toku całej swej kariery politycznej Gaston Doumergue był zawsze człowiekiem koniunktury. Za każdym razem, kiedy wybuchał trudny do rozstrzygnięcia konflikt między prawicą a lewicą, albo gdy chodziło o osiągnięcie dążeń politycznych prawicy przez utworzenie rządu tzw. ponadpartyjnego, Doumergue znajdował się zawsze na liście kandydatów. Nic nie odróżniało go specjalnie od przeciętnego typu polityków francuskich, prócz szerokiego, życzliwego uśmiechu. W ciągu czterdziestu lat uśmiech Doumergue'a był tęczą na niebie polityki francuskiej.

W r. 1913 utworzył on swój pierwszy rząd. Należał do wszystkich gabinetów w czasie pierwszej wojny światowej. Szczególniejszą opinię zyskał sobie wówczas, kiedy po oficjalnej podróży do Rosji na początku r. 1917 zapewnił, że rząd carski nigdy nie był tak solidnie ugruntowany jak w owej chwili. W miesiąc później car i jego rządy zostały obalone przez rewolucję.

W r. 1924 został wybrany na prezydenta republiki. Wkrótce później Herriot biadał: — Przepędziliśmy reakcję sprzed drzwi frontowych, ona zaś w osobie Doumergue'a weszła — kuchennymi.

Pod koniec kadencji Doumergue otrzymał rekompensatę za swoją służbę. Został mianowany członkiem Rady Administracyjnej Kanału Sueskiego ze skromnym wynagrodzeniem 200 tys. franków rocznie. Osiadł wówczas na wsi na południu Francji w Tournefeuille, gdzie w komfortowej posiadłości spędzał czas na uprawie winnicy i grze w karty z sąsiadami. — Zawsze wygrywa — mówili jego współtowarzysze. — Ma prawie takie szczęście w kartach jak przy sprzedaży swego wina.

W r. 1933 portret Doumergue'a pojawił się znów na szpaltach dzienników. Prawica poszukiwała kandydata, którego mogłaby postawić na czele rządu. Ale obecnie uśmiechniętego polityka nie nazywano już poufale „Gastonkiem"; obdarzono

go epitetem „mędrca z Tournefeuille". Przygotowywał on grunt dla swojej kandydatury przemawiając regularnie i często przez radio. Jednocześnie płk de La Rocque, szef Krzyżów Ognistych, wychwalał go w swych przemówieniach nazywając „przyszłym zbawcą Francji". W tym właśnie charakterze wybawcy od liberalizmu i demokracji Doumergue został wezwany do rządu. Tym razem dwieście rodzin raz na zawsze miało zamiar zakończyć swe rozrachunki z ideologią liberalną.

Plany rewizji konstytucji, jakie snuł Doumergue, zostały wyłożone w książce senatora Maurice Ordinaire'a, do której Doumergue napisał przedmowę. Doumergue żądał przede wszystkim dla prezydenta republiki prawa rozwiązania Izby i rozpisania nowych wyborów, po drugie — zmniejszenia liczby deputowanych i przedłużenia czasu trwania ich mandatów, przy czym mieli być oni wybierani w głosowaniu pośrednim; po trzecie wreszcie — budżet miał być ustalany i wprowadzony w życie dekretem rządowym, bez rozpatrzenia go lub aprobaty parlamentu.

Zanim jednak gabinet Doumergue'a zdołał stanąć przed obliczem Izby, nastąpiły dwa wydarzenia, które skłoniły premiera do odroczenia wykonania tych projektów. W dwie godziny po oficjalnym utworzeniu przezeń rządu, wieczorem dnia 9 lutego wybuchły w Paryżu manifestacje uliczne. Komuniści rzucili hasło demonstracji przeciwko rządowi Doumergue'a na Placu Republiki w Paryżu. Policja przeszkodziła im. Bardzo niewiele ludzi zdołało dostać się na miejsce, które było strzeżone przez silny kordon agentów i oddziały policyjne. Rząd zwrócił się z apelem do policji i do armii, aby przeszkodziła demonstracjom. Tymczasem manifestacje rozszerzały się jak ogień w całej wschodniej części Paryża od Belleville do Menilmontant, na dworcach Wschodnim i Północnym. Za wysokimi barykadami bezbronny tłum stał naprzeciw policji. Karabiny i granaty grały aż do pierwszych godzin następnego ranka. Na strzały odpowiadał grad kamieni. Początki rządów Doumergue'a naznaczone zostały krwią. Raporty oficjalne podawały straty obu stron na prze-

szło dwustu zabitych i rannych. Powyżej tysiąca ludzi aresztowano. Po raz pierwszy oświadczono oficjalnie, że walka została sprowokowana przez wpływy i machinacje obcych agentów. Od tego czasu widmo „obcych agentur" było refrenem często powtarzanym przez część prasy paryskiej.

W trzy dni później w Paryżu i wielkich miastach na prowincji wybuchł strajk generalny. Tego samego dnia socjaliści i komuniści, chociaż urządzono ostentacyjnie dwa zgromadzenia oddzielne, przyszli jednocześnie do paryskiego lasku Vincennes. Pod koniec obu meetingów przeszło sto tysięcy paryżan połączyło się w jeden potężny pochód demonstracyjny. Koła rządowe były tym głęboko zaskoczone i zaniepokojone. Była to pierwsza manifestacja jedności socjalistów i komunistów od chwili rozdzielenia się obu tych partii w r. 1922[1]. Mimo bardzo gwałtownej wewnętrznej walki, jaką od dwunastu lat toczyły ze sobą obie partie, doszło do tej wspólnej manifestacji.

Następnego ranka po wybuchu strajku Doumergue naradzał się w ciągu kilku godzin ze swymi dwoma najbliższymi współpracownikami, byłymi premierami, Tardieu i Lavalem.

Laval przyznał prywatnie, choć później temu zaprzeczał, że to on właśnie razem z Tardieu ustalił główne punkty pierwszego oświadczenia, jakie Doumergue miał złożyć w Izbie Deputowanych. Politycy ci zdecydowali, że jeżeli chodzi o projektowane zmiany konstytucyjne, należy postępować bardzo ostrożnie. Niezadowolenie Paryża rosło. Doumergue i jego doradcy przypuszczali, że lud jest przybity i zaskoczony nagłym wycofaniem się Daladiera i groźnym popisem sił Krzyżów Ognistych. I oto teraz stwierdzili, że ludność gotowa jest prowadzić uporczywą walkę. Gdyby nawet parlament chciał popełnić samobójstwo, przyjmując tzw. „reformy" Doumergue'a, naród nie pozwoliłby na obalenie demokracji bez stanowczego oporu. Wobec tego rząd Doumergue'a, który miał zamiar przedstawić projekt zasadniczych zmian kon-

[1] Na konferencji w Tours.

stytucji już w czasie swego wystąpienia przed parlamentem, zdecydował się odłożyć ten projekt na później. Nowy gabinet wystąpił grzecznie i skromnie jako rząd porozumienia między partiami. Zbawca Doumergue zawinął się w poły płaszcza papy Doumergue'a o czarującym uśmiechu z dawnych lat. Pierwsza próba wprowadzenia faszyzmu „na zimno" chybiła.

Gabinet Doumergue'a składał się z dwudziestu czterech członków, pomiędzy którymi było tylko sześciu radykałów, wśród nich Herriot jako minister bez teki. Przedstawicieli reakcji w rządzie łączyło pragnienie zniszczenia systemu francuskiej demokracji parlamentarnej; różnił ich pogląd na sposoby, jakimi należało dążyć do tego celu. Tardieu, minister bez teki, reprezentujący prawicę, pragnął państwa korporacyjnego. Chciał on jednak utrzymać stałą, tradycyjną politykę francuską w stosunku do Niemiec, tę, którą prowadzili Clemenceau i Poincaré. Pierre Laval, minister kolonii, szukał dróg porozumienia pomiędzy faszyzmem we Francji, faszystowskimi Włochami i Niemcami Hitlera. Jego punkt widzenia miał też stać się stanowiskiem tzw. „narodowych" partii prawicy.

Aby poprowadzić swą politykę zagraniczną, Laval musiał czekać aż do śmierci Ludwika Barthou, którego bynajmniej nie z miłości ani z szacunku Doumergue uczynił swym ministrem spraw zagranicznych. Doumergue wciągnął go do swego gabinetu, ponieważ, jak mówił, Barthou w rządzie był nieprzyjemny, ale Barthou poza rządem oznaczał klęskę.

Ludwik Barthou miał siedemdziesiąt dwa lata, kiedy objął swe stanowisko na Quai d'Orsay. Miał za sobą świetną karierę. Urodził się w Pirenejach jako syn blacharza. Miał twarz ruchliwą, inteligentną, o iskrzących się oczach, ozdobioną spiczastą bródką. Wchodził on już w skład przeszło tuzina gabinetów.

W kilka tygodni po jego nominacji na stanowisko ministra spraw zagranicznych uzyskałem u niego rozmowę. Zapewnił mnie, że był jedynym członkiem rządu, który czytał M e i n K a m p f w wydaniu oryginalnym, a nie wyretuszowa-

nym. Barthou mówił biegle po niemiecku. Umiał recytować na pamięć długie ustępy z Heinego, który był jednym z jego ulubionych autorów.

Paryż burzył się. Powodem wzburzenia były pogłoski, że Hitler żąda stałej trzystutysięcznej armii, a rząd Doumergue'a pod presją Anglii gotów jest się na to zgodzić. Dzisiaj, po sześciu latach, wydaje się rzeczą fantastyczną, że poważni eksperci dyskutowali nad tym, by można było zaspokoić Hitlera godząc się na prawo posiadania armii złożonej z trzystu tysięcy żołnierzy. Ale ludzie Lavala byli wszędzie i zapewniali, że był to jedyny sposób zabezpieczenia pokoju. De Brinon krzątał się wokół redaktorów dzienników. Obok niego kręcił się Stanisław de La Rochefoucault, przedstawiciel sfer arystokratycznych, pracujących dla Lavala. Przywódcy ruchów faszystowskich z kół byłych kombatantów kręcili się po Paryżu, zapewniając jak mogli najgoręcej, że Hitler ma rzekomo wykreślić z Mein Kampf te ustępy, które obrażały Francję, i że przygotowuje się nowe, oczyszczone wydanie tej książki. Zdołali oni przekonać przywódcę wpływowego ugrupowania byłych kombatantów, deputowanego Jeana Goy, który zatrzymywał swoich kolegów w kuluarach Izby, aby ich zapewnić o dobrej wierze Hitlera. Jeden z najinteligentniejszych hitlerowskich agentów, Otto Abetz, odbył swą pierwszą podróż do Paryża. Odwiedził on wytworne salony paryskie w towarzystwie korespondenta Frankfurter Zeitung, Friedricha Sieburga, notorycznego renegata, który z demokratycznego liberała stał się narodowym socjalistą.

Ludwik Barthou, mały, krzepki, grzeczny, kulturalny i obrotny, miał jak gdyby we krwi zamiłowanie do polityki. — Trybuna jest ołtarzem słowa — napisał kiedyś. Fanatycznie lubił muzykę; był zamiłowanym bibliofilem i amatorem sztuki. Kiedy po jego śmierci sprzedano na licytacji jego bibliotekę, okazało się, że posiadał największą kolekcję francuskiej literatury erotycznej.

Ów mąż stanu, będący w owej epoce upadku figurą raczej drugoplanową, był ciekawym typem, w którym realizm Poincarégo łączył się z temperamentem Brianda. W godzinach wolnych od zajęć napisał pewną ilość książek, głównie na temat literatury francuskiej. Jedna z jego prac jest poświęcona Ryszardowi Wagnerowi. Dziwny kaprys historii sprawił, że ten ruchliwy, mały południowiec uwielbiał muzycznego prekursora nazizmu.

Barthou był ostatnim przedstawicielem tradycyjnej polityki francuskiej na Quai d'Orsay. Polityka ta była podyktowana w równej mierze obawą przed militarnym i przemysłowym potencjałem Niemiec jak nieufnością w stosunku do angielskiej polityki równowagi sił na kontynencie. Chociaż pragnął on utrzymać sojusz francusko-brytyjski, męczyła go myśl, że w tym wzajemnym związku, według dosadnego określenia Clemenceau, Francja była koniem, a Anglia jeźdźcem. Według jego doktryny Francja powinna być pierwszą potęgą kontynentalną w Europie. Koniecznym warunkiem równowagi europejskiej był dla niego łańcuch sojuszów Francji z Polską, Czechosłowacją, Rumunią i Jugosławią. Kiedy Barthou był na Quai d'Orsay, inicjatywa w międzynarodowej polityce europejskiej należała do Francji: w późniejszych latach Francja straciła ją na korzyść konserwatywnej Anglii i hitlerowskich Niemiec.

Barthou był nieubłaganym przeciwnikiem ZSRR w pierwszym okresie po wojnie 1914—18 r. W polityce wewnętrznej był zdecydowanym konserwatystą. Ale wobec rosnącego niebezpieczeństwa hitleryzmu dążył wytrwale do osiągnięcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim. W maju 1934 roku współpracował w Genewie z Litwinowem nad stworzeniem warunków umożliwiających przystąpienie Związku Radzieckiego do Ligi Narodów. Na tej samej sesji wystąpił przeciwko próbom uczynienia koncesji na rzecz Hitlera, podjętym przez sir Johna Simona. W namiętnym przemówieniu, jakie wygłosił w odpowiedzi na jego rozwlekłe wywody, obnażył militarystyczny i wojenny charakter narodowego so-

cjalizmu, który określił definicją Mirabeau jako „niemiecki przemysł narodowy". Po tym przemówieniu, sir Johna Simona, flegmatycznego apostoła polityki uspokojenia, nie oglądano już więcej na sesji Ligi Narodów.

Barthou od chwili swego przybycia na Quai d'Orsay podjął niezwłocznie zadanie utrwalenia systemu francuskich sojuszów. W tym celu odbył wielką podróż po Europie, odwiedzając Polskę, Rumunię, Jugosławię i Czechosłowację. Jego myślą przewodnią było uzupełnienie układów Locarno (które gwarantowały Francji, Anglii, Niemcom, Włochom i Belgii pomoc wszystkich innych państw — sygnatariuszy paktu — w wypadku, gdy jedno z nich byłoby zaatakowane przez inne) przez „Locarno wschodnie", które obejmowałoby Niemcy, Rosję Sowiecką, Polskę, Czechosłowację i kraje bałtyckie.

W czasie swej podróży Barthou przypadkiem tylko uszedł śmierci, gdyż podczas przejazdu przez Austrię narodowi socjaliści podłożyli bombę pod jego pociąg. Prasa francuska otrzymała z gabinetu Rady Ministrów ścisłe instrukcje, nakazujące zbagatelizowanie wypadku.

W Belwederze w Warszawie Barthou spotkał się z marszałkiem Piłsudskim, starzejącym się dyktatorem Polski. Piłsudski zdawał się zdecydowanie aprobować świeżo zawarty pakt nieagresji z Hitlerem. Opuszczając Belweder Barthou robił wrażenie wzburzonego i przygnębionego.

— Nie udało mi się skłonić go do zmiany stanowiska — wyznał.

W Rumunii osiągnął pełny triumf. Rumuńscy entuzjaści mianowali go obywatelem honorowym. Jugosłowiański król Aleksander, podczas audiencji, której mu udzielił, ponowił swe oświadczenia lojalności w stosunku do Francji. Następnie Barthou odbył rozmowy ze starym prezydentem Republiki Czechosłowackiej, Tomaszem Masarykiem i jego uczniem, ministrem spraw zagranicznych, Edwardem Beneszem. Obaj złożyli mu kategoryczne zapewnienia współpracy w wypadku jakiejkolwiek próby ekspansji hitlerowskiej.

Ta podróż była wspaniałym sukcesem osobistym Barthou i jednocześnie sukcesem politycznym Francji. Ale odbywając ją Barthou zobaczył wyraźne oznaki niebezpieczeństwa. Po powrocie do Paryża wyznał:

— Nie doceniałem tego Hitlera. Pracuje on gorączkowo na wschodzie i na północnym wschodzie Europy. Myślę, że tym razem wygrałem partię. Ale trzeba będzie ciężko pracować, aby go stale utrzymać w szachu.

Führer nie bagatelizował sukcesu Barthou. W październiku 1934 roku Barthou i jugosłowiański król Aleksander, składający Francji oficjalną wizytę, zostali zamordowani w Marsylii przez chorwackich terrorystów. Zabójcy należeli do znanej bandy Ustaszów; nieodparte dowody potwierdziły ich związki z partią hitlerowską. Dziennik Ustaszów był drukowany w Berlinie przy finansowej pomocy sekcji zagranicznej N.S.D.A.P. Zabójcy z Marsylii otrzymali swe fałszywe paszporty w Monachium. Karabin maszynowy, którym się posługiwali, nosił markę fabryczną Mausera w Oberndorfie nad Neckarem, gdzie mieściły się ważne niemieckie zakłady zbrojeniowe.

Był to trzeci w owym roku mord polityczny, popełniony przez narodowych socjalistów lub ich agentów: kanclerz Dollfuss w Wiedniu, premier rumuński Duca w Sinaia koło Bukaresztu i obecnie król Aleksander i Ludwik Barthou w Marsylii. Ściśle biorąc francuski mąż stanu stracił życie usiłując własnym ciałem ochronić króla. Nawet Journal des Débats, dziennik, który ponosił ciężką odpowiedzialność za wypadki z lat poprzednich, przyznał niechętnie: „Morderstwo stało się integralną częścią polityki zagranicznej."

Po śmierci Barthou miejsce jego na Quai d'Orsay zajął Pierre Laval. Po człowieku, który miał odwagę zawołać w Genewie, że „obietnice Niemiec hitlerowskich nie mają wielkiej wartości", przyszedł następca, który oświadczył:

— Nie zawaham się zawrzeć porozumienia z Berlinem, jeśli tylko będzie to możliwe.

W niespełna dwa miesiące po zabójstwie w Marsylii von Ribbentrop, wówczas specjalny wysłannik Hitlera, został przyjęty przez Lavala w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Nie tylko w Berlinie śmierć Barthou została przyjęta z westchnieniem ulgi. Doumergue wykorzystał okazję do wprowadzenia zmian personalnych w rządzie. Zmiany te miały swoją wymowę. Usunięto ministra, który znał zbyt wiele sekretów na temat afery Staviskiego, a zwłaszcza posiadał dużo informacji na temat podżegaczy w lutowych zamieszkach. Był to Henri Chéron, Normandczyk, okrąglutki i złośliwy. Chéron nastawał na przeprowadzenie całkowitego i w miarę możności na szeroką skalę zakrojonego dochodzenia w sprawie morderstwa w Marsylii.

Któregoś dnia marszałek Pétain, minister wojny, oświadczył:

— Jest w tym rządzie jeden ciężki orzech do zgryzienia. — Był to jeden z rzadkich wypadków, kiedy marszałek zabrał głos.

— Kogo pan ma na myśli? — zapytał Chéron.

— Pana! — odpowiedział Pétain.

I twardy orzech został bez ceremonii zlikwidowany. Chéron został zastąpiony w Ministerstwie Sprawiedliwości przez senatora Henry Leméry, wielkiego właściciela ziemskiego z Martyniki. Leméry, po którym spodziewano się, że wdroży dochodzenie w związku z zabójstwem w Marsylii, był honorowym członkiem Krzyżów Ognistych. Później stał się gorącym obrońcą polityki uspokojenia i złożył pełną szacunku wizytę generałowi Franco w Burgos. Nic dziwnego, że dochodzenie się wlokło! Sensacyjnym rekordem w dziejach sądownictwa był fakt, że wspólnicy zabójcy (sam on został zlinczowany na miejscu przez tłum) stanęli przed sądem w dwa lata później, podczas rządów Frontu Ludowego.

Gabinet Doumergue'a przeżył zabójstwo w Marsylii zaledwie o jeden miesiąc. Nie mógł pohamować rosnącego bezrobocia i był bezradny wobec przybierającej groźne rozmia-

ry depresji. Zdążył jednak dokonać redukcji płac pracowników państwowych dla pokrycia deficytu budżetowego.

Chociaż ministrem wojny był marszałek Francji, a ministrem lotnictwa generał Denain, gabinet Doumergue'a w sposób niedbały traktował potrzeby obrony narodowej. Miał mnóstwo dokładnych i szczegółowych raportów o intensywnych zbrojeniach Hitlera, a mimo to nie uczynił prawie nic w zakresie unowocześnienia przestarzałego zaopatrzenia armii francuskiej. W ostatnich dniach swej działalności generał Denain przedstawił nieśmiało plan reorganizacji armii powietrznej. Sugerował konieczność jej wzmocnienia o tysiąc samolotów. Było to w epoce, kiedy Niemcy hitlerowskie pracowały już w pełnym tempie nad realizacją parytetu swych sił powietrznych z Francją i Anglią i wkrótce uzyskały nad nimi przewagę. Upłynęło przeszło dwa lata, zanim ów tysiąc samolotów został dostarczony armii. Tymczasem modele ich stały się całkowicie przestarzałe!

* * *

Wspólna manifestacja z 12 lutego 1934 r. dała impuls do rozmów obu partii robotniczych: socjalistycznej i komunistycznej. Komuniści zwracali się niejednokrotnie do partii socjalistycznej z propozycją jedności działania, które miałoby na celu „mobilizację całej klasy robotniczej przeciwko faszyzmowi, walkę z niebezpieczeństwem wojny i o uwolnienie ofiar faszystowskiego terroru w Niemczech i w Austrii".

Tego samego dnia 12 lutego, kiedy paryscy antyfaszyści zgromadzili się na trawnikach Vincennes, w Wiedniu wznoszono barykady. W ciągu kilku dni szalała wojna domowa między siłami robotniczymi a armią kanclerza Dollfussa. Słynne wiedeńskie domy robotnicze zostały zburzone przez ogień artylerii i karabinów maszynowych. Klerykalny faszyzm zapanował w Austrii: związki zawodowe austriackich robotników, niegdyś tak potężne, zostały zamknięte, a socjaliści i komuniści postawieni poza nawiasem prawa.

Wypadki te wywarły głębokie wrażenie na ludności Francji. Terror hitlerowski w Niemczech siał coraz większe spustoszenie. Nie ulega wątpliwości, że okoliczności te przyśpieszyły podpisanie paktu o jedności działania obu partii.

Francuscy przywódcy socjalistyczni zaakceptowali ten nowy sojusz z komunistami niechętnie i z wieloma zastrzeżeniami. Na miesiąc przed oficjalnym podpisaniem paktu stała komisja administracyjna partii socjalistycznej odrzuciła 22 głosami przeciwko 8 wniosek w sprawie jedności. Pomiędzy 22 głosami przeciw był głos Leona Bluma, przywódcy partii socjalistycznej. Komisja ogłosiła rezolucję, w której stwierdzała, że moment do prowadzenia rozmów z komunistami był nieodpowiedni. Ale wniosek ten był wyraźnie przeciwny pragnieniom większości członków partii socjalistycznej. Manifestacje komunistyczno-socjalistyczne powtarzały się. Blum dał wyraz swoim osobistym poglądom w organie partyjnym Le Populaire:

> Znajdujemy się jak gdyby na równi pochyłej i to bardziej z powodu siły ciążenia niż z własnej woli. Poczucie nieświadomości, dokąd właściwie idziemy, jest czymś zupełnie naturalnym.

Mimo to 27 czerwca 1934 roku pakt został podpisany. Nazajutrz około 50 tysięcy paryżan zebrało się koło Panteonu, by uczcić pamięć dwudziestej rocznicy zabójstwa wielkiego socjalisty Jaurèsa na początku pierwszej wojny światowej.

Pakt socjalistyczno-komunistyczny musiał wywołać oddźwięk w szeregach radykałów. Lewicowe skrzydło partii radykalno-socjalistycznej wahało się, czy nie przystąpić do wspólnej akcji: przeszło połowa kadencji Izby upłynęła. Wybory zbliżały się. Deputowani radykalno-socjalistyczni zaczynali coraz pilniej badać perspektywy sojuszu wyborczego z socjalistami i komunistami. Tylko tą drogą mogli zapewnić sobie ponowny wybór do Izby. Otrzymywali sporo listów i sprawozdań od swych wyborców. Opinia publiczna nie była przychylna dla Doumergue'a, wręcz przeciwnie.

Pod koniec października 1934 atmosfera Paryża była znów naładowana elektrycznością. Rozeszła się pogłoska, że Liga Krzyżów Ognistych projektowała nowy pucz. Płk de La Rocque wygłaszał przemówienia pełne przechwałek i gróźb „przeciwko tym, którzy knuli spiski w celu obalenia wielkiego patrioty Doumergue'a".

Zorganizował nowe półwojskowe manifestacje na wielką skalę oraz próby mobilizacji, w których wzięło udział wiele samolotów. Został przyjęty przez marszałka Pétaina. Spotkanie to miało być utrzymane w bezwzględnej tajemnicy, wiadomość jednak o nim rozeszła się i przyczyniła do wzrostu naprężenia. Giełda zareagowała gwałtownie. Paryż żył znów w atmosferze wojny domowej.

Klika Doumergue'a przygotowywała broń do walki. Le Temps groził:

> Doumergue jest na dobrej drodze; musimy mu pomóc i iść za nim. Karta, którą poleca nam grać, jest kartą ostatnią i najlepszą. Jeżeli państwo nie zostanie przekształcone w duchu propozycji Doumergue'a, w ciągu kilku lat, a może nawet w ciągu kilku miesięcy nastąpi koniec naszego liberalnego reżimu.

Powaga groźby, pochodzącej z tego półoficjalnego źródła, była dla wszystkich oczywista. W kołach dobrze poinformowanych powtarzano sobie na ucho datę manifestacji: Liga Krzyżów Ognistych wybrała dzień 11 listopada, rocznicę zawieszenia broni, jako dzień „D"! W dniu tym odbywało się zazwyczaj wielkie zgromadzenie Krzyżów Ognistych i innych organizacji byłych kombatantów, kończące się wspólnym marszem do grobu Nieznanego Żołnierza pod paryskim Łukiem Triumfalnym.

Tym razem mówiono: „Manifestanci nie rozejdą się". Podczas gdy chmura ich samolotów zasłoni niebo nad Paryżem, ludzie z Krzyżów Ognistych zajmą strategiczne punkty w mieście i kilku większych ośrodkach prowincjonalnych. Później zamkną „gadatliwy sklepik" Parlamentu i ustanowią słynny

Dyrektoriat Pięciu. Tym razem wymieniane były nazwiska: Doumergue'a, Pétaina, Lavala, Marqueta i Weyganda. Tardieu nie było na liście. Nie wybaczył on też nigdy pułkownikowi de La Rocque, że wykreślił go z listy projektowanych dyktatorów. W kilka lat później zrewanżował się pułkownikowi.

Lewica przygotowywała się także. Paryż żył w podnieceniu. Manifestacje następowały jedna po drugiej w przyśpieszonym tempie. Najpotężniejsza demonstracja sił lewicy odbyła się w przeddzień kongresu radykałów-socjalistów. Prawie sto tysięcy mężczyzn i kobiet maszerowało ulicami Paryża żądając dymisji Doumergue'a i cofnięcia oszczędnościowych dekretów finansowych.

Pomoc przyszła ze strony, z której absolutnie nikt na nią nie liczył. Przemówił Georges Mandel. Zasiadał on w Izbie jako przedstawiciel niezależnych republikanów. Jako ścisły współpracownik Clemenceau, miał niemały autorytet w partiach prawicy. Przekonał on większość najbardziej wpływowych osobistości z tychże partii, że usiłowanie wprowadzenia faszyzmu drogą puczu doprowadziłoby do przewlekłej i krwawej wojny domowej i że wcale nie było pewne, czy faszyzm zwyciężyłby. Masy były nastawione wojowniczo i wyraźnie antyfaszystowsko.

Jest rzeczą ciekawą, że człowiekiem, który w ostatniej chwili rozstrzygnął o przebiegu wypadków i odradził Doumergue'owi sprowokowanie otwartej wojny, był jego minister robót publicznych Pierre-Etienne Flandin. W kilka dni po kongresie radykałów Flandin uczynił im dość wyraźną propozycję utworzenia nowego rządu bez Doumergue'a. Herriot wykorzystał tę okazję. Bał się konfliktu z Doumergue'em w zawiłej sprawie reform konstytucyjnych. Wolał go zwalczać w drobnych, stosunkowo nieznacznych sprawach budżetowych. Doumergue uparcie bronił swego punktu widzenia. Ministrowie radykalni szybko schowali się za potężną postać Herriota. Od tej chwili gabinet Doumergue'a należał do przeszłości.

Nadeszła grożąca od dawna godzina puczu prawicowego. W dzień zawieszenia broni Liga Krzyżów Ognistych przema-

szerowała przez Pola Elizejskie z okrzykami: „Nam trzeba Doumergue'a! My chcemy Weyganda!" Były to jednak tylko okrzyki i wołania w próżnię. Zmęczony starzec, uosobienie przeciętności, stał się znów dla swych przyjaciół poczciwym „Gastonkiem" i pojechał z powrotem do Tournefeuille.

Następcą Doumergue'a był Flandin. Wysoki sześć stóp i sześć cali, nazywany był „drapaczem chmur w Parlamencie". Był on najmłodszym z francuskich premierów. Objął to stanowisko, mając zaledwie czterdzieści pięć lat.

Flandin zaofiarował ministerstwo wojny Pétainowi, który za radą Weyganda odmówił. — Niech pan szczędzi swe siły — doradził Weygand. — Być może, przeznaczona panu będzie we Francji ta sama rola, jaką odegrał Hindenburg w Niemczech. — Herriot został w gabinecie Flandina ministrem bez teki, a Laval — ministrem spraw zagranicznych.

Flandin pochodził z rodziny wpływowej i bogatej. Ojciec jego, który był wyższym urzędnikiem w Tunisie, pozostawił swym dzieciom znaczny majątek. Flandin rozpoczął od kariery prawniczej, ale, mając lat dwadzieścia pięć, został wybrany deputowanym z chłopskiego okręgu Yonne, najmłodszym deputowanym w Izbie. Był też w r. 1914 jednym z pierwszych pilotów wojskowych; w r. 1917 został dyrektorem międzyalianckiej komunikacji lotniczej.

Flandin otrzymał wychowanie, jak je Francuzi nazywają, ze źle ukrywanym grymasem — w duchu angielskim, zarówno w sensie zwyczajów jak gustów. Był on wielkim amatorem polowania i rybołówstwa. Jako automobilista lubił szybką jazdę i żaden polityk francuski nie zapłacił tylu kar za przekroczenie szybkości dozwolonej. Wolał potrawy angielskie od przysmaków kuchni francuskiej. Jego wydłużona głowa, do połowy łysa, chwiała się na ramionach wyjątkowo szerokich. Lubił trzymać się prosto i przez to czynił wrażenie jeszcze wyższego, niż był w rzeczywistości.

Nim został premierem, brał udział w siedmiu gabinetach. Był przywódcą grupy parlamentarnej, nazywanej l'Alliance démocratique, której uprzednio przewodniczącym był

Poincaré. Tutaj stajemy wobec jeszcze jednej skomplikowanej subtelności francuskiego systemu politycznego: lewicowe skrzydło tego ugrupowania, bardzo płynne, niewiele dzieliło politycznie od jego sąsiadów z lewicy; skrzydło prawicowe natomiast trudno było odróżnić od sąsiadów z prawicy. Jakkolwiek rzecz się miała, pozycja Flandina była bezsprzecznie pozycją prawicową. Należał on tylko do gabinetów prawicowych. Dlatego manewr, przy pomocy którego przyczynił się w sposób decydujący do upadku Doumergue'a, był co najmniej zadziwiający.

Jest to klasyczny przykład sprzeczności francuskiego życia politycznego. Powiązany bardzo ściśle z kołami, które podtrzymywały Doumergue'a i które posługiwały się nim jako wygodnym parawanem, Flandin normalnie powinien był towarzyszyć swemu przywódcy w jego wzlotach i upadkach. Ale w skomplikowanej sytuacji jesienią 1934 r. przewidział on trafnie wydarzenia, dzięki którym mógł stać się sam przywódcą życia politycznego Francji. Nie pozwolił umknąć nadarzającej się okazji; chwycił byka za rogi i uczynił nagły zwrot ku lewicy. Kalkulacja była trafna.

Wielką niespodzianką w rządzie Flandina było objęcie ministerstwa poczt i telegrafów przez Georges'a Mandela. Nareszcie i Mandel doszedł do teki ministerialnej. Nie była to teka zbyt ważna, niemniej dawała mu złotą okazję. Mógł odtąd czuwać nad korespondencją wszystkich swych przyjaciół i nieprzyjaciół politycznych. Flandin, obawiając się, aby policja nie słuchała jego rozmów telefonicznych, kazał zainstalować sobie specjalną linię prywatną. Oszukał on policję, ale czujny wywiad Mandela, o którym Flandin zapomniał, pozostał na swoim posterunku.

Socjaliści i komuniści przyjęli w stosunku do nowego rządu wrogą postawę. Flandin był dla nich człowiekiem związanym ze skandalem w instytucji Aéropostale. Firma ta, zamieszana w oszukańcze spekulacje, zbankrutowała w 1931 r. Jej korupcyjne metody wywołały powszechną sensację i pociągnęły za sobą upadłość trzech banków. Flandin był

radcą prawnym tej firmy. Istniały dowody, że był na usługach tego towarzystwa również w czasie pełnienia obowiązków ministra finansów w jednym z poprzednich gabinetów. Kiedy Flandin wystąpił ze swym nowym rządem przed Izbą, przywitały go na ławach lewicy okrzyki: „Aéropostale, Aéropostale!" Mimo to otrzymał wówczas w Izbie znaczną większość głosów.

Kadencja jego rządu trwała siedem miesięcy. Nadszedł dzień, kiedy trzeba było zapłacić karę za to, co dwieście rodzin uważało za zdradę: za udział Flandina w upadku rządu Doumergue'a. W maju 1935 r. rząd stanął przed palącą potrzebą kredytów z Banku Francji. Kilka tygodni przedtem Flandin prosił już o pomoc Banku i uzyskał skromny kredyt. Obecnie Bank opublikował komunikat, który mówił:

> Rząd Flandina prosi o nowe kredyty. Odpowiedź zależeć będzie od posunięć w pierwszym okresie, w którym uzyskał on poparcie w zamian za wyrażoną chęć obrony franka.

Była to, rzecz jasna, groźba śmierci zawieszona nad gabinetem Flandina. Kiedy premier zmuszony był na nowo zwrócić się do Banku Francji, aby uzyskać uzupełniające kredyty, Rada Banku odmówiła mu w sposób chłodny. Gabinet Flandina zachwiał się szamotał się czas jakiś beznadziejnie i wreszcie upadł w maju 1935 roku.

V

PIĘTNAŚCIE MIESIĘCY LAVALA

Od czasu zabójstwa Barthou, solidnie obwarowany w historycznym gmachu na Quai d'Orsay, pełnym niezliczonych wąskich korytarzy i staroświeckich biurek, Laval w ciągu piętnastu miesięcy kierował polityką zagraniczną Trzeciej Republiki. Z początku był ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Flandina, który utrzymał się siedem miesięcy. Po jego upadku i po półpoważnym, półkomicznym przesileniu gabinetowym, podczas którego na przeciąg jednego dnia utworzono rząd Ferdynanda Buisson, Laval stanął na czele gabinetu, który musiał podać się do dymisji także po siedmiu miesiącach.

Znał on już bardzo dobrze Quai d'Orsay, gdyż trzy lata temu zajął w nim miejsce po wycofaniu się Brianda. W roku 1931 Laval, wówczas szef rządu, wraz z Briandem jeździł do Berlina, aby złożyć wizytę niemieckiemu kanclerzowi Brüningowi; mówi się, że Laval miał mu jakoby oświadczyć:

— Francji przydałoby się wiele takich ludzi jak pan.

Rząd niemiecki rządził wówczas przy pomocy dekretów wyjątkowych. Kiedy rozmowy z Lavalem zostały zakończone, Brüning opowiadał swoim kolegom, że francuski mąż stanu bardzo żywo interesował się półdyktatorskimi metodami rządu niemieckiego.

Laval wniósł ze sobą na Quai d'Orsay złośliwość i upór właściwe Owernijczykom. Owa górzysta prowincja w południowym centrum Francji rodzi w dzikim i pełnym kontrastu pięknie swej przyrody rasę ludzi twardych i oszczędnych. Oszczędnych — jest określeniem zbyt łagodnym, dokładniej byłoby — skąpych. Owernijczycy są we Francji tym, czym Szkoci w Anglii, i podobną rolę odgrywają w niezliczonych anegdotach.

Kilku biografów Lavala twierdzi, że jest on synem rzeźnika. Inni utrzymują, że ojciec jego był właścicielem kawiarni. Sądząc z powierzchowności, należałoby jego samego wziąć za rzeźnika. Jest on średniego wzrostu, skłonny do otyłości. Ma oliwkową cerę, właściwą ludziom z jego stron rodzinnych, oczy czarne, ciężkie powieki, wargi grube i wydatne, a zęby sczerniałe od tytoniu. Nic dziwnego, że w ciągu lat dzienniki hitlerowskie reprodukowały złośliwie portret Lavala jako uderzający przykład Francuza negroidalnego, okaz zepsucia rasy. Ale pamięć bywa krótka: jeden rozkaz z biura propagandy dra Goebbelsa i rysy Lavala nabrały niezwykłego powabu dla oczu hitlerowców.

W rzeczywistości Laval czynił trudne do zatarcia wrażenie brutala. Ani zręczność i uprzejmość, ani wyczucie tego, co się podoba rozmówcy, ani spryt, z jakim wykorzystywał jego słabe strony, nie mogły rozproszyć wywołanego uczucia niechęci.

Laval należał z początku do Francuskiej Partii Socjalistycznej. W młodości był przez jakiś czas nauczycielem w swym rodzinnym mieście. Później pojechał na studia prawnicze do Paryża. Jego pierwszym poważnym stanowiskiem była funkcja urzędnika w biurze prawnym Unii Związków Zawodowych okręgu paryskiego. Przed wojną był znany jako adwokat biedoty. W partii socjalistycznej spotkał się z Briandem na krótko przedtem, nim ten ostatni opuścił jej szeregi. Legenda podaje o Lavalu, że jako młody człowiek uczynił silne wrażenie na Briandzie i ten w sposób niezwykle gorący

mówił o nim z wodzem socjalistów, Jaurèsem. Kilku wielbicieli Lavala twierdzi nawet, jakoby Briand miał powiedzieć:

— Spotkałem dziś niezwykłego chłopca. Polecam go pańskiej uwadze.

Jakkolwiek było, Laval piął się coraz wyżej w partii socjalistycznej. W roku 1914, w wieku lat 31, został wybrany deputowanym z Aubervilliers, jednego z miast okręgu paryskiego.

Jego negatywna, defetystyczna postawa podczas pierwszej wojny światowej znana jest powszechnie. Tajny wywiad francuski, Drugie Biuro, umieścił jego nazwisko w słynnym „karnecie B" na liście ludzi, których w wypadku wojny należy aresztować lub mieć w ścisłej ewidencji. Laval należał do drugiej kategorii:

— Moje kroki były śledzone, moja korespondencja otwierana, przy moim telefonie działał podsłuch. Temu zawdzięczam znajomość techniki rządzenia. Umiejętność ta polega na tym, by wiedzieć, co przygotowują moi przeciwnicy. Wówczas nie spotka nas nigdy żadna niespodzianka.

Ale opowiadają historie jeszcze lepsze: Laval przekupił któregoś dnia policjanta, który go śledził, i ograł go w kości ze wszystkich pieniędzy.

Podczas wojny nie był wcale na froncie, chociaż kilka razy był na krótko zmobilizowany. Miał jednak świetną okazję do studiowania frontu wewnętrznego. Na tyłach spotkał wielu polityków z różnych partii, którzy podzielali jego defetystyczny pogląd. Było ich wielu zwłaszcza w otoczeniu byłego premiera Josepha Caillaux. Caillaux, sam pochodzący z wyższych warstw społecznych, utrzymywał ścisłe stosunki z ludźmi z wielkiej finansjery. Wprowadził on Lavala do tego pełnego pokus środowiska i pod koniec wojny w owych zamkniętych kołach zaczęto mówić o Lavalu. Przesunął się z lewicowego na prawicowe skrzydło partii socjalistycznej. Od tego czasu nieustannie przesuwał się ku prawicy. Leon Blum powiedział o nim pewnego dnia: — Niesposób okre-

ślić dzisiaj, kim Laval będzie jutro, można stwierdzić tylko na pewno, że pójdzie zawsze na prawo.

Klientela Lavala zmieniła się również. Stał się adwokatem bardzo wziętym. Wybierał starannie klientów, przyjmując sprawy tylko od wysoko postawionych. Główne źródło jego dochodów stanowiły stosunki z Franciszkiem de Wendel, potentatem przemysłu hutniczego. Został prywatnym radcą prawnym de Wendela.

Wszedł do polityki w r. 1914 bez jednego grosza. W roku 1935, kiedy jego córka José poślubiła hrabiego René de Chambrun, bratanka Amerykanina i obywatela amerykańskiego Nicolas Longwortha, potomka markiza de Lafayette, majątek Lavala szacowany był na przeszło 60 milionów franków. Został mianowany szambelanem papieskim. Mówiono, że posiadał trzy ogromne majątki ziemskie, stary zamek, stajnię wyścigową i nieoszacowaną kolekcję dzieł sztuki. Był właścicielem kilku dzienników prowincjonalnych i jednej stacji klimatycznej. W Izbie miał opinię szczęśliwego i śmiałego gracza na giełdzie. Anatole de Monzie, który kolegował z nim w kilku gabinetach i który także nie był od tego, by przy okazji napchać sobie kieszenie, mawiał:

— Nie zawsze zgadzam się z Lavalem w poglądach politycznych, ale na giełdzie ufam mu ślepo.

Jeden tylko cień zakłócał powodzenie Lavala. Mimo ogromnych bogactw, jakie gromadził, nie mógł on dobrze jeść ani pić. Z zalecenia lekarzy musiał przestrzegać ściśle diety. Laval był człowiekiem bez złudzeń, bez skrupułów i bez ideałów. Jego cynizm szedł w parze z twardym charakterem Owernijczyka i zamiłowaniem do handlu. Przebiegłość i bezwzględność, z jaką wykorzystywał słabe strony przeciwnika, dopełniały jego fizjonomii. Pierwszą tekę otrzymał w gabinecie lewicowym jako rekompensatę za mediacje między Painlevé i Briandem. W roku 1931 stworzył on pierwszy gabinet. Od tego czasu nazwisko jego powtarzało się stale przy każdym kryzysie ministerialnym.

Niezależnie od pory roku nosił zawsze ten sam biały krawat. Niektórzy przypisują ten drobny szczegół jego skąpstwu, inni jego chęci wyróżniania się, jeszcze inni twierdzą, że ostatecznie musiał on w końcu mieć na sobie coś czystego. Pewien deputowany socjalistyczny przerwał kiedyś Lavalowi przemówienie w Izbie wołając:

— Chciałbym, żeby pańskie ręce były tak czyste jak pański krawat!

Niewątpliwie nigdy nie dawał nic, nie otrzymując czegoś w zamian. Jeden z jego przyjaciół dziennikarzy prowadził dział polityki zagranicznej wielkiego dziennika porannego. Pewnego dnia nie zastanowiwszy się nad konsekwencjami napisał artykuł przeciwny życzeniom Lavala.

Tegoż dnia Laval telefonował do redaktora gazety:

— Oto co ja chcę, aby pański pracownik napisał w jutrzejszym numerze pańskiego pisma.

I zaczął tłumaczyć, tonem suchym i autorytatywnym.

Redaktor poczuł się dotknięty tym stanowczym tonem i odpowiedział:

—Nie ma pan żadnego prawa dyktować mi, co mamy pisać!

— Ależ tak, mam prawo — odparł Laval. — Niech pan zapyta pańskiego szefa kroniki zagranicznej.

W konsekwencji kronikarzowi podziękowano za współpracę z dziennikiem nie dlatego, że otrzymywał subsydium od Lavala, ale dlatego, że nie dzielił się ze swym redaktorem otrzymywanymi sumami. Taka była zemsta Lavala. Później umieścił tego dziennikarza w gazecie Paris Soir, zapewniwszy sobie jednak, że w artykułach swych dziennikarz ów nie zboczy już nigdy z linii politycznej.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych rozporządza większą częścią tajnych funduszów dyspozycyjnych rządu. Laval uczynił z tych pieniędzy najdziwaczniejszy użytek. Rozdawał je na prawo i na lewo. Machinacje te były w tak rażący sposób bezecne, że Leon Blum pewnego dnia postawił w Izbie wnio-

sek, aby cofnąć Lavalowi wszystkie tajne fundusze dyspozycyjne.

Określając położenie narodu francuskiego na początku 1935 r. znany moralista i eseista, Julian Benda, pisał:

> Cień cezaryzmu rozciąga się nad dużą częścią narodu francuskiego. Jakaś organiczna wrogość w stosunku do demokracji, która nie ustąpi przed żadnym, nawet najbardziej przekonywającym argumentem... Można by powiedzieć, że Francja żyje w stanie ustawicznej wojny domowej.

Laval był inspiratorem tej tendencji cezarystycznej, która oznaczała również ścisłe porozumienie z innymi cezarami Europy: Mussolinim i Hitlerem. Głęboka pogarda Lavala dla demokracji, jego podziw dla demagogii i jego szyderstwa w stosunku do Ligi Narodów sprawiały, że uważał się za człowieka, który zdoła osiągnąć porozumienie z dwoma dyktatorami. Był pełen zastrzeżeń i podejrzeń w stosunku do polityki angielskiej, ale wierzył w możność znalezienia koncepcji wspólnej dla niego, dla Hitlera i Mussoliniego. W konsekwencji miała z tego wyniknąć wspólność interesów Francji, Niemiec i Włoch, w razie potrzeby — kosztem innych narodów, nawet tych, które były w sojuszu z Francją. Nie czynił on tajemnicy ze swego przekonania, iż dni demokracji we Francji były policzone. „Nowy ład", którego sobie życzył, łatwiej było narzucić idąc drogą uprzedniego porozumienia z faszystowskimi Włochami i hitlerowskimi Niemcami.

Laval podczas swego pobytu na Quai d'Orsay nie tylko zniszczył dzieło Barthou, ale przygotował grunt pod przyszłą klęskę Francji. Pomógł Hitlerowi w uzyskaniu głośnego sukcesu w Zagłębiu Saary: pozwolił führerowi na pierwszy otwarty wyłom w traktacie wersalskim, godząc się na wprowadzenie w Niemczech obowiązkowej służby wojskowej. Ze Związkiem Radzieckim podpisał traktat wzajemnej pomocy, a następnie robił wszystko, aby uczynić z niego świstek bez wartości.

Pomógł Mussoliniemu w wojnie z Abisynią. Zniszczył system zbiorowego bezpieczeństwa Ligi Narodów.

Mogło się wydawać, że nie zerwał brutalnie i otwarcie z tradycyjną polityką Francji. Używał tych samych zdań i tych samych formuł co jego poprzednicy na Quai d'Orsay. Ale we wszystkich jego działaniach wyczuwało się atmosferę intrygi i podejrzanej tajemniczości. Wprawiało to w zakłopotanie jego współtowarzyszy; podobnie zakłopotane było brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Foreign Office.

Grał na uczuciach, mętnych i niesformułowanych koncepcjach, ukrytych i zmiennych pragnieniach francuskiego drobnomieszczaństwa. Prosty człowiek nie chciał wojny, Laval oświadczał:

> Zagwarantuję wam pokój. Pozwólcie mi tylko dojść do porozumienia z naszymi dwoma wielkimi sąsiadami, Niemcami i Włochami. Wówczas korzystać będziecie z długiego i trwałego pokoju.

Poczciwy mieszczuch czujnie nadstawiał ucha. Prawdę rzekłszy mało go interesowała Liga Narodów oraz sojusze Francji na wschodzie i południowym wschodzie Europy. Były to sprawy tak dalekie, tak mało związane z aktualnymi jego potrzebami! Nie miał tak znowu wiele uczucia dla Anglii. Jego przyjaźń dla Włoch, „siostry łacińskiej", pokrywała jego pogardę dla tych, co ponieśli klęskę pod Caporetto i gdzie indziej podczas pierwszej wojny światowej. Obawa przed Hitlerem, idącym od zwycięstwa do zwycięstwa, łączyła się z szacunkiem dla jego osiągnięć. Dla drobnomieszczanina francuskiego porozumienie z nim było rzeczą pożądaną; wierzył, że pozwoli ono uniknąć agresji hitlerowskiej.

Obejmując sprawy na Quai d'Orsay Laval natychmiast wysłał emisariuszy do Berlina i Rzymu dla wysondowania możliwości porozumienia. Mussoliniemu, którego plany podboju Abisynii przybierały realne kształty, wyjątkowo zależało na poparciu Francji. Hitler w Niemczech nie zdołał zażegnać niezadowolenia po krwawej czystce z 30 czerwca

1934 r[1]. W partii hitlerowskiej i wśród esesowców panowało wielkie wzburzenie. Armia niemiecka nie pogodziła się z plamą na swym honorze, którą było morderstwo gen. Schleichera. Hitler bezwzględnie potrzebował jakiegoś sukcesu. Toteż wysłannicy Lavala zostali przyjęci z otwartymi ramionami. Deputowany konserwatysta Jean Goy i radny miejski Paryża, Mounier, uzyskali audiencję u führera.

Odbyli oni długie rozmowy z Ribbentropem, komiwojażerem Hitlera i szefem działu polityki zagranicznej partii hitlerowskiej. Podczas ich pobytu w Berlinie ułożono plan wizyty Ribbentropa w Paryżu. Ribbentrop w barwnych kolorach odmalował obraz przyjaźni francusko-niemieckiej, której nikt, jak zapewniał, nie pragnął bardziej aniżeli jego führer. W ten sposób pod koniec listopada 1934 r. von Ribbentrop w towarzystwie specjalisty od spraw zbliżenia francusko-niemieckiego, Ottona Abetza, przybył do Paryża, gdzie obu gościł deputowany Jean Goy. Ribbentropa wprowadził do wytwornego paryskiego towarzystwa hrabia de Brinon, który podjął się także zorganizowania kilku spotkań między Ribbentropem a politykami prawicy.

W dniu 2 grudnia 1934 r. Ribbentrop został przyjęty na Quai d'Orsay przez ministra spraw zagranicznych Lavala. Treść ich rozmowy utrzymano w całkowitej tajemnicy, lecz kiedy Laval żegnał swego gościa, porozumienie gwarantujące Hitlerowi sukces w najbliższym plebiscycie w Zagłębiu Saary było zawarte.

Terytorium Saary oddzielono od Niemiec w roku 1919 na mocy traktatu wersalskiego i oddano pod kontrolę Ligi Narodów. Francja miała jeszcze w ciągu 15 lat czerpać wę-

[1] W czerwcu 1934 r. zostało aresztowane całe dowództwo oddziałów szturmowych z Remem, Heinessem i in. na czele. Wielu z nich rozstrzelano na miejscu. Pretekstem do tych aresztowań był rzekomy spisek, zmierzający do obalenia Hitlera i zorganizowania „drugiej rewolucji". Przy tej okazji został zamordowany generał Schleicher, były dowódca Reichswehry i kanclerz Rzeszy. — R e d.

giel z jej kopalń, po upływie zaś tego okresu miał nastąpić plebiscyt: mieszkańcy Saary mieli wówczas rozstrzygnąć, czy chcą powrócić do Niemiec, pozostać pod kontrolą Ligi Narodów, czy też być włączeni do Francji.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że bardzo znaczna większość pragnęła powrócić do Niemiec. Ale czy do Niemiec hitlerowskich? To była zupełnie inna sprawa. Badania przeprowadzane na tym terenie przez neutralnych dziennikarzy wykazywały, że przeważająca część ludności tego kraju o większości katolickiej nie chciała przyłączenia do Niemiec hitlerowskich. Pragnęła ona, aby dano jej możliwość głosowania na nowo po upadku reżimu hitlerowskiego. Komisja Ligi Narodów, administrująca tym terytorium, oraz kilka wybitnych osobistości politycznych Francji i Anglii starały się energicznie skłonić rządy francuski i angielski do tego rozwiązania. Jeden z członków komisji Ligi Narodów powiedział mi w Saarbrücken pod koniec listopada 1934 r., że tego rodzaju rozstrzygnięcie było już w zasadzie postanowione. Na początku stycznia 1935 roku miało być wydane oświadczenie, że plebiscyt w Zagłębiu Saary został przesunięty o lat dziesięć.

Sprawa wzięła jednak inny obrót. W czasie wizyty Ribbentropa Laval przyrzekł solennie, że żadna deklaracja tego rodzaju nie zostanie ogłoszona przez Ligę Narodów. W zamian za to uzyskał ze strony Hitlera zapewnienie, że po uregulowaniu sprawy Zagłębia Saary Niemcy nie będą zgłaszali więcej w stosunku do Francji żadnych pretensji terytorialnych. Laval uzyskał poparcie marszałka Pétain dla swej polityki w Zagłębiu Saary. Marszałek przeciwstawił się stanowczo jakiemukolwiek powtarzaniu lub odraczaniu plebiscytu. Pétain oświadczył, że nie pozwoli, aby Saara stała się drugą Alzacją i Lotaryngią. Kiedy Laval poinformował gabinet o swych rozmowach z Ribbentropem, tylko dwaj ministrowie, Mandel i Herriot, zajęli stanowisko opozycyjne.

Na tym posiedzeniu gabinetu Laval wygłosił wyczerpujące exposé na temat problemów polityki zagranicznej. Nastrój,

w jakim odmalował swym kolegom sytuację, był pełen optymizmu. Przedstawił im raport ambasadora francuskiego w Rzymie, donoszącego, że Mussolini gotów był wkrótce przeprowadzić rozmowę. Duce pragnął przedyskutować z nim, z francuskim premierem, w sposób bezpośredni, w cztery oczy, różne sprawy i wyrażał nadzieję na dojście do wzajemnego porozumienia. Raport zawierał liczne szczegóły na temat zgryźliwych uwag, jakie Mussolini czynił pod adresem Hitlera. Z Berlina ambasador François Poncet donosił, że podczas ostatniej z nim rozmowy führer podkreślił pragnienie dojścia do porozumienia z Francją. François Poncet dodawał od siebie:

> Oczywiście, mam zastrzeżenia co do szczerości intencji Hitlera; jednakże są podstawy do przypuszczania, że führer, przytłoczony straszliwym ciężarem swych zbrojeń, szuka wytchnienia. Sądzę, że takie zbrojenia wymagają od Niemiec zbyt wielkiego ekonomicznego wysiłku, w ciągu całego roku.

Laval przedstawił członkom rządu projekt porozumienia z Mussolinim: Francja odstąpi Włochom część francuskiego Somali i południową część Libii; odstąpi się im także część akcji kolei Dżibutti — Addis Abeba; statut emigrantów włoskich w Tunisie zostanie przedłużony do roku 1960. W zamian za to Francja żądałaby od Mussoliniego zgody na wzajemną konsultację w wypadku zagrożenia niepodległości Austrii lub status quo narodów naddunajskich i bałkańskich. Oprócz tego żądano od Włoch wspomagania Francji i wspólnego z nią występowania wszędzie, gdzie było to konieczne, aby położyć koniec nowemu zwiększaniu się zbrojeń niemieckich.

Jeden z ministrów zapytał Lavala, czy ma nowe informacje w sprawie pogłosek krążących na temat planów Mussoliniego w stosunku do Abisynii oraz na temat rozmów toczących się między Niemcami a Włochami.

Laval odpowiedział, że wiadomości o rozmowach między Rzymem a Berlinem były według jego raportu mocno przesadzone, jeśli chodzi o ich cele i znaczenie. (W rzeczywistości

wiedział on, że stosunki między tymi państwami, bardzo rozluźnione od czasu podróży Hitlera do Włoch w roku 1934 były od chwili zabójstwa kanclerza Dollfussa, na najlepszej drodze do poprawy). Jeśli chodzi o plany Mussoliniego w stosunku do Abisynii, dodał Laval, sądzi on — na podstawie otrzymanych informacji, że Mussolini pragnie uzyskać od Haile-Selassié kilka koncesji terytorialnych o niewielkiej wartości. Jego zdaniem, nie miało to większego znaczenia dla Francji, jeśliby duce powiększył swoje obszary o kilka kilometrów kwadratowych pustyni.

Po posiedzeniu Rady Ministrów udało mi się spotkać z jednym z członków gabinetu. Był bardzo zatroskany:

— Znajdujemy się — narzekał — w obliczu dwóch dyktatorów, z których każdy dąży wszelkimi siłami do stworzenia podległego sobie wielkiego imperium. A Laval myśli, że uda mu się ich zdobyć ofiarowując jednemu kawałek pustyni, a drugiemu Zagłębie Saary. Traktuje politykę zagraniczną jak zabiegi w swoim okręgu wyborczym. Obawiam się, że będziemy mieli trudności.

Chociaż Mussolini wyraził zgodę tylko na część propozycji francuskich, Laval na początku stycznia 1935 r. pojechał do Rzymu. Żegnając się z dyplomatami, obecnymi przy jego wyjeździe, mówił z uśmiechem:

— Mam niepłonną nadzieję, że w stosunkach włosko-francuskich nastąpi nowa era.

Kiedy pociąg powoli opuszczał dworzec, poseł jugosłowiański w Paryżu, Spalaikowicz, wybuchnął płaczem.

Laval nalegał kategorycznie, aby Liga Krzyżów Ognistych zgotowała mu owację w chwili jego powrotu z Rzymu. Jak dowiedziano się później, zlecił on z tajnych funduszów wypłaty na rzecz Krzyżów Ognistych w wysokości zależnej od liczby manifestantów, którą organizacja ta wyśle na jego przyjęcie na dworcu. Porozumienie z Rzymem spotkało się wówczas z aprobatą znacznej większości obu Izb; tylko garstka deputowanych komunistycznych głosowała przeciw niemu.

Laval wyraził chęć zredagowania osobiście komunikatu z posiedzenia parlamentu.

Początkowo sposób przyjęcia Lavala w Rzymie zawiódł jego oczekiwania. Nie było tłumu, nie było sztandarów, nie było publicznej demonstracji. W ciągu dwóch dni Rzym miał dla męża stanu, który mu składał wizytę, uśmiech grzeczny, lecz pełen chłodnej rezerwy. Dając jasno do zrozumienia, że spodziewał się od Francji więcej niż to, co Laval proponował, duce oświadczył w swoim toaście na oficjalnym bankiecie:

> Ta znamienna wizyta jest pierwszym spotkaniem na drodze wspólnej polityki dwóch wielkich narodów łacińskich.

Toast, jaki wzniósł Laval w odpowiedzi, był o wiele gorętszy.

> Mussolini napisał najpiękniejszą kartę historii współczesnych Włoch — powiedział on. — Zrodziły się w nas wielkie nadzieje. Wszyscy ożywieni ideałem pokoju mają dziś oczy zwrócone na Rzym.

Ale nawet ta pełna uwielbienia deklaracja nie zdołała ocieplić chłodnej atmosfery we Włoszech. Zmiana jej nastąpiła nagle i niespodziewanie dopiero po rozmowie bez świadków, jaką miał duce i Laval. Było to na wspaniałym przyjęciu wydanym przez ambasadora Francji. Tam, w wielkim pałacu Farnese, wśród cudownych fresków Carrachè'a dwaj mężowie stanu odbyli półgodzinną poufną rozmowę. Te krótkie trzydzieści minut wystarczyły, aby przesądzić los Abisynii, niepodległego kraju, będącego członkiem Ligi Narodów. Mieszając się w tłum zaproszonych gości Laval i Mussolini promienieli z zadowolenia. Atmosfera zmieniła się natychmiast i z oficjalnego chłodu przeszła we wzruszającą serdeczność. Jedno zdanie rzucone przez Mussoliniego ambasadorowi Francji obiegło natychmiast wszystkich zebranych:

— Laval jest jedynym mężem stanu, który rozumie faszyzm.

Zaledwie Laval zdążył opuścić Rzym, Mussolini zwołał wielką Radę faszystowską i oświadczył, że w przewidywaniu

wszelkich ewentualności armia włoska znajduje się w pełnym pogotowiu wojennym.

W dziesięć miesięcy później, w październiku 1935 r., duce napadł na Etiopię.

* * *

W kilka dni po powrocie Lavala do Paryża, w styczniu 1935 roku, odbył się plebiscyt w Zagłębiu Saary. Był on wspaniałym zwycięstwem Hitlera, któremu Laval utorował drogę triumfu.

Oświadczono oficjalnie, że przeszło 90% mieszkańców Saary głosowało za powrotem do Niemiec. W rzeczywistości opinia światowa zdawała sobie sprawę, że mimo kontroli międzynarodowej ludność została sterroryzowana i pozbawiona swobody głosowania. Hitlerowskie oddziały szturmowe groziły represjami po wyborach tym wszystkim, którzy by głosowali przeciwko Niemcom. Niemniej plebiscyt pogłębił w całym świecie wiarę w to, że naród niemiecki stał za Hitlerem. Dyktatura nazistowska ugruntowała solidnie swoją pozycję. Wynik plebiscytu wzmocnił również ruch nazistowski w Austrii, Czechosłowacji i w innych krajach, posiadających w znaczniejszej liczbie mniejszość niemiecką. Lecz — co najważniejsze — plebiscyt dowiódł na nowo Hitlerowi, tym razem w sposób najbardziej zdecydowany, jak słabi i krótkowzroczni są mężowie stanu, którzy reprezentują zachodnią demokrację. Przekonał się, jak bardzo władcom Francji zależało na osiągnięciu porozumienia z nim. Wyciągnął wnioski z mnóstwa raportów, jakie otrzymał od swych tajnych agentów: we Francji wzmagały się głosy wzywające, aby republika odwróciła się od Anglii i sprzymierzyła się z krajami rządzonymi przez dyktatorów. Ribbentrop w swej wędrówce po salonach paryskich słyszał wiele razy, że Francja nie przeciwstawi się ponownemu wprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej w Niemczech. Ribbentrop doniósł o tym Hitlerowi. Po plebiscycie w Saarze Hitler odbył długie rozmowy ze swymi najbliższymi współpracownikami.

Stwierdził z naciskiem, że nadszedł moment, w którym należało zaryzykować pierwszy wyłom w traktacie wersalskim. I znowu miał tym razem rację wbrew zdaniu i opinii kilku ostrożniejszych swoich doradców.

W dwa miesiące po plebiscycie w Saarze Hitler przekreślił piątą część traktatu wersalskiego. W marcu 1935 roku wydał dekret o obowiązkowej służbie wojskowej w Niemczech.[1]

W tym samym, tak bogatym w wydarzenia, miesiącu styczniu 1935 roku generał Weygand, naczelny dowódca armii i wiceprzewodniczący Najwyższej Rady Obrony, osiągnął granicę wieku przewidzianą dla wojskowych w służbie czynnej i przeszedł w stan spoczynku. Jego następcą został generał Gamelin. Nominacja ta miała dla Francji bardzo poważne konsekwencje.

* * *

Dla wnikliwego i nieuprzedzonego obserwatora pakt rzymski i plebiscyt w Zagłębiu Saary stanowiły dwa wyraźne znaki ostrzegawcze na drodze wiodącej Francję do zguby. Dla Lavala natomiast były to dowody, że znajdował się na dobrej drodze. W ciągu następnych miesięcy uraczył on Francję deszczem porozumień, paktów, traktatów, deklaracyj, przyrzeczeń i projektów. Jego urzędnicy nazywali go „komiwojażerem pokoju", tyle wyjeździł się pociągami i samolotami odwiedzając najrozmaitsze kraje. Ale prawie każda z tych podróży osłabiała pozycję polityczną Francji.

Pojechał do Genewy i w przemówieniu akcentującym wierność dla Ligi Narodów usiłował rozproszyć złe wrażenie, jakie wśród narodów Małej Ententy wywołała jego podróż do

[1] Odnośny punkt traktatu wersalskiego ustala stan liczebny armii niemieckiej na 100.000. Znosi powszechną służbę wojskową. Ustala, że ilość statków wojskowych wszystkich kategorii nie może przekraczać 36. Niemcom zostało zabronione budowanie wojskowej floty powietrznej. — R e d.

Rzymu. Miał kłopotliwe spotkanie z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych Titulescu. W namiętnej dyskusji Titulescu oskarżył go o zdradę przyjaciół Francji. Obecny przy tej rozprawie dyplomata jugosłowiański powiedział, że gdyby był na miejscu Lavala, nie zniósłby obelg Titulescu. Ale Laval przełknął wszystko zgrzytając zębami.

W lutym 1935 r. udał się wraz z Flandinem do Londynu. Jeden z członków gabinetu Lavala określił konferencję londyńską jako spotkanie się dwóch obcych sobie ludzi w dżungli, w której obaj zgubili drogę. Patrzą na siebie ze źle ukrywaną podejrzliwością, gotowi w każdej chwili do wrogiego ataku. Lecz nie mogą atakować się wzajemnie, skoro stanowczo lepiej opłaca się wspólnie szukać drogi wyjścia niż samemu nadstawiać czoła niebezpieczeństwu.

Na konferencji londyńskiej jeden podejrzewał drugiego, starając się jednocześnie zawrzeć na własną rękę oddzielne porozumienie z dyktatorami. Ministrowie, francuski i angielski, nie mieli odwagi rozmawiać z sobą szczerze ze strachu przed „dzikimi bestiami dżungli".

Opinię Lavala o konferencji londyńskiej dobrze wyraził senator Henri de Jouvenel, były ambasador Francji w Rzymie, który oświadczył:

— Nie wiem, jakie są nasze stosunki z Anglią, ale mam więcej zaufania do Mussoliniego.

* * *

W następnym miesiącu mydlane bańki londyńskie pękły gwałtownie z chwilą ogłoszenia przez Hitlera obowiązkowej służby wojskowej. Laval i Flandin siedzieli na swych ławach w Izbie bladzi i nieruchomi, gdy prawicowy deputowany Franklin-Bouillon oskarżał ich o „ustępstwa w obliczu zbrojeń niemieckich". Franklin-Bouillon kończąc swe przemówienie spojrzał z niepokojem w stronę prawicy, czekając widocznie stamtąd na żywe oklaski. Ale tylko kilku z jego kolegów biło brawo. Twarz Franklina-Bouillona stała się purpurowa; zbity

z tropu schronił się do kuluarów. Spotkawszy starego dziennikarza, z którym był od dawna w przyjaźni, wykrzyknął z rozpaczą:

— Francja jest zgubiona!

W sali posiedzeń Izby na ławach rządu zasiadł Laval, a na twarzy jego malował się grymas.

Mimo wszystko należało jakoś zareagować. Rząd francuski zwrócił się więc do Ligi Narodów o bezzwłoczne zwołanie Rady Ligi. Opierając się na Mussolinim, proponował dyskusję między reprezentantami Francji, Anglii i Włoch. Ale zanim konferencja ta została wyznaczona, sir John Simon, minister spraw zagranicznych W. Brytanii, i Anthony Eden zostali wysłani do Berlina dla odbycia rozmów z führerem. Wyjazd ten był już raz odłożony (i to pośpiesznie) z powodu nagłych „chłodów". W rzeczywistości zwłoka nastąpiła z powodu sensacyjnych rewelacji na temat rozmiarów zbrojeń Niemiec hitlerowskich, jakie ogłoszono w angielskiej Białej Księdze. W Berlinie sir John Simon dowiedział się, jako o rzeczy najzupełniej pewnej, że lotnictwo niemieckie górowało już nad brytyjskim. Niezmącony w swym spokoju oświadczył dziennikarzom, że uważa zbrojenie się Niemiec za czynnik pokoju.

Konferencja ministrów (francuskiego i angielskiego) z duce odbywała się w Stresie, w północnych Włoszech. Tam, na legendarnej wyspie Isola Bella, mur czarnych koszul chronił Mussoliniego przed manifestacyjnymi objawami przywiązania ze strony ludu i niedyskretną ciekawością cudzoziemskich dziennikarzy. Dziwną rolę odegrało pięciu aktorów: Mussolini, Ramsay Mac Donald, sir John Simon, Laval i Flandin w uroczej rezydencji pałacu Boromeuszów, gdzie miał swą siedzibę duce. Nie mówili tego, co myśleli, i nie myśleli tego, co mówili. Mussolini był myślą w spalonej słońcem Afryce, gdzie marszałek de Bono przygotowywał swe oddziały oczekując na rozkaz zaatakowania Abisynii. Laval myślał o najbliższej sesji Ligi Narodów. Trzeba będzie powziąć jakąś rezolucję, która by uspokoiła Francuzów, oczekujących, że rząd zajmie zdecydowane stanowisko wobec Hitlera, i która by mimo to była do

przyjęcia dla tych, co, jak on, pragnęli dojść do porozumienia z Hitlerem. Myśli sir Johna Simona były w Berlinie. Spodziewał się sensacyjnego zwrotu ze strony Hitlera, czegoś w rodzaju deklaracji zapowiadającej powrót Niemiec do Genewy. Ten zwrot oczywiście nie nastąpił.

Konferencja w Stresie zakończyła się kilkoma deklaracjami na papierze. W jednej wyrażano żal z powodu pogwałcenia przez Niemcy traktatu wersalskiego, a jednocześnie pobożną nadzieję, iż da się urzeczywistnić porozumienie z Hitlerem w sprawie ograniczenia zbrojeń. Włochy i Wielka Brytania odnowiły uroczyście swoje gwarancje jako sygnatariusze paktu Locarno. Trzy mocarstwa: Francja, Anglia i Włochy, zapewniły, że przeciwstawią się wszelkiemu jednostronnemu pogwałceniu traktatów, które mogłoby zagrozić pokojowi w Europie. Dokument ów otrzymał dumną nazwę „frontu Stresa", ale przewidujący komentator stwierdzał, że był to mur z papieru, niezdolny do przeciwstawienia się najbliższemu podmuchowi wiatru.

Po podpisaniu porozumienia w Stresie Mussolini upewnił Hitlera, że nie było ono bynajmniej tak poważne, jak wyglądało. W jednej ze swych nieocenionych niedyskrecji hitlerowski minister propagandy, Goebbels, wyznał, że w czasie kiedy montowano tzw. „front Stresa", porozumienie między führerem i duce było już zawarte.

Ze Stresy Laval udał się do Genewy. Tam sfabrykował nowy świstek papieru: deklarację Ligi Narodów, która potępiała jednostronną akcję Niemiec, ustanawiającą obowiązkową służbę wojskową. Tylko Dania powstrzymała się od głosowania. Dokładnie w pięć lat później, prawie co do dnia, Dania została napadnięta przez armię hitlerowską.

Następna podróż Lavala zawiodła go przez całą Europę aż do Moskwy. Herriot i Barthou przygotowali teren dla paktu wzajemnej pomocy między Francją a Związkiem Radzieckim. Lavalowi zdawało się, że jest rzeczą konieczną prowadzenie nadal pertraktacji Barthou. Pakt ów nie był w najmniejszym stopniu sprzeczny w jego wyobrażeniu z planami dotyczącymi

Hitlera i Mussoliniego. Była to, jak wszystkie jego akty polityki zagranicznej, konsekwencja jego własnej polityki. Porozumienie między siłami lewicy czyniło duże postępy. Komuniści, socjaliści, radykałowie pragnęli wszyscy porozumienia ze Związkiem Radzieckim dla stworzenia przeciwwagi wobec planów ekspansji Mussoliniego i Hitlera. Francuski sztab generalny również sprzyjał w tym czasie paktowi francusko-sowieckiemu; sprzyjała mu też część reakcyjnych polityków. Podpisując go Laval miał nadzieję zjednać sobie lewicę, a w szczególności komunistów, których wpływy jako inicjatorów Frontu Ludowego gwałtownie rosły. Ale Laval knuł podstęp. Był pewien, że w ten sposób zada śmiertelny cios komunistom. Chciał zażądać od Stalina deklaracji, w której ten zaaprobowałby powiększenie zbrojeń francuskich. Tą publiczną deklaracją Laval spodziewał się pokrzyżować szyki komunistom, zwłaszcza w swym własnym okręgu Aubervilliers, gdzie był merem i gdzie, jak orientował się, sytuacja jego była zagrożona przez rosnącą falę komunizmu. Pomysł Lavala był nadzwyczajnie sprytny, ale historia pokazała później, że był to bumerang.

Przed opuszczeniem Paryża Laval używał wszelkich możliwych wybiegów, aby zapewnić Hitlera, że traktat ze Związkiem Radzieckim nie przeszkodzi w najmniejszej mierze zbliżeniu francusko-niemieckiemu. Poinformował ambasadora Niemiec w Paryżu w sposób niedwuznaczny, że gotów jest w każdej chwili zerwać pakt francusko-radziecki na korzyść bardzo szerokiego i trwałego paktu francusko-niemieckiego. Po uzgodnieniu tekstu paktu z Potiomkinem, ambasadorem sowieckim we Francji, Laval wyjechał do Moskwy, aby go podpisać w asyście armii dziennikarzy.

Laval wygłaszał wobec otaczających go dziennikarzy słowa pełne podziwu dla Stalina i zapewnienia, że Francja chce rzeczywiście utrzymywać dobre stosunki ze Zw. Radzieckim w duchu zawartego paktu, a równocześnie François Poncet miał w Berlinie rozmowę z Hitlerem. Zabiegał w sposób usilny o owo spotkanie właśnie w momencie moskiewskich pertrak-

tacji, aby powtórzyć führerowi to, co Laval powiedział ambasadorowi Niemiec przed swoim wyjazdem do stolicy ZSRR.

W powrotnej drodze z Moskwy Laval reprezentował oficjalnie Francję na pogrzebie Piłsudskiego. Spotkał tam Goeringa, szefa niemieckiej armii powietrznej. Przez dwie godziny Laval i Goering toczyli poufną rozmowę w Hotelu Europejskim w Warszawie. Przy końcu tej rozmowy pakt francusko-sowiecki był już martwą literą. Po powrocie do Berlina Goering podał do wiadomości cudzoziemskich dyplomatów wyniki tych rozmów. Dowiódł on Lavalowi, iż jego pragnienie realizacji porozumienia francusko-niemieckiego będzie tak długo pozostawało w sferze fantazji, jak długo będzie istniał pakt między Francją i Zw. Radzieckim.

— Myślę — dorzucił śmiejąc się — że Laval zrozumiał, co chciałem mu powiedzieć.

Inną jeszcze osobistość spotkał Goering podczas swego pobytu w Polsce. W orszaku żałobnym szedł u boku marszałka Pétaina. Ci dwaj ludzie spotkali się już raz na pogrzebie jugosłowiańskiego króla Aleksandra. Prasa zwróciła wówczas uwagę na niezwykłą uprzejmość, z jaką traktowali się wzajemnie dwaj żołnierze pierwszej wojny światowej. Tym razem również odbyli poufną rozmowę po pogrzebie. Marszałek Pétain wrócił do Francji przekonany o konieczności podważenia paktu francusko-radzieckiego. Przedtem nie wyrażał w stosunku do tego paktu żadnego sprzeciwu.

Od chwili swego powrotu do Francji Laval spostrzegł, że popełnił błąd w kalkulacjach co do konsekwencji paktu francusko-radzieckiego wewnątrz kraju. Wybory do rady miejskiej w Paryżu przyniosły znakomite zwycięstwo partiom lewicy. Zwłaszcza komuniści uzyskali większość mandatów w radach miejskich okręgu paryskiego, w „czerwonym pierścieniu" przemysłowym Paryża. W Aubervilliers kilku zwolenników Lavala zostało zwyciężonych przez komunistów, mimo energicznej kampanii wyborczej, kierowanej osobiście przez ministra spraw zagranicznych.

Wówczas Laval sam zaczął piętrzyć przeszkody na drodze ratyfikacji paktu ze Zw. Radzieckim. Chociaż konstytucja francuska nie wymagała, żeby tego rodzaju dokument był ratyfikowany przez Izby, Laval zażądał tej procedury. W ten sposób ostateczna ratyfikacja była nieustannie odraczana. Szukał sposobów odroczenia i przewleczenia sprawy aż do chwili, kiedy się miały odbyć rozmowy pomiędzy sztabami generalnymi, francuskim i radzieckim, co miało nastąpić — jak przewidywał podpisany w Moskwie pakt — w czerwcu 1935 r. Dla każdego obserwatora politycznego było rzeczą oczywistą, że minister spraw zagranicznych nie zamierzał w niczym przyczynić się do ożywienia podpisanego paktu. Był zdecydowany uczynić zeń nowy świstek papieru i dorzucić go do swej kolekcji. Hitler nie mógł nie zauważyć tego postępowania, jak ustaliło w kilka miesięcy później paryskie wydanie New York Herald Tribune:

> Laval jest zagorzałym zwolennikiem porozumienia między Trzecią Republiką Francuską i Trzecią Rzeszą Niemiecką; mówi się, że chce on przekreślić pakt francusko-radziecki, podpisany, lecz nie ratyfikowany przez francuski parlament — a to aby uzyskać od Hitlera gwarancję wschodnich granic Francji w zamian za kompletną swobodę działania w rejonie Kłajpedy i na Ukrainie.

W czerwcu 1936, po upadku Flandina, Lavalowi powierzono sformowanie nowego rządu. Zachował on oczywiście tekę ministra spraw zagranicznych. Prawie w tym samym czasie płk de La Rocque oświadczył w imieniu Krzyżów Ognistych:

— Chwila, w której obejmiemy władzę, jest bliska, bardzo bliska. Nasze samoloty nie pokażą się więcej aż do chwili, o której mówimy. Ta chwila nadchodzi.

W kilka dni po objęciu przez Lavala steru rządu Liga Krzyżów Ognistych zorganizowała manifestacje w Paryżu i na prowincji. W Algerze tysiącznej rzeszy manifestantów towarzyszyło trzydzieści samolotów. Wrażenie było duże. Czyżby

prawica, zaniepokojona zwycięstwem partii lewicowych w wyborach do rad miejskich i rozszerzeniem wpływów Frontu Ludowego w całym kraju, chciała uderzyć od razu, na gorąco?

Partie lewicowe również mobilizowały swoje siły, aby odparować cios. Pierwszy oficjalny meeting Frontu Ludowego odbył się w Paryżu. Głównymi mówcami byli: przywódca socjalistów Leon Blum, sekretarz generalny partii komunistycznej Maurice Thorez i szef radykałów Edouard Herriot, który znowu pojawił się na scenie politycznej. Wydarzenie to miało wyjątkowo duże znaczenie. Uświęcało ono oficjalnie sojusz polityczny klasy robotniczej i warstw średnich. Zwracając się do tłumu Daladier wyraził swą radość, że przemawia do robotników — socjalistów i komunistów. Mówił w duchu jakobińskim:

— W charakterze przedstawiciela drobnomieszczaństwa — oświadczył on — stwierdzam, że klasy średnie i proletariat są naturalnymi sojusznikami.

Ów meeting paryski miał niezwykły rozgłos w kraju. Wszędzie powstawały komitety Frontu Ludowego, które zajęły się organizacją wspólnych manifestacji w dniu zbliżającego się święta narodowego 14 lipca.

W rocznicę zdobycia Bastylii Paryż zobaczył największą, najżywszą i najbarwniejszą z manifestacji w historii współczesnej Francji. Pół miliona uczestników maszerowało niekończącymi się kolumnami z Daladierem, Blumem i Thorezem na czele. Na historycznym Placu Bastylii przywódcy trzech partii złożyli uroczystą przysięgę walki z faszyzmem i wojną; walki o wolność, równość i braterstwo.

Na Polach Elizejskich manifestowało trzydzieści tysięcy Krzyżów Ognistych, pilnowanych i chronionych gęstym kordonem policji przed kolumnami Frontu Ludowego. Było rzeczą oczywistą, że gdzie jak gdzie, ale w Paryżu legiony płka de La Rocque napotkałyby trudności, gdyby chciały wcielić w życie swoje groźby.

Wkrótce po objęciu steru rządu przez Lavala Mussolini dał do zrozumienia, że gotów jest wznowić pakt czterech. Laval dał natychmiast swą zgodę i rozpoczął rozmowy z ambasadorem niemieckim w Paryżu. Zostały one brutalnie przerwane przez sensacyjną niespodziankę polityczną. W lipcu 1935 roku ogłoszono angielsko-niemiecki układ morski, na podstawie którego Niemcy zostały upoważnione do budowy floty w wysokości 35 procent całego tonażu brytyjskiego. W wyścigu między Anglią a Francją o zdobycie względów Hitlera Anglicy podstępnie wysunęli się naprzód, zdobywając pierwszeństwo.

Aby osłabić wrażenie wywołane w Paryżu przez układ morski, do stolicy Francji pośpieszył kapitan Anthony Eden; Laval potraktował go brutalnie. Nie mogąc sam pochwalić się równie namacalnymi wynikami w polityce przyjaźni z reżimami dyktatorskimi Europy, odczuł bardzo boleśnie cios ze strony Anglików.

Duet angielsko-niemiecki podkopał prestiż Lavala. Usiłował on wzmocnić go serią dekretów. Kolejarze, pracownicy portowi i funkcjonariusze służby publicznej musieli znieść cios w postaci nowej redukcji płac. W miastach morskich, Tulonie i Breście, wybuchły strajki i zostały stłumione przez oddziały kolonialne. Było sześciu zabitych i dwudziestu rannych. Atmosfera niespokojnego podniecenia wskutek prowokacji lig faszystowskich stawała się z dnia na dzień coraz bardziej napięta. Generał Weygand został wezwany na powrót do czynnej służby.

W miarę jak zbliżało się lato, rosły pogłoski o konflikcie. Najlżejszy incydent mógł pociągnąć za sobą ważkie konsekwencje. Chociaż nie było wątpliwości co do antyfaszystowskich nastrojów większej części narodu francuskiego, Laval nie kiwnął nawet palcem, aby położyć kres demonstracjom, ćwiczeniom i manewrom Krzyżów Ognistych. W tej atmosferze nerwowości i niepokoju grożącego rozruchami i walkami ulicznymi Laval wyjechał z Paryża do Genewy.

Należało zwołać posiedzenie Ligi Narodów w możliwie krótkim terminie. Na horyzoncie gromadziły się złowrogie oznaki burzy. Duce ukończył lub był w stadium kończenia swych przygotowań do podboju Abisynii. Po raz pierwszy od chwili powstania Ligi Narodów wielkie mocarstwo europejskie było o krok od dokonania agresji w stosunku do innego państwa, będącego członkiem Ligi. Czy Liga Narodów przetrwa tę ciężką próbę? Czy zalecany przez jej członków od lat system bezpieczeństwa zbiorowego okaże się skuteczny?

Lavalowi towarzyszył do Genewy Edouard Herriot, jako minister bez teki, oraz Paul Boncour — obaj gorliwi zwolennicy Ligi Narodów i bezpieczeństwa zbiorowego. Mieli się oni na baczności, gotowi przeszkodzić Lavalowi, gdyby chciał pójść na rękę agresji włoskiej. Ale w momencie rozstrzygającym nie było nikogo.

Anglię reprezentował nowy minister spraw zagranicznych sir Samuel Hoare. Minister ten podzielał punkt widzenia Lavala. W przyszłości stał się wybitnym przedstawicielem polityki uspokojenia, wówczas jednak przybył do Genewy z intencją obrony, jakkolwiek tylko werbalnej, systemu zbiorowego oporu przeciwko wszelkim nie sprowokowanym aktom agresji. Postawa Hoare'a, tak jak postawa Lavala, podyktowana była względami polityki wewnętrznej. W Anglii zbliżały się wybory. Jak wyjaśnił później Stanley Baldwin, każdy rząd angielski, który by w tym momencie dopuścił do agresji włoskiej, a tym samym do jawnego pogwałcenia statutu Ligi Narodów, zostałby bezwzględnie przegłosowany. Toteż rząd brytyjski musiał zająć stanowisko negatywne w stosunku do potężnego agresora-Mussoliniego, chociaż zaledwie dzień przedtem zawarł porozumienie z innym potężnym agresorem — Hitlerem.

Laval natomiast przygotowywał się do zajęcia wręcz przeciwnego stanowiska. Groźba inwazji rozbiła Francję w sposób zdecydowany na dwa obozy. Z jednej strony Front Ludowy obstawał energicznie za polityką oporu; z drugiej reakcja stawała murem za polityką porozumienia z dyktatorami.

W tym układzie sił Laval miał nadzieję utrzymać swój gabinet do wyborów 1936 roku.

Podczas tej walki prawica zajęła stanowisko otwarcie antybrytyjskie. Dzienniki, które popierały politykę Lavala, prowadziły ostrą kampanię przeciw Anglii. Ich gwałtowny ton przypominał dni Faszody[1] w roku 1898, kiedy Francja i Anglia były o włos od wojny. Faszystowski tygodnik Gringoire opublikował sensacyjny artykuł Henri Béraud:

> Należy zmusić Anglię do poddania się... Nadejdzie dzień, w którym świat zdobędzie siłę i mądrość, umożliwiające obezwładnienie tyrana mimo opinii o jego niezwyciężoności. Tylko sojusz narodów kontynentu może ocalić Europę i świat. Kto wie? Może dzień ten jest już bliski?

Było to w roku 1935. W świetle późniejszych wypadków artykuł Bérauda ma szczególną wymowę. Każde słowo tego artykułu było zapłacone złotem. Przez długi czas Gringoire otrzymywał regularnie subsydia od Mussoliniego. Wysoka osobistość z Quai d'Orsay powiedziała mi pewnego dnia, że w czasie wojny włosko-abisyńskiej agenci Mussoliniego wypłacili prasie francuskiej i różnym organizacjom faszystowskim przeszło 135 milionów franków.

Brytyjski minister spraw zagranicznych uciekł się do środków odwetowych, kierując ostrą kampanię przeciw Lavalowi. Jak twierdził w swym dzienniku jeden z korespondentów amerykańskich: „White Hall uważa obecnie, że prezydent Laval znajduje się na krawędzi faszyzmu".

W początkach października Włochy zaatakowały Abisynię. Liga Narodów zastosowała sankcje wobec Mussoliniego.

---

[1] W 1898 r. Anglia rozpoczęła walkę o opanowanie Sudanu. Francja usiłowała temu przeszkodzić wysyłając do Sudanu wojsko pod dowództwem kapitana Marchand. Spotkanie francuskich i angielskich sił wojskowych nastąpiło w pobliżu wsi Faszoda. Anglicy zażądali wycofania oddziału francuskiego. Incydent ten znany pod nazwą Faszody o mało nie wywołał wojny między Anglią i Francją. — Red.

W ciągu trzech miesięcy Laval intrygował i usiłował przeszkodzić faktycznej realizacji sankcji antywłoskich. — Sankcje to wojna! — wołały do swych czytelników prawicowe dzienniki. Jako przedmiot ataku wybrały one jedyny akt, którego wykonanie mogłoby zaważyć na przebiegu wojny włosko-abisyńskiej: sankcje dotyczące dostaw nafty. Za każdym razem, kiedy na nowo powstawała sprawa sankcji naftowych, ambasador włoski Cerutti składał wizytę premierowi Francji. Komunikował on, że Włochy na zastosowanie sankcji odpowiedzą wojną. Laval i jego zwolennicy z powodzeniem szantażowali groźbą wojny aż do chwili, kiedy zwycięstwo Włoch stało się pewne.

Lewica oskarżyła Lavala, że sprzedał Abisynię w czasie słynnej półgodzinnej rozmowy z Mussolinim w Rzymie. Laval zaprzeczył z czelnością.

— W porozumieniu zawartym w Rzymie w dniu 7 stycznia br. ani też w rozmowach, które je poprzedziły lub nastąpiły po nich, nie było nic, co by mogło być interpretowane nie tylko jako usprawiedliwienie, lecz nawet jako ośmielenie Włoch do wojny — oświadczył premier francuski w Izbie Deputowanych.

Delegował specjalnego wysłannika do Rzymu z prośbą, aby Mussolini dał mu poparty dokumentem dowód, iż w przebiegu owych rozmów nie powziął on w imieniu Francji żadnych zobowiązań w sprawie abisyńskiej. Wysłannik przywiózł Lavalowi list od Mussoliniego. Treść jego była jednak tego rodzaju, że Laval nie odważył się go opublikować.

Prawda o rozmowach w Rzymie odsłonięta została przez dwu najbardziej zaufanych współpracowników Mussoliniego— marszałka de Bono i Roberta Farinacci. Marszałek, który prowadził natarcie na Abisynię w pierwszej jego fazie, napisał o owej kampanii w książce swej zatytułowanej Anno XIV:

> W owym czasie (styczeń 1935) nastąpiły rozmowy Lavala z Rzymem, które pozwoliły nam spodziewać się, że gdybyśmy rozpoczęli akcję w Afryce wschodniej, Francja nie stawiałaby na naszej drodze żadnych przeszkód.

Roberto Farinacci, były sekretarz generalny partii faszystowskiej, oświadczył w Lavoro Fascista, że zarówno w Rzymie jak w Stresie Laval pozostawił Mussoliniemu wolną rękę w sprawie Abisynii.

W ten sposób dementi okazało się tylko nowym świstkiem papieru: Laval zdradził Abisynię.

Październikowe wybory do senatu wykazały wśród wyborców wyraźny wzrost tendencji lewicowych. Po raz pierwszy w historii Trzeciej Republiki wybrano dwóch senatorów komunistycznych.

W tym samym miesiącu związki zawodowe pod wpływem komunistów postanowiły połączyć się we wspólną organizację, jednoczącą półtora miliona członków. Sympatie powszechne były bez żadnych wątpliwości po stronie lewicy. Jeśli prawica chciała się tendencjom tym przeciwstawić, musiała działać szybko.

31 października dziennik nasz otrzymał wiadomość, według której pułkownik de La Rocque powiadomił Lavala, że jego organizacja zakończyła przygotowania do puczu. Na zgromadzeniu przywódców swego ruchu de La Rocque zapewnił, że tym razem nic go nie powstrzyma. Mając do czynienia z upartym i energicznym Lavalem zamiast słabego Doumergue'a — stwierdził pułkownik — powinno się osiągnąć powodzenie.

Po raz trzeci w ciągu dwóch lat w Paryżu o mały włos nie doszło do krwawych zamieszek. Znalezione później dokumenty wykazały, że przygotowania de La Rocque'a zostały rzeczywiście wypracowane w najdrobniejszych szczegółach. Poparcie armii i pomoc Lavala stanowiły poważne atuty. Masy, które mu się przeciwstawiały, nie były uzbrojone. Spodziewał się on złamać ich opór w Paryżu w ciągu czterech do pięciu dni.

Do walki jednak nie doszło; w ostatnim momencie Laval cofnął się. Na początku listopada spędził w swym gabinecie całą noc w towarzystwie zaufanych doradców ważąc decyzję. Na biurku miał doniesienia ze wszystkich stron kraju, stwierdzające, że idea Frontu Ludowego ogarnęła całą francuską

klasę robotniczą i dużą część warstw średnich. Generalna Konfederacja Pracy (La Confédération Générale du Travail) i obie partie robotnicze wystosowały do swych członków wezwania, aby byli gotowi do odporu. Wszelka próba puczu spotkałaby się natychmiast z odpowiedzią w postaci strajku generalnego. Przy panujących nastrojach strajk ogarnąłby prawdopodobnie prawie sto procent klasy robotniczej. Objawy wzburzenia dały się zauważyć również w armii. Większość oficerów sympatyzowała z Krzyżami Ognistymi oraz innymi organizacjami faszystowskimi, ale orientacja żołnierzy była inna. Ich nastroje odpowiadały tym, które panowały w ich rodzinnych miastach i wsiach. W większości byli to synowie chłopscy. Rodzice mówili im, że polityka rolna Lavala pogorszyła ich sytuację gospodarczą. Toteż choć płk de La Rocque mniemał, iż ma w ręku poważne atuty, Laval cofnął się. Dzień 11 listopada przeszedł w atmosferze napiętej, lecz bez poważniejszych incydentów.

* * *

Napięcie między Francją a Anglią w związku ze sprawą abisyńską weszło wówczas w nową fazę. Każdy z tych dwóch krajów usiłował przerzucić na partnera odpowiedzialność za klęskę Ligi Narodów. Aby przycisnąć Lavala do muru, Londyn zapytał bez ogródek, czy flota brytyjska, w wypadku gdy zostanie zaatakowana na Morzu Śródziemnym, może liczyć na flotę francuską. Laval odpowiedział używając zbyt wielu słów, aby można było je przyjąć za „tak", lecz w ten sposób, że nie można było uważać ich również za „nie"... Laval uzupełnił swą odpowiedź pytaniem: — Czy Anglia pomogłaby Francji, gdyby Hitler w chwili, którą będzie uważał za odpowiednią, skierował atak przeciwko Austrii i Czechosłowacji? To z kolei powściągnęło Anglików.

Te dyplomatyczne gierki ustały po wyborach w Anglii. Londyn zaproponował Lavalowi, aby dwie zachodnie demokracje wypracowały plan arbitrażu, który by położył kres

wojnie włosko-abisyńskiej. — Zaczynają nabierać zdrowego rozsądku — mamrotał pod nosem Laval. I kiedy Liga Narodów oficjalnie obarczyła Francję i Wielką Brytanię zadaniem opracowania planu mediacji, dwaj główni zwolennicy polityki uspokojenia, Laval i sir Samuel Hoare, wzięli się żwawo do roboty.

Wynikł z niej plan Laval-Hoare, który całkowicie oddawał Abisynię w ręce Mussoliniego. Włochy otrzymywały większą część etiopskiego terytorium i przywileje gospodarcze w pozostałej części kraju, co pozwalało Mussoliniemu owładnąć nią, gdy tylko zechce.

Plan opracowano w wielkiej tajemnicy. Nie należało go ujawniać, zanim Mussolini nie udzieli nań swej zgody; wówczas Haile-Selassié pod silną presją również nie będzie mógł się sprzeciwiać. Plan miał być ogłoszony po wyrażeniu zgody obu stron. I wówczas miał być wprowadzony w życie bez względu na gwałtowność reakcji ze strony opinii publicznej.

Hoare był tak pewien sukcesu, że pojechał do Szwajcarii na wypoczynek. Laval oczekiwał z niepokojem odpowiedzi z Rzymu. Dwóch francuskich dziennikarzy obaliło ów chytrze uknuty plan. Pertinax i Mme Geneviève Tabouis opublikowali plan Laval-Hoare, zanim Mussolini dał odpowiedź. Laval twierdził, że informacje swoje musieli uzyskać od jakiejś wysoko postawionej osobistości na Quai d'Orsay. W kołach dziennikarzy sądzono, że niedyskrecję tę popełnił umyślnie któryś z ministrów gabinetu Lavala. Mówiono także, że sam Mussolini przyczynił się do rozpowszechnienia tej wiadomości.

Jakkolwiek było, pozostanie faktem, że opublikowanie planu wywołało falę oburzenia. W Anglii rząd Baldwina zmusił sir Samuela Hoare do ustąpienia. W Izbie gmin z trudem udało mu się skończyć przemówienie, w którym usiłował usprawiedliwić swoją działalność. Opuścił posiedzenie płacząc.

Laval natomiast wyszedł z Izby Deputowanych z uśmiechem, uzyskawszy nieznaczną większość dwudziestu głosów. — To wystarczy, by przetrwać do wyborów — powiedział mi w kuluarach.

Ale gabinet Lavala upadł przed końcem stycznia 1936 r., ulegając nastrojom panującym w kraju. Herriot wycofał się. To przesądziło o losie rządu.

VI

DWÓCH EDWARDÓW

Gabinet Lavala był czwartym z rzędu gabinetem, obalonym przez Edouarda Herriot w ciągu jego kariery politycznej. Herriot reprezentował w tych gabinetach partię radykalno-socjalistyczną. Partia ta, trzymająca się ostrożnie złotego środka, nie była, powtórzmy raz jeszcze, ani radykalna, ani socjalistyczna. Radykalizm jej był, jak sam Herriot, stary, pokryty rdzą i rozmiłowany w komforcie.

W grudniu 1935 roku, kiedy sir Samuel Hoare wśród powszechnej burzy podał się do dymisji w Anglii, Herriot ustąpił z przewodnictwa partii radykalnej, opuszczając stanowisko, które zajmował przez wiele lat. Nie był on entuzjastą Frontu Ludowego w stopniu większym, niż było to konieczne. Podczas ostatnich uroczystości w dniu 14 lipca radykałowie Lyonu nie maszerowali razem z socjalistami i komunistami. Herriot, mer miasta, trzymał ich na uboczu. Obecnie uważał, że nadeszła godzina Edouarda Daladier, leadera tego skrzydła partii radykalnej, które podtrzymywało Front Ludowy.

Daladier był uczniem Herriota; początkowo w szkole, później w polityce. Ale około 1928 roku ich drogi rozeszły się. Daladier, pożerany przez ambicję, wyzwolił się i usiło-

wał stać się leaderem partii. Kiedy stworzył swój pierwszy rząd, Herriot śledził go wzrokiem krytycznym.

Rywalizacja między tymi dwoma ludźmi miała wyjątkowo silny wpływ na losy partii radykalnej. Po roku 1933 nie łączył ich już wspólny punkt widzenia ani w polityce wewnętrznej, ani zagranicznej. Rozruchy z lutego 1934 roku, po chwilowym wycofaniu się Daladiera z życia politycznego, pchnęły go później bardziej w kierunku lewicy. Stał się wyraźnym obrońcą Frontu Ludowego. „W okresie niespokojnym idźcie na lewo!" było jego hasłem. Ale następnie uczynił on gwałtowną woltę w kierunku przeciwnym, natomiast Herriota wypadki skierowały wówczas bardziej na lewo. Od tego czasu, w ciągu blisko roku, ci dwaj ludzie jak gdyby wymieniali między sobą swe kostiumy polityczne. Walka we Francji pokazała, jak obaj leaderzy byli źle przystosowani do sytuacji w momencie kryzysu. Zupełnie różni pod względem charakteru, wyglądu i sposobu myślenia, mieli jedną fatalną wspólną cechę: słabość. O b a j n a l e ż e l i d o p a r t i i r a d y k a ł ó w. W ostatecznej analizie mówi to o nich więcej niż długie biografie i studia psychologiczne.

Zewnętrznie obaj nie mieli ze sobą prawie nic wspólnego. Herriot pochodził z rodziny oficerskiej. Nie było w nim jednak nic, co przypominałoby żołnierza. Miał głowę i postać o proporcjach masywnych, oczka małe, ale ostre i przenikliwe. Fajka Herriota, wtłoczona między grube i mięsiste wargi, była znana w całym kraju. Głos Herriota znał sekrety wszystkich tonów, gam i pauz retorycznych. Pod względem talentu oratorskiego nie ustępował żadnemu z mówców znanych ostatnio w historii francuskiego życia parlamentarnego. Podczas kongresu radykałów Herriot umiał z mównicy pobudzać do wybuchów płaczu, śmiechu i uniesienia. W ciągu piętnastu lat patronował osobiście lub symbolicznie zgromadzeniom partii. Mógł zgodnie ze swą decyzją nadawać jej kierunek, skłaniać do pójścia na prawo lub lewo. Kiedy wymowa jego traciła swą moc, groził dymisją. Kongres partyjny uchodził za nudny i ponury, jeśli dla ożywienia debat

Herriot nie groził dymisją. Jego koledzy w Izbie mieli zwyczaj nazywać go z lekka pogardliwie, ale i z podziwem „tenorem demokracji".

Herriot uzyskał najwyższe wyróżnienia naukowe w École Normale Supérieure, szkole, która wydała najwybitniejszych przedstawicieli francuskiej literatury i polityki. Zaczął od kariery pedagogicznej, uwieńczonej dużym powodzeniem, ale dał się wciągnąć wcześnie do polityki, która wprowadziła go na arenę publiczną w rodzinnym mieście. Na długo przed rokiem 1914 już został wybrany na mera Lyonu, trzeciego co do wielkości miasta we Francji i centrum przemysłu jedwabniczego. Był jeszcze młody, kiedy wszedł do senatu. Briand uczynił go ministrem robót publicznych w swym gabinecie wojennym. Po wojnie Herriot przeszedł z senatu do Izby. Zwycięstwo kartelu lewicy w wyborach 1924 roku pozwoliło z kolei i jemu na utworzenie rządu. Wówczas to właśnie był zmuszony do skrzyżowania szpad z magnatami finansowymi Francji. Ci przyczynili się do upadku jego gabinetu. Uzyskał tekę w rządzie Poincarégo, który nastąpił po jego własnym i który ogłosił program wyraźnie prawicowy. W roku 1932, po jeszcze walniejszym zwycięstwie wyborczym koalicji lewicowej, utworzonej przez jego partię i przez socjalistów, powierzono Herriotowi ponownie misję utworzenia rządu. Po siedmiu miesiącach szamotań rząd jego upadł. Poparł swym autorytetem gabinet Doumergue'a o tendencjach wybitnie antydemokratycznych i antyliberalnych.

Ideałem Herriota była Europa liberalna, zgrupowana w Lidze Narodów wokół demokracji francuskiej i angielskiej. Spodziewał się osiągnąć ten ideał przez kampanię rozbrojeniową i koncesje na rzecz niemieckiej republiki weimarskiej. Był on jednak głęboko zaniepokojony niebezpieczeństwem, jakie stanowił dla Francji wzrost sił reakcyjnych i ultranacjonalistycznych w Niemczech. W okresie, kiedy Francja jeszcze była największą potęgą militarną na kontynencie, kiedy jej interesy gospodarcze były dobrze chro-

nione i nie miała ona powodu obawiać się konkurencji, niepokoił go poważnie spadek rozrodczości we Francji i wielkie rezerwy potencjału przemysłowego i wojennego Niemiec. Szukał ochrony przed tymi niebezpieczeństwami w porozumieniu ze Związkiem Radzieckim i w nawiązywaniu ścisłych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Widział we Francji strażniczkę europejskiego liberalizmu, powiązaną sojuszem z W. Brytanią oraz opartą o Rosję Sowiecką i Stany Zjednoczone jako potężnych sojuszników.

Pracował uporczywie nad realizacją tej koncepcji: liberalizm, rozbrojenie i bezpieczeństwo Francji. Lecz siła jego woli nie równała się sile jego przewidującej inteligencji. Zawsze, ilekroć znajdował się w obliczu energicznego oporu, ustępował. Jego przeciwnicy nie wahali się nigdy mobilizować przeciw niemu opinii publicznej. Ale Herriot miał skrupuły i ustępował. Nie odważył się nigdy apelować do pozaparlamentarnych sił klasy robotniczej i do zgrupowanych przy nich demokratycznie nastrojonych warstw średnich. Ograniczał się do czysto werbalnego atakowania potęg pieniądza, do gromienia z pasją ich machinacji, paraliżujących działalność każdego uczciwego rządu. Zamiast zwalczać je wszystkimi środkami, jakie miał do swej dyspozycji, szukał z nimi kompromisu. Nazwisko jego nie zostało nigdy zamieszane w żaden skandal czy też wątpliwą sprawę. Niemniej protegował wielu członków swej partii, o których wiedział bardzo dobrze, że posługiwali się polityką wyłącznie w celu osobistego wzbogacenia się.

Wierzył w system zbiorowego bezpieczeństwa. Milczał jednak, kiedy Daladier i Bonnet, dwaj czołowi przywódcy jego partii, bezlitośnie system ten torpedowali. Pewnego dnia wyznał mi, iż, jego zdaniem, zwycięstwo legalnego, demokratycznego rządu w Hiszpanii było kwestią niezmiernie doniosłą z punktu widzenia francuskich interesów narodowych. W prywatnych rozmowach potępiał gwałtownie politykę nieinterwencji, a jednak dał swoje ciche błogosławieństwo rządom, które ją uprawiały. Założył podwaliny pod pakt

wzajemnej pomocy między Francją a Zw. Radzieckim. Ale kiedy Daladier i Bonnet pakt ten storpedowali, Herriot skapitulował przed „polityką rozsądku".

Lubił, za bardzo lubił pełne rozmachu i łatwe życie Trzeciej Republiki. Pisarz, zamiłowany znawca sztuki, napisał kilka doskonałych prac o Beethovenie, Madame de Récamier, o pięknie miasta Lyonu i o pięknie francuskiej demokracji!

Lubił dobrze zjeść, jak inni lubią dobrze wypić. Spotykałem często Herriota w nastroju błogiego zadowolenia po dobrym jedzeniu, niczym po dobrej wypitce. W atmosferze serdeczności i wykwintu, po posiłkach sporządzonych według najlepszych tradycji kuchni francuskiej, wykazywał największej błyskotliwości i werwy. Słowa jego iskrzyły się dowcipem. Rozwijał swe plany z dużą pewnością siebie i z przekonywającą pasją. Zafascynowani słuchacze ulegali łatwo czarowi jego elokwencji.

Co było najistotniejszą cechą tego człowieka? Głęboko zakorzeniony pesymizm. Powiedział mi kiedyś, że w gruncie rzeczy nie wierzył w możliwość decydujących zmian w polityce francuskiej. Własną słabość brał za charakter narodowy. Jego urok osobisty, czar, którym przyciągał ludzi, polor jego kultury krył otchłań pesymizmu i niewiary... Nie był zwolennikiem polityki uspokojenia.. Był przeciwnikiem faszyzmu. A jednak jego niezdecydowanie, jego zamiłowanie do wygody, do łatwego życia i łatwych rozwiązań, jego gryzący pesymizm i brak odwagi w rozstrzygających godzinach historii zdziałały, że pozostał bierny i nie uczynił nic, by zapobiec upadkowi Republiki Francuskiej.

* * *

Krępy, masywny, o grubym karku, Edouard Daladier nie należał do klasy wielkich mówców. Nie było mu dane wzbudzanie wśród swych słuchaczy fal entuzjazmu, porywanie tłumów lub zjednywanie sobie Izby błyskotliwymi wystąpieniami krasomówczymi. Był to typowy polityk kuluarowy,

podczas gdy Herriot utwierdzał swój wpływ na partię wystąpieniami publicznymi. Daladier lubił ludzi dostatecznie ambitnych, aby potrzebowali protekcji, ale którzy jednocześnie byli o tyle zależni, że nie mogli równać się ze swoim protektorem. Podczas gdy Herriot pozwalał wybić się ludzion takim, jak Daladier i Chautemps, którzy pewnego dnia mieli mu odebrać tekę premiera i zdradzić go, Daladier protegował sekretarzy, podwładnych.

Daladier lubił grać rolę syna ludu, który wybił się dzięki swoim osobistym zdolnościom. Lubił opowiadać anegdoty o trudnych chwilach swojej młodości i o pozycji, którą osiągnął bez żadnej protekcji. Często odmalowywał siebie jako typowy przykład francuskiej demokracji, gdzie każdy „nosi w tornistrze buławę marszałkowską". Wygląd milczący i podejrzliwy odstręczał od niego ludzi. Miał ich niewiele w swym otoczeniu — raczej oficjalnych współpracowników niż przyjaciół.

Brał udział jako żołnierz w pierwszej wojnie światowej i wyróżnił się zdobywając rangę kapitana. Podobnie jak Hitler, był dumny ze swojej kariery wojskowej.

Gdy znalazł się w roku 1919 w Pałacu Burbońskim, zaczął specjalizować się w sprawach wojskowych. Wkrótce stał się rzecznikiem partii radykalnej w komisji wojskowej Izby. Tworząc swe gabinety, tekę ministra wojny zachowywał dla siebie. Ten dualizm funkcji jest jednym z rysów charakterystycznych francuskiego systemu parlamentarnego.

Daladier był człowiekiem o gustach i obyczajach pospolitych. Sam skręcał sobie papierosy, a od czasu do czasu kurzył fajkę. Pić lubił tak zwany pastis. Pastis Daladiera było w ciągu długich lat ulubionym tematem piosenkarzy i karykaturzystów. Chociaż niektóre historie o nadużywaniu przez niego alkoholu są na pewno przesadzone, nie ulega wątpliwości, że wypijał zbyt wielką ilość swego pastis, aby mogło mu to pójść na zdrowie. Przypominam sobie, że któregoś dnia na polecenie redaktora udałem się do Ministerstwa Wojny dla uzyskania od Daladiera pewnej ważnej informacji; jeden

z jego sekretarzy poradził mi, abym nie nastawał na uzyskanie audiencji: „Lepiej przychodzić przed godziną aperitifu. Po aperitifie premier jest zwykle w bardzo złym humorze".

Miewał często gwałtowne napady gniewu, prawie jak Hitler. Traktował wówczas swych współpracowników z niezwykłą brutalnością, ale w przeciwstawieniu do Hitlera nie czynił żadnych wysiłków dla ukrycia tego przed opinią publiczną. Ulegał zmiennym nastrojom podniecenia i depresji. Niekiedy wyobrażał sobie, że jest uosobieniem energii, małym Napoleonem. Kiedy indziej ujawniał wyjątkową nicość i tchórzostwo. Zawsze uderzał mnie w jego wyglądzie wyraz przeciętności. Widywałem go często, lecz nie przypominam sobie, aby sformułował kiedykolwiek jakieś zdanie godne zapamiętania, powiedział jakieś słowo trafiające rzeczywiście w sedno zagadnienia.

Nawet ludzie mu bliscy mówili o nim, że był przeciętny. Pewnego dnia jadłem obiad z Albertem Chichery, deputowanym z partii radykalnej, który w ostatnim gabinecie Daladiera był jego mężem zaufania w Izbie. Chichery mówił o Daladierze z pogardą: „Nie powierzyłbym mu kierownictwa mojej fabryki" oświadczył wobec tuzina osób. A miał do niego zaufanie, jeśli chodzi o rządy Francją!

Przy innej okazji zdarzyło mi się widzieć Daladiera w otoczeniu grupy deputowanych, którzy opowiadali mu o skutkach propagandy nazistowskiej we Francji. Domagali się, by powziął energiczne kroki zaradcze. — Doskonale — powiedział — pomyślę o tym. Ale przesadzacie, panowie, Francuzi nie mogą ulec szaleństwu propagandy. To wymysł kilku salonów literackich. — Był to sąd małego człowieka z prowincji, który mścił się na Paryżu i zawsze czuł się w nim obco.

Clemenceau powiedział kiedyś, że obawia się filistrów, gdyż ze wszystkich ludzi są oni najmniej szczerzy. Określenie to pasuje doskonale do Daladiera. Chociaż robił wrażenie szczerego i otwartego, był to niewątpliwie jeden z najbardziej szczutych lisów polityki francuskiej.

Jego ulubionym chwytem było skompromitowanie kogoś na stanowisku, które zajmował. W czasie wojny domowej w Hiszpanii Daladier stwierdził kilka razy w mojej obecności, że należało wspierać rząd republikański. Zapewnił, że dostarczyłby mu chętnie uzbrojenia i że przeszkadza mu w tym wyłącznie Leon Blum. Kiedy jednak został szefem rządu, jednym z pierwszych jego aktów było tak ścisłe zamknięcie granicy hiszpańskiej, że nawet najmniejsze przesyłki broni z Rosji nie mogły dotrzeć do rąk hiszpańskich republikanów.

Słyszałem go szalejącego ze wściekłości z powodu Bonneta, kiedy był on w roku 1938 jego ministrem spraw zagranicznych. Lubił mówić z emfazą, że kazałby go rozstrzelać w ciągu 24 godzin. Ale Bonnet pozostał na Quai d'Orsay przez osiemnaście miesięcy!

O sobie samym mówił, że był „ostatnim jakobinem". Lecz nie miał nigdy zapału ani szczerości przekonań jakobinów. Używał krasomówczych zwrotów o Francji — „ostatnim szańcu wolności". Lecz właśnie on oddał ją nieprzyjacielowi. Jeden z najwybitniejszych francuskich komentatorów politycznych powiedział o nim pewnego dnia, że był on „ponurym komediantem". Myślę, że jest to słuszne i właściwe określenie Edouarda Daladier.

VII

HITLER KROCZY NAPRZÓD, FLANDIN PŁACZE

Upadek Lavala był wyraźnym wyrokiem, osądzającym politykę zagraniczną i oznaczał rozbrat między opinią publiczną a szefem rządu. Dziedzictwo, które pozostawiał, nie było godne zazdrości.

Rok przedtem Laval zapewniał: „Jest na tym świecie pięciu lub sześciu ludzi, od których zależy pokój. Los uczynił mnie jednym z nich".

Opuszczając chwilowo scenę polityczną, pozostawiał wymowny bilans: jego polityka rozzuchwaliła i wzmocniła obu dyktatorów i poważnie osłabła perspektywa pokoju. Zostawiał poza sobą stos ruin. Liga Narodów otrzymała cios śmiertelny, z którego nigdy nie miała się podnieść. Zbiorowe bezpieczeństwo zostało storpedowane. Laval spodziewał się zbliżenia z Włochami i Niemcami. Zamiast tego — dwie te potęgi związały się jedna z drugą tak ściśle, że w niecały rok po wycofaniu się Lavala oś Berlin-Rzym stała się faktem historycznym. Stosunki francusko-brytyjskie były chłodne jak nigdy. Stosunki francusko-sowieckie, rok przedtem tak obiecujące, uległy daleko idącemu rozluźnieniu.

Kiedy Laval zmuszony był opuścić widownię polityczną, przeciwnicy jego myśleli, że wycofuje się ostatecznie. Miał

on jednak jeszcze powrócić. Musiało upłynąć sporo czasu, nim historia wydała na niego ostateczny wyrok.

Tylko energiczny rząd mógł naprawić spustoszenia, które uczynił Laval. Był to człowiek pozbawiony zasad, skrupułów moralnych oraz wyczucia sytuacji historycznej. Jego następca powinien był być człowiekiem o głębokich przekonaniach demokratycznych, mocnych zasadach moralnych, gruntownej znajomości potrzeb chwili i energii, dzięki której mógłby przekształcać swe sądy w realne czyny. Ale człowiek, którego wybrał prezydent Lebrun, Albert Sarraut, pochodził z wybrakowanej rezerwy w partii radykalno-socjalistycznej. Stworzył on gabinet złotego środka, złożony w większości ze starców.

Każdy zdawał sobie sprawę, sam Sarraut również, że rząd ów był zwykłym zatkaniem dziury, był rządem, na który Francja najmniej mogła sobie w tym czasie pozwolić! Nowym ministrem spraw zagranicznych był Pierre-Etienne Flandin, który rozpoczął od ogłoszenia, że solidaryzuje się całkowicie z polityką Lavala w sprawie Abisynii.

Sarraut i Flandin w epoce przesilenia!

Kiedy nowy gabinet objął władzę, stało się oczywiste, że Hitler postanowił zająć Nadrenię. Kraj ten, sąsiadujący z granicą francusko-niemiecką, uznany był na zasadzie traktatu wersalskiego i paktu locarneńskiego za strefę zdemilitaryzowaną.

W kilka dni po stworzeniu kombinacji Sarraut - Flandin umarł król Jerzy V. Flandin reprezentował Francję na uroczystościach pogrzebowych w Londynie. Jego rozmowy z Baldwinem i Edenem przekonały go, że energiczny opór w stosunku do planów Hitlera w Nadrenii nie wywołałby sprzeciwu rządu angielskiego. Zdał sprawę z tego na Radzie Ministrów. Posiedzenie wykazało, jak wielu „lavalistów" było w gabinecie Sarrauta. Przywódcą ich był milczący Marcel Déat, „neosocjalista", który opuścił partię socjalistyczną wraz z Adrienem Marquet i trzydziestu innymi deputowanymi, wysuwając własne hasła: „Porządek, władza, naród". Déat

oświadczył bez ogródek, że remilitaryzacja Nadrenii, która ostatecznie była terytorium niemieckim, nie zasługiwała na to, by ryzykować dla niej życie choćby jednego francuskiego żołnierza. Poza tym przeciwstawił się propozycji Sarrauta, aby przyśpieszyć, długo odraczaną przez parlament, ratyfikację paktu francusko-sowieckiego.

Agenci Hitlera, którzy krążyli swobodnie po Paryżu — słynny Otto Abetz przybył z dłuższą wizytą do stolicy Francji zimą 1936 — otrzymali ponowne zapewnienia salonów i polityków nacjonalistycznych, że Francja nie będzie walczyła przeciw remilitaryzacji Nadrenii. Francuzi, odbywający podróż do Berlina, wypowiadali się w tym samym duchu. Jeden z francuskich korespondentów w Berlinie opowiadał mi, iż pewien deputowany Francuz oświadczył podczas obiadu w ambasadzie francuskiej w Berlinie, w obecności wysokich osobistości z Wilhelmstrasse [1], że we Francji niechęć do wojny była powszechnym uczuciem i że żaden rząd nie mógłby zmusić francuskiej opinii publicznej do wystąpienia przeciw remilitaryzacji.

Ambasador francuski François Poncet osobiście udzielił aprobaty na „uzgodnioną remilitaryzację". Powiedział to kilka razy Hitlerowi. Biorąc pod uwagę te fakty, führer mógł nie obawiać się poważniejszych konsekwencji, gdyby zdecydował się uczynić ten krok.

We Francji prasa prawicowa, powziąwszy wiadomość, że Sarraut pragnie doprowadzić do ratyfikacji paktu francusko-sowieckiego, rozpoczęła gwałtowną kampanię przeciwko temu projektowi. Generał Loiseau, który brał udział w rosyjskich manewrach wojskowych jesienią 1935 r., oświadczył, że jeśli chodzi o wyposażenie w tanki, armia sowiecka zajmuje pierwsze miejsce na świecie. Mimo to prasa prawicowa zapewniała, że wyposażenie techniczne Armii Czerwonej było marne, że nie miała ona należytego dowództwa i że w najlepszym razie była to armia zdolna do obrony, nie ma-

[1] Na Wilhelmstrasse mieściła się kancelaria Rzeszy. — R e d.

jąca jednak żadnej wartości dla Francji w wypadku zaatakowania jej przez Niemcy. Prasa prawicowa podkreślała, że pakt francusko-sowiecki był jedyną przeszkodą w porozumieniu między Trzecią Republiką a Trzecią Rzeszą. Gdyby został on odrzucony, Francja i Niemcy zawarłyby natychmiast porozumienie. Tę samą piosenkę śpiewała zgodnym chórem prasa hitlerowska w Niemczech.

W Izbie mówcy prawicy, jeden za drugim, zwalczali ideę paktu. Sztandarem opozycji był Jacques Doriot, były komunista, który przeszedł do faszyzmu. Laval działał wytrwale za kulisami. Sprawa stosunków ze Zw. Radzieckim była dyskutowana z punktu widzenia polityki wewnętrznej. Wielu nacjonalistów wyrażało obawę, że pakt może wzmóc Francuską Partię Komunistyczną. Ich wrogość, zręcznie podniecana przez zagraniczną propagandę, stawała się tym wyraźniejsza, im więcej wysiłku wkładali komuniści w scementowanie Frontu Ludowego.

Podczas gdy we Francji wykłócano się o pakt francusko-sowiecki, Hitler zwołał swych generałów do Berchtesgaden. Przedstawił im swe zamiary zajęcia Nadrenii. Arystokratyczny generał von Fritsch żywo przeciwstawił się temu wychodząc z założenia, że Niemcy nie będą mogły stawić oporu, jeśli Francja zastosuje odpowiednie sankcje wojskowe. Hitler zapewnił, że żaden opór wojskowy nie nastąpi. Lecz w wypadku gdyby nastąpił, upoważnił dowództwo do wycofania oddziałów.

W tydzień po tym zebraniu w Berchtesgaden oficjalne francuskie biuro informacyjne, Agencja Havasa, opublikowało nowinę pochodzącą z londyńskich sfer dyplomatycznych, według której Anglia nie przewidywała akcji zbrojnej w wypadku remilitaryzacji Nadrenii. Tego rodzaju depesza Havasa nie mogła być opublikowana we Francji bez zgody ministra spraw zagranicznych. Sam fakt, że została ona opublikowana, stał się dla Hitlera oczywistym znakiem, że może śmiało kroczyć naprzód.

W kilka dni potem Marcel Déat był na obiedzie z ambasadorem niemieckim w Paryżu. Po czym niemiecki dyplomata podał do wiadomości swego rządu zapewnienie Déata, iż Francja chwyci za broń jedynie w obronie swych własnych granic.

Pakt francusko-sowiecki został ratyfikowany trzystu pięćdziesięciu trzema głosami przeciwko stu sześćdziesięciu czterem. W dwa dni po tym głosowaniu Le Journal opublikował wywiad Bertranda de Jouvenel, młodego pisarza, należącego do grupy faszystowskiej Doriota, z Hitlerem. W wywiadzie tym Hitler nie ograniczył się do swych zwykłych deklamacji przeciwko bolszewizmowi jako światowemu niebezpieczeństwu, lecz wskazywał konkretnie na grożące Francji niebezpieczeństwo ze strony bolszewików.

— Czy nie zdajecie sobie sprawy, co robicie? — krzyczał. — Dajecie się wciągnąć w dyplomatyczną grę mocarstwa, którego jedynym celem jest praca nad zniszczeniem wielkich narodów Europy.

Zakończył ponawiając swą ofertę wobec Francji: — Dzisiaj Francja może, jeżeli tego pragnie, położyć na zawsze kres groźbie niemieckiej. Załączył do tego uroczyste zapewnienie, że nie zgłasza żadnych pretensji terytorialnych w Europie.

Partie i prasa prawicy powitały ów wywiad jako wyznanie męża stanu, który pokój cenił nade wszystko.

W tydzień po ogłoszeniu artykułu Bertranda de Jouvenel, 7 marca 1936 roku, oddziały hitlerowskie wkraczały do Nadrenii. Drugi wyłom w traktacie wersalskim był dokonany. Kilka tygodni przedtem Hitler zapewnił ambasadora francuskiego, iż pozostanie wierny paktowi locarneńskiemu[1].

[1] Na konferencji w Locarno w 1925 r. Francja, Belgia, Anglia, Włochy i Niemcy podpisały pakt, w którym powtórzone zostały punkty traktatu wersalskiego, dotyczące rozbrojenia Niemiec oraz zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej. Sygnatariusze paktu zobowiązywali się nie uciekać się do wojny i rozstrzygać wszystkie spory w drodze arbitrażu lub przekazywać je Lidze Narodów. Jednocześnie w Locarno podpisane zostały traktaty o wzajemnej pomocy między Francją a Polską i Francją a Czechosłowacją. — Red.

Obecnie podarł go na strzępy. Gdy owo od dawna oczekiwane wydarzenie nastąpiło, we Francji opinia była podzielona podobnie jak w okresie wojny abisyńskiej: „Precz z Sarrautem! Precz z sankcjami. Sankcje — to wojna!" Takie były hasła prasy nacjonalistycznej przed wystąpieniem Hitlera. Georges Mandel na Radzie Ministrów żądał ogłoszenia mobilizacji. Déat, Flandin i większość ministrów zaprotestowała. Postanowiono koniec końców zażądać zwołania Rady Ligi Narodów i spotkania mocarstw, gwarantów paktu w Locarno.

Tego samego dnia Sarraut wygłosił gromkie przemówienie: „Nie mamy zamiaru pertraktować, dopóki Strassburg znajduje się pod ostrzałem dział niemieckich." Później zebrał trzech ministrów obrony i szefów sztabu armii lądowej, marynarki i lotnictwa. Wszyscy, z wyjątkiem ministra wojny Paul Boncoura, oświadczyli się przeciwko mobilizacji. Jedyną decyzją, jaka została powzięta, było wzmocnienie załogi linii Maginota przez wysłanie kilku pułków kolonialnych. Burzliwe przemówienie Sarrauta było tylko nową deklamacją, której nie poparły czyny.

W czasie spotkania przedstawicieli mocarstw — uczestników Locarno — Francji, Anglii, Włoch i Belgii, Anglię reprezentował jako minister spraw zagranicznych Anthony Eden oraz lord Halifax. Ten ostatni miał za zadanie czuwać nad wystąpieniami młodego i porywczego ministra. Konferencja nie dała żadnego wyniku.

Podobny los czekał sesję Ligi Narodów, która odbyła się w Londynie. „Wielki Flandin" miał wygląd człowieka zwyciężonego i zrozpaczonego. Na jednym z posiedzeń wpadł w straszliwy gniew; na innym wybuchnął histerycznym płaczem. Uwieńczeniem tych wysiłków ukarania Niemiec za złamanie paktu locarneńskiego była nowa papierowa deklaracja.

Klęska Francji i Anglii została zamaskowana deklaracją, w której Anglia oświadczyła się jako związana paktem locarneńskim i w konsekwencji przyrzekała pomoc Francji w wy-

padku każdej skierowanej przeciwko niej, niesprowokowanej agresji.

Po powrocie Flandin zastał na swym biurku artykuł C a n d i d e, tygodnika o tendencjach faszystowskich. Czytał w nim:

> Nie później niż 23 stycznia wykazywaliśmy, że ratyfikacja sojuszu francusko-rosyjskiego pociągnie za sobą automatycznie remilitaryzację lewego brzegu Renu. Ale pan miał w głowie pakt francusko-rosyjski. W ciągu trzech ostatnich miesięcy usiłował pan zagłodzić Włochy. Traktuje pan Mussoliniego jako kogoś, kto stoi poza prawem. Pragnie pan, aby wybuchła przeciw niemu rewolucja. Jest pan zbrodniarzem. Wynoś się pan!

Wkrótce stało się jasne, co Hitler chciał osiągnąć swym zwycięstwem w Nadrenii. 21 marca został otwarty słynny Brunatny Dom przy ulicy Roquepine i prawie jednocześnie stał się on głównym ośrodkiem całego hitlerowskiego aparatu szpiegowskiego we Francji. Kleszcze zacisnęły się.

W kwietniu generał Gamelin został wysłany do Londynu w celu odbycia rozmów z brytyjskim sztabem generalnym. Z rozmów tych wynikła jedynie pełna emfazy deklaracja generała, według której Francja, zapewniwszy sobie całkowite bezpieczeństwo za linią Maginota — mogła się oprzeć każdemu atakowi niemieckiemu. Ufność Gamelina nie podzielało jednakże wielu wybitnych mężów stanu i europejskich ekspertów wojskowych. Jeden z najlepiej poinformowanych korespondentów zagranicznych telegrafował do swego dziennika: „Nigdy od czasu wojny w roku 1870 Europa nie miała mniej zaufania do Francji, mniej wierzyła w jej zdolność opanowania sytuacji."

W tego rodzaju warunkach odbywały się w owym roku w kraju wybory. Naród, który przez długi czas oczekiwał zmiany w polityce następujących jeden po drugim rządów, zwracał się teraz ku Frontowi Ludowemu. Front Ludowy

otrzymał pięć i pół miliona głosów (1.900.000 — socjaliści; 1.500.000 — komuniści, nieco ponad 1.400.000 — radykałowie i inne mniejsze ugrupowania) przeciwko 4.300.000 głosów, które padły na prawicę i centrum. W nowej Izbie otrzymał 375 foteli na ogólną liczbę 618.

Kiedy Front Ludowy doszedł po raz pierwszy do władzy, Francja była o krok od wojny domowej! Ceny produktów rolnych spadały gwałtownie, bezrobocie ogarnęło 3.000.000 ludzi zdolnych do pracy. Front Ludowy, mimo iż wchodziła w jego skład grupa radykałów, był najdemokratyczniejszą z koalicji, jaka otrzymała kiedykolwiek we Francji dostateczną liczbę głosów do utworzenia rządu.

Głosił on wolność prasy, obronę pokoju, reorganizację finansów, ogólną amnestię, rozbrojenie lig faszystowskich i ścisłą współpracę państw należących do Ligi Narodów — celem wzmożenia sankcji przeciwko agresorom. Jak można się było spodziewać, zwycięstwo Frontu Ludowego wywołało wielkie zaniepokojenie reakcjonistów. Wiedzieli oni, że liczba zwolenników partii komunistycznej rosła i że niektóre z ich tradycyjnych przywilejów były zagrożone. Oznaki paniki stały się widoczne. Spiżarnie napełniły się żywnością, dzieci wysyłano pod opieką służby na wieś, a złoto i biżuterię — do Anglii i do Ameryki. Znałem osobiście pewną bogatą rodzinę, której bagaże były przygotowane do możliwej w każdej chwili ucieczki. Jak armia po ciężkiej porażce, kapitał na łeb na szyję uciekał z Francji.

Leon Blum widząc, że reakcja zupełnie straciła głowę, zamiast od razu wziąć władzę, zwlekał z tym aż cały miesiąc. Tradycja nakazywała, że gabinet, który przeprowadził wybory, ustępował dopiero po zebraniu się nowej Izby. Blum, któremu powierzono utworzenie nowego rządu, zgodził się na tę niepotrzebną zwłokę.

W społeczeństwie, które witało z zadowoleniem zwycięstwa Frontu Ludowego, zrodziły się natychmiast wątpliwości. Zaczęły krążyć pogłoski, że w maju organizacje faszy-

stowskie, w oparciu o armię i za cichą zgodą prezydenta republiki, projektowały zamach stanu. Upadek Addis-Abeby, stolicy Abisynii, przyczynił się do pogłębienia tych panicznych nastrojów. W tym właśnie momencie Blum, mając po temu wszelkie dane, powinien był, jak tego wymagała od niego sytuacja, szybko zagarnąć władzę i rozpocząć wprowadzenie w życie zapowiedzianych reform. Tego pragnęli jego wyborcy z Frontu Ludowego.

Zamiast tego Blum wygłaszał przemówienia. Przemawiał w paryskim American Club i na nadzwyczajnym kongresie partii socjalistycznej; motywem przewodnim jego przemówień było zawsze słowo „cierpliwość". Żądał cierpliwości również od tych, którzy głosowali za Frontem Ludowym i domagali się obecnie jakiegokolwiek pozytywnego dowodu, iż zamierza on rzeczywiście wprowadzić w życie zapowiedziane zasadnicze reformy; co gorsze — zaniedbał on sprawę Abisynii, która dzieliła kraj na dwa obozy. Mówiąc o dyktatorach stwierdzał:

„Chcemy pokoju ze wszystkimi. Chcemy pracować w imię pokoju ze wszystkimi narodami dobrej woli i wykluczamy całkowicie ideę wojny zarówno w propagandzie jako też w formie sankcji".

Z jak wielką satysfakcją musieli przyjmować te słowa Hitler i Mussolini! Blum „odrzucał" wojnę. Znali już takich ludzi na czele rządu i wiedzieli, jak się do nich ustosunkować.

Giełda paryska uspokoiła się nieco, ale lud się nie uspokoił. Podejrzewano, że reakcja utrudnia Blumowi sformowanie rządu, gdyż spodziewa się wzrostu ruchów faszystowskich. Aby wykazać swoje niezadowolenie, członkowie Frontu Ludowego zorganizowali strajk włoski w całym kraju.

Pierwsza fala strajku objęła około 70 tysięcy robotników, zwłaszcza w wielkich zakładach samochodowych Renault, w warsztatach samolotowych i kilku zakładach przemysło-

wych okręgu paryskiego. W początkach czerwca nastąpiła druga fala strajków. Fabryki, zakłady, sklepy, drukarnie, składy, towarzystwa okrętowe zostały zajęte przez strajkujących. Ale nawet przy największym nasileniu strajku zakłady użyteczności publicznej funkcjonowały normalnie.

4 czerwca strajkowało około 800.000 pracowników. Wieczorem tego dnia utworzony został pierwszy rząd Frontu Ludowego pod przewodnictwem Leona Bluma.

VIII

FRONT LUDOWY W AKCJI

Przewodniczący Izby, Edouard Herriot, potrząsnął dzwonkiem: „Oddaję głos prezesowi Rady Ministrów".

Leon Blum wszedł na trybunę, aby odczytać swą deklarację rządową. Było to 6 czerwca 1936 roku. Obrócony twarzą ku Izbie, Blum budził liczne wspomnienia i nasuwał niekończące się refleksje. Dla Izby nie był on człowiekiem nowym. Jego siwe włosy, podłużna twarz w okularach i gęsty, obwisły wąs, jego szczupła i przygarbiona sylwetka, ruchy jego długich rąk, towarzyszące słowom i akcentujące je, były dobrze znane wszystkim deputowanym. Słyszeli oni wiele razy jego głos o silnym brzmieniu, głos — jak twierdzili niektórzy — kobiecy. Znali bieg jego myśli, kręty i pogmatwany, poszukiwania właściwych słów, jego słabości, jego przymioty.

Leon Blum miał sześćdziesiąt cztery lata, kiedy został premierem. Po raz pierwszy był wówczas ministrem. Wszedł do polityki stosunkowo późno. — W rodzinie Bluma sądzono — opowiadał mi jeden z jego przyjaciół dzieciństwa — że zostanie on wybitnym pisarzem lub wielkim adwokatem, albo też jednym i drugim jednocześnie. Lecz nikt nie przepowiadał mu kariery politycznej.

Jako syn bogatego kupca jedwabiu, nie wykazywał żadnego szczególnego zainteresowania dla spraw majątkowych swego ojca. Otrzymał doskonałe wykształcenie średnie, po czym został przyjęty do École Normale Supérieure.

Leon Blum od młodych lat zdradzał zamiłowanie do teatru. Przez długie lata prowadził dział krytyki teatralnej w jednym z najwytworniejszych periodyków Revue Blanche. Współpracował także z Matin i z pismem Comoedia, dziennikiem poświęconym przede wszystkim teatrowi. Blum czuł się równie dobrze na premierze w teatrze, jak na eleganckich przyjęciach amatorów wyścigów konnych w Longchamps.

Był on w owym okresie rozkwitu sztuki i literatury osobistością wyróżniającą się. Napisał odważną książkę o małżeństwie, przenikliwe studium o powieściach Stendhala i niezliczoną ilość artykułów o sztuce i wytwornych umysłach z końca XIX wieku.

Będąc prawnikiem wszedł do administracji, gdzie osiągnął wysokie stanowisko: został radcą stanu do spraw konstytucyjnych przy francuskim Sądzie Najwyższym.

Bibliotekarz i erudyta z École Normale, Lucie Herr, zaszczepił mu pierwsze pojęcia z dziedziny socjalizmu. Herr zetknął go z Jaurèsem. Leon Blum spędził przeszło dziesięć lat w cieniu tego wielkiego trybuna klasy robotniczej.

Kiedy Jaurès tworzył codzienne pismo socjalistyczne Humanité, Blum stał się jednym z jego współpracowników. Ale nie porzucił dziedziny sztuki. Zachował jeszcze wiele zwyczajów swej młodości; pozostało mu zamiłowanie do wyszukanych idei; upodobanie do zagadnień wykwintnych, dostępnych dla elity. Z zamiłowaniem pojedynkował się. Ostatni raz pojedynkował się w roku 1912.

Jean Juarès przypłacił życiem swą walkę przeciwko wojnie. Został zamordowany przez młodego fanatyka z dziennika rojalistycznego Action Francaise w momencie wypowiedzenia pierwszej wojny światowej w roku 1914.

Właśnie podczas tej wojny Blum zaczął stawiać swe pierwsze samodzielne kroki w polityce. Stał się szefem gabinetu Marcela Sembata, ministra robót publicznych w rządzie Unii Narodowej. Od tego czasu Leon Blum poświęcił się całkowicie polityce.

Do parlamentu wszedł w roku 1919. Dwa lata później znalazł się wśród przywódców grupy, która na kongresie w Tours przeprowadziła podział partii socjalistycznej. Na tym kongresie większość oświadczyła się za programem komunistycznym. Blum z mniejszością zajął inne stanowisko. Wkrótce potem stał się przywódcą zrekonstruowanej partii socjalistycznej i redaktorem oficjalnego organu Le Populaire.

Tajemnica „siły" Leona Bluma leży w „strategii syntezy". Kiedy różne odłamy partii socjalistycznej zbierały się na kongresie, wymieniając gwałtowne słowa i reprezentując pozornie nie dające się pogodzić stanowiska, Leon Blum znajdował formułę syntetyczną, możliwą do przyjęcia dla ścierających się grup. Ta skłonność do kompromisu była najistotniejszym rysem charakteru Bluma. Było to jednocześnie jego słabością, gdyż po zakończeniu kongresu każdy z odłamów podtrzymywał nadal swój punkt widzenia. Synteza ocalała kongres, lecz nie przyczyniała się do usunięcia zasadniczych różnic, które bardzo często dzieliły partię socjalistyczną od podstaw do szczytu i czyniły ją niezdolną do działania. Lewicowe skrzydło partii sympatyzowało z komunistami, podczas gdy na czele prawicy stał Paul Faure, który w polityce zagranicznej podzielał punkt widzenia Lavala, Flandina i Bonneta.

Lecz ruch Frontu Ludowego zrodził się nie z chęci kompromisu, a z dynamicznej woli przemian. Leon Blum wezwany po to, by reprezentować owe uczucia, był nimi zaskoczony i nawet, jak wykazywały niektóre z jego przemówień, przerażony. Wolał debaty nad planem ułożonym w zacisznej atmosferze sali konferencyjnej niż burze wielkich masowych meetingów. Bardzo rzadko udawało mu się nawiązywać kon-

takt osobisty, organiczny z tymi, którym przewodził. Było zawsze nieco dystansu i nawet nieświadomej wyższości w jego postawie w stosunku do mas ludowych.

Sukces rządu Frontu Ludowego zależał od utrzymania ścisłych kontaktów nie tylko z siłami podtrzymującymi ów rząd w parlamencie, lecz także i przede wszystkim z wyborcami. Front Ludowy nie był zwykłą koalicją parlamentarną, podobną do tych, jakie istniały w przeszłości. Mógł on rozszerzać zakres swej działalności i bronić jej przed nieuniknionymi atakami pod tym tylko warunkiem, że będzie miał za sobą swych reprezentantów w parlamencie i swych wyborców poza parlamentem. Był to rzeczywiście „rząd ludowy mas". Od czasu kiedy odciął się od mas ludowych, stracił swoją naturalną siłę. Wówczas, tak jak rządy poprzednie, stał się zależny od kombinacji parlamentarnych i od stale grożących przesileń. Obowiązkiem Bluma było strzeżenie owych związków wzajemnego zaufania, gdyż tylko one mogły zapewnić powodzenie rządu i Frontu Ludowego.

Obowiązkowi temu uchybił on w sposób zdecydowany. Odciął się od większej części swych wyborców, jak zobaczymy, od samego początku wojny w Hiszpanii. Od tego czasu stało się dlań rzeczą niemożliwą uzgodnienie woli ludu i woli rządu. W rok po jego upadku wszystko, co Front Ludowy dał krajowi, zostało w praktyce przekreślone. Przyczyną tego jest przede wszystkim przepaść, jaką wykopał Leon Blum między rządem a swymi wyborcami.

Gabinet, który stworzył, złożony był z socjalistów i radykałów. Edouard Daladier został wicepremierem i ministrem wojny. Niespodzianką była nowa osoba na Quai d'Orsay. Ministrem spraw zagranicznych był człowiek nowy, Yvon Delbos. Delbos brał czynny udział w walce przeciwko fatalnej polityce zagranicznej Lavala. Dziennikarz z zawodu, miał za sobą pomyślną karierę w kilku wydawnictwach partii radykałów, później zaś w parlamencie. Specjalizował się w sprawach polityki zagranicznej i pełnił różne niewielkie

funkcje w kilku rządach. Za czasów Lavala zdobył sobie opinię gorącego obrońcy systemu zbiorowego bezpieczeństwa.

Nie narzucający się, chwiejny i powściągliwy, Yvon Delbos nie posiadał dostatecznej energii, potrzebnej do odbudowy polityki zagranicznej ze stanu ruiny, w której pozostawili ją Laval i Flandin. Zamiast wziąć odważnie sprawę w ręce i stać się inicjatorem nowej polityki zagranicznej Francji, Delbos okazał się słaby i uległ wpływom własnej partii, która zawiodła Lavala na manowce.

Pod naciskiem akcji strajkowej parlament przegłosował szereg reform, które zaproponował rząd Bluma. Został uchwalony czterdziestogodzinny tydzień pracy i płatne urlopy; weszła w życie umowa zbiorowa. Ogółem w ciągu dwóch i pół miesiąca, które trwała sesja ustawodawcza, przyjęto 65 ustaw. Wiek, w którym dzieci kończyły powszechne nauczanie, został podniesiony do lat czternastu. Uchwalono dekret o nacjonalizacji przemysłu zbrojeniowego. Zarząd Banku Francji został obalony. Przedstawicieli dwustu rodzin zastąpiono przez radę generalną, złożoną z dyrektora, dwóch wicedyrektorów i dwudziestu radców. Z nich dziewięciu zostało mianowanych przez rząd, sześciu wybranych z listy przedłożonej przez robotnicze związki zawodowe, organizacje chłopskie, izby handlowe, związki spółdzielcze i rzemieślnicze oraz organizacje handlowe; jeden radca miał być wyznaczony przez Narodową Radę Gospodarczą, dwóch wybierali urzędnicy banku i dwóch akcjonariusze. Senat wprowadził do tej ustawy kilka drobnych zmian bez znaczenia. Kiedy dekret został ogłoszony, cała prasa Frontu Ludowego uznała to jako wielkie zwycięstwo. Przewodniczący C. G. T. (Confédération Général du Travail), Leon Jouhaux, o wielkim brzuchu i spiczastej bródce, został wyznaczony do rady generalnej. Jeden z członków rady, który wchodził w jej skład również poprzednio, wyznał później: „Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Jouhaux wchodzącego do bankowej

sali konferencyjnej, byłem przerażony. Ale — dorzucił mrużąc oko — później wszystko poszło doskonale".

Inna ustawa nakazywała rozwiązanie półwojskowych organizacji. Na tej podstawie mer miasta Lille, socjalista starej daty, przeprowadził likwidację Krzyżów Ognistych i kilku innych grup półwojskowych. Lecz te środki zaradcze nie położyły kresu działalności faszystowskiej. Pułkownik de La Rocque przekształcił swą organizację na Francuską Partię Społeczną, która pod tą niewinną nazwą walczyła o te same cele co rozwiązana Liga Krzyżów Ognistych. Ustawa zmieniała tylko nazwę. To wszystko. Mimo żądań członków swej partii Leon Blum nie zlikwidował działalności nowego tworu La Rocque'a. Jego zwolennicy w dalszym ciągu paradowali po ulicach, poprzysięgając zemstę Frontowi Ludowemu.

Pierwsze porozumienie pomiędzy robotniczymi związkami zawodowymi i organizacją pracodawców zostało podpisane w biurze premiera Leona Bluma w Hotelu Matignon. Dało ono robotnikom i urzędnikom przeciętną podwyżkę płac o 12% i uznało regularnie wybierane komitety zakładowe. Jouhaux powitał ów „układ Matignon", jak go powszechnie nazywano, jako „początek nowej ery".

Ustawodawstwo socjalne rządu Frontu Ludowego przekształciło Francję z jednego z najbardziej zacofanych w jeden z najbardziej postępowych krajów Europy. Innowacją specjalnego rodzaju był Departament Sportów i Wczasów, który zorganizował wczasy pracownicze i dostarczył około półmilionowej masie pracowniczej zniżkowych biletów kolejowych. Robotnicy z fabryk i urzędnicy biurowi zwiedzali najpiękniejsze miejscowości uzdrowiskowe Francji na Cote d'Azur, na wybrzeżu kanału La Manche, w Pirenejach i w Bretanii. Większość z nich opuszczała swe miasta po raz pierwszy w życiu i po raz pierwszy mogła pozwolić sobie na płatne wakacje i obejrzenie najbardziej malowniczych zakątków kraju.

Te energiczne reformy socjalne wywołały niesłychany entuzjazm. Ale oświadczenie rządu w zakresie polityki za-

granicznej zdziwiło wielu jego zwolenników. Delbos wprowadzał ich w pewne zakłopotanie. Zwalczając Lavala Delbos wygłosił przemówienie na temat polityki rządu w sprawie Abisynii. Obecnie wychodził z założenia, że z chwilą ustania sankcji możliwe będzie montowanie wspólnie z Włochami czegoś w rodzaju nowego frontu Stresy. W swoim pierwszym przemówieniu ministerialnym Delbos oświadczył: „Francja byłaby szczęśliwa, gdyby się udało jak najściślej zespolić wysiłki Włoch z jej wysiłkami." Zwracając się do Niemiec dorzucił, że Francja nie miała zamiaru poddawać w wątpliwość słowa byłego kombatanta, który w ciągu czterech lat poznał niedolę życia w okopach. Człowiekiem, którego słowa Delbos nie mógł poddawać w wątpliwość, był Adolf Hitler.

Słowa te, wypowiedziane przez ministra spraw zagranicznych, reprezentanta Frontu Ludowego, który doszedł do władzy w walce z narodowym i międzynarodowym faszyzmem, były istotnie dość dziwne. Rzecznik rządu Leona Bluma usiłował wyjaśnić sytuację grupie dziennikarzy. Tłumaczył, że Blum jako socjalista musiał być podwójnie ostrożny w dziedzinie polityki zagranicznej i dlatego akceptował stanowisko Delbosa, umiarkowany i przyjazny ton jego exposé. Spodobało się ono Anglikom i zrobiło dobre wrażenie na Włochach, którzy nie lubią Niemców.

Podstawą polityki zagranicznej Bluma była przyjaźń francusko-brytyjska. Była ona osią jego dyplomacji. Uważał, że tylko najściślejsza współpraca dwóch zachodnich demokracji mogłaby choćby częściowo przywrócić utracony prestiż Lidze Narodów. Opierając się na współpracy francusko-angielskiej mógł traktować z kurtuazją sąsiednie państwa totalne i nie liczyć się absolutnie z Rosją Sowiecką. Jest rzeczą zupełnie pewną, że w okresie rządów Leona Bluma stosunki między Francją a Związkiem Radzieckim nie uległy widocznej poprawie. Nie było żadnej konferencji między sztabami generalnymi obu krajów, chociaż Rosjanie domagali się jej

kilkakrotnie. W ten sposób pakt francusko-sowiecki w dużym stopniu stracił na znaczeniu.

W dniu 14 lipca 1936 roku w całej Francji odbyły się masowe entuzjastyczne manifestacje. Rok przedtem trzej przywódcy Frontu Ludowego, Daladier, Blum i Thorez, maszerowali na czele manifestantów w charakterze szefów opozycji rządu Lavala. Obecnie dwóch z nich stało na czele pierwszego rządu Frontu Ludowego, trzeci zaś kierował partią, liczącą 72 posłów, która przyrzekła rządowi swe poparcie. Obchód 14 lipca zapowiadał się jak wielkie święto ludowego zwycięstwa. Liczbę manifestantów szacowano na pół miliona do 700 tys. osób Blum i Thorez maszerowali znów razem na czele pochodu. Daladier w przystępie złego humoru nie wziął udziału w uroczystości. Był to ostatni wspólny pochód ludowy, w którym wziął udział Leon Blum.

W uroczystości osobiście nie uczestniczyłem. W Hiszpanii z dnia na dzień oczekiwano rebelii wojskowej. Zostałem tam wysłany. W dniu wielkiej manifestacji w Paryżu byłem przyjęty przez premiera hiszpańskiego, Casarés Quiroga. Rozpytywałem go o krążące po Madrycie pogłoski, według których generałowie mieli lada dzień podnieść broń przeciwko rządowi republikańskiemu. Nie wziął on sprawy na serio: „Zapewniam pana — rzekł patrząc mi prosto w oczy — że armia jest lojalna. Jak długo respektowana jest konstytucja, nie ma powodu obawiać się armii. Proponuję panu serdecznie wycieczkę po Hiszpanii. Przekona się pan sam."

W cztery dni później generał Franco, wsparty przez hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy, wszczął rebelię. Wstrząsnął nie tylko Hiszpanią, lecz całą Europą, aż do jej podstaw. Jest stare przysłowie hiszpańskie, które mówi: „Kiedy Hiszpania powstaje, cały świat drży w posadach."

Tydzień przedtem zawarte zostało porozumienie między Niemcami i Austrią, na mocy którego hitlerowcy gwaranto-

wali Austrii niepodległość. Gwarancja ta nie wróżyła Austrii nic dobrego, wskazywała natomiast, jak dalece zacieśniła się zażyłość między Włochami a Niemcami. To jedno porozumienie powinno było wystarczyć do rozproszenia złudzeń co do powrotu Włoch do polityki Stresy, którym ulegali nawet najszczersi antyfaszyści w Paryżu. Nie brali pod uwagę, że jakiekolwiek byłyby osobiste uczucia Mussoliniego, wiązał go z Hitlerem wspólny los. Gdyby najpotężniejszy z dyktatorów, Hitler, został obalony lub poniósł poważniejszą klęskę, zagrożony byłby również reżim Mussoliniego. Nie ulegało wątpliwości, że wcześniej czy później Mussolini będzie walczył ręka w rękę z Hitlerem.

Na dzień przed wybuchem wojny w Hiszpanii nastąpił pucz hitlerowski w Gdańsku. 17 lipca partia hitlerowska stała się panem Wolnego Miasta. „Kto posiada Gdańsk — powiedział kiedyś Fryderyk Wielki — ma więcej do powiedzenia w Polsce niż sam król polski." Ale pułkownik Beck, tajemniczy minister spraw zagranicznych ówczesnej Polski, nie bardzo zdawał się tym przejęty.

Rebelia generała Franco postawiła rząd francuski w sytuacji trudnej i skomplikowanej. Jego polityka zagraniczna stanęła w obliczu pierwszej wielkiej próby. W ciągu dziesiątków lat granica francusko-hiszpańska była uważana za pewną. Wyspy Balearskie strzegły linii komunikacyjnych pomiędzy metropolią a obszarami północnej Afryki. Interesy narodowe Francji wymagały bezwzględnie, by żadna z obcych potęg nie miała wpływu na rząd w Madrycie. Zmagający się z kontrrewolucją rząd republikański miał za sobą poparcie hiszpańskiego Frontu Ludowego, który odniósł walne zwycięstwo w wyborach w lutym 1936 r. Stosunki kontrrewolucyjnych generałów hiszpańskich z narodowymi socjalistami w Niemczech i faszystami włoskimi były od dawna tajemnicą poliszynela. Quai d'Orsay było w posiadaniu informacji stwierdzających, że generał Sanjurjo, któremu przedwczesna śmierć w katastrofie samolotowej przeszkodziła stanąć na czele rebelii, był zimą i wiosną 1936 roku w Berlinie. Zakupił

tam broń i otrzymał instrukcje. Względy strategiczne i wierność dla demokracji nakazywały Francji okazanie pomocy rządowi republikańskiemu, konstytucyjnie wybranemu i będącemu ofiarą agresji faszystowskiej. Pierwsze strzały w Hiszpanii ozwały się we Francji przeciągłym echem. Opinia publiczna była zelektryzowana. Zwolennicy Frontu Ludowego stanęli natychmiast po stronie republikanów, a prawica po stronie gen. Franco. Dzienniki reakcyjne Le Jour i Gringoire zamieściły budzące grozę ilustracje, mające stanowić dowody rzekomych okrucieństw, popełnionych przez republikanów. Przedstawiano Franco jako rycerza w lśniącej zbroi, wspaniałego zbawcę cywilizacji zagrożonej przez bezbożną i łaknącą krwi tłuszczę. Dla przedstawicieli francuskiej prawicy nie miało większego znaczenia, że podczas pierwszej wojny światowej hiszpańscy generałowie, dostojnicy kościoła i przedstawiciele wielkiego przemysłu pomagali Niemcom i Austro-Węgrom, podczas gdy hiszpańska lewica stała za Francją i nawet za nią walczyła. W owym czasie król Alfons XIII, ostatni przedstawiciel zdegenerowanej dynastii burbońskiej, oświadczył: „Tylko ja i hołota jest za Francją." Ale dla pism takich jak Le Jour i Gringoire „hołota" była wciąż „hołotą", nawet jeżeli była po stronie Francji.

Pierwszym posunięciem Bluma był wyjazd do Londynu. Prowadzone tam rozmowy trwały dwa dni. Następnie Blum i Delbos zdecydowali iść we wszystkim za Anglią. Brak informacji na temat tych rozmów. Mówi się, że Anglicy uprzedzili Francuzów o konieczności zachowania ścisłej neutralności w sprawie hiszpańskiej. Każda inna postawa byłaby przyjęta przez nich jak najbardziej nieprzychylnie. W kołach londyńskich konserwatystów uważano gen. Franco za „człowieka, którego zwycięstwo było w najwyższym stopniu pożądane". Rozmawiając z kilkoma deputowanymi francuskimi Anthony Eden, ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych, wyraził swoje zadowolenie wobec trzeźwego stanowiska, zajętego przez francuską Radę Ministrów. Zdawało się, że komunikat ogłoszony po zakończeniu rozmów —

jak powiedział jeden z deputowanych — „był zredagowany na innej planecie". Mówił on luźno o projekcie nowej konferencji Locarno, stwierdzając, „że jeśli na owej konferencji w Locarno udałoby się uzyskać jakieś porozumienie, można by poddać pod dyskusję inne sprawy, dotyczące pokoju w Europie".

Czyżby era deklaracji nie liczących się z rzeczywistością i era „świstków papieru" miała się odrodzić? Czyżby rząd Frontu Ludowego miał rzucić swój prestiż na szalę w nowej grze, podobnej do gry, jaką prowadził rząd Lavala?

Zdawało się, że tak jest istotnie. Kroki przedsięwzięte przez ministrów francuskich po powrocie z Londynu wykazywały jasno, że obrano ów właśnie kierunek.

Podczas gdy Yvon Delbos zużywał całą swą energię na uzyskanie od rządów niemieckiego i włoskiego zapewnienia, że powstrzymają się od wszelkiej interwencji w wojnie hiszpańskiej, pięć samolotów wojennych znajdujących się w drodze do gen. Franco wylądowało przymusowo na terytorium francuskim w północnej Afryce. Jeden samolot niemiecki wylądował przez pomyłkę na lotnisku w Madrycie w przekonaniu, że była to baza Franco i został wzięty do niewoli przez republikanów. Wówczas prawicowa prasa francuska zaczęła oskarżać rząd, iż wysłał podstępnie broń i samoloty legalnemu rządowi hiszpańskiemu. Młody minister lotnictwa, Pierre Cot, stał się celem tych ataków: „Cot morderca! Cot prowokator wojenny! Cot — to wojna!" czytano w nagłówkach dzienników. Jedyną odpowiedzią, na jaką zdobył się gabinet Bluma, było zwykłe zapewnienie, że władzom w Madrycie żadnych transportów broni nie dostarczano.

Armia republikańska, mimo znacznej przewagi liczebnej, musiała się cofać przed kolumnami faszystowskimi z powodu braku uzbrojenia, amunicji i należycie wyszkolonych kadr. Z Hiszpanii zaczęły dochodzić pierwsze wiadomości o tym, co się działo w miejscowościach zajętych przez oddziały Franco. Dowiedziano się o masakrze w Badajoz, gdzie frankiści zamordowali 200 osób ludności cywilnej. Podniosła się fala

oburzenia. Zdawało się, że Paryż przez wszystkie megafony nawołuje, krzyczy: „Broni, samolotów dla Hiszpanii."

Ale wołanie to było daremne: tylko obóz generała Franco otrzymywał broń i samoloty z Niemiec i z Włoch. Republika Hiszpańska została porzucona przez demokrację i pozostawiona swemu własnemu losowi. Według opinii ekspertów wystarczyło 50 samolotów, żeby unicestwić plan Franco. Liczył on, iż uda mu się zaskoczyć przeciwnika i uzyskać łatwe zwycięstwo, a nie osiągnąwszy go, był w bardzo krytycznym położeniu.

Na próżno rząd hiszpański domagał się wykonania zamówień na broń i samoloty, datowanych jeszcze sprzed wybuchu wojny domowej. Rząd Bluma odmówił.

8 sierpnia zakazał oficjalnie eksportu broni i samolotów do Hiszpanii. W wydanym komunikacie wyjaśnił, że nawiązał kontakt z innymi rządami w celu zawarcia układu w tym samym duchu; dodawał, że odpowiedzi pozwalały spodziewać się, iż wkrótce będą zawarte porozumienia z Niemcami i z Włochami, zakazujące wysłania broni obu stronom walczącej Hiszpanii. Takie były narodziny polityki nieinterwencji.

8 sierpnia, wkrótce po sesji Rady Ministrów, poszedłem do jednego z ministrów socjalistycznych. Rząd powziął decyzję. Minister był przerażony: „To już koniec — jęczał — niech pan dobrze zapamięta sobie datę. Oznacza ona w gruncie rzeczy upadek rządu Bluma. Ach, wiem, że nominalnie pozostaje on przy władzy. Ale rząd Bluma taki, jakim był, jakim go pan znał, już nie istnieje. Od dzisiaj jest to już inny rząd. Kiedy doszliśmy do władzy, we Francji rozpoczynała się nowa era. Dzisiaj era ta jest już bezpowrotnie skończona. Wracamy do przeszłości!" Wyznanie to wydało mi się wówczas mocno przesadzone, ale wypadki, które nastąpiły, dowiodły, że ów człowiek miał rację. Oto streszczenie jego relacji z przebiegu sesji Rady Ministrów, relacji potwierdzonej później przez kilka innych źródeł:

Yvon Delbos przedstawił ministrom plan nieinterwencji. Przewidywał, że Niemcy, Włochy, Francja i W. Brytania złożą

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit.

gwarancję, iż nie będą brały udziału w wojnie domowej w Hiszpanii i wprowadzą zakaz eksportu broni wszelkiego rodzaju zarówno jednej jak i drugiej walczącej stronie. Oświadczył, iż rządy włoski i niemiecki zadeklarowały swą gotowość zaakceptowania tego planu.

Rozpętała się burza. Większość ministrów była przeciwko planowi. Blum jako szef rządu zmuszony był położyć na szalę swój autorytet. Podał do wiadomości ministrów oświadczenie ambasadora brytyjskiego, sir George Clarka, że „rząd Wielkiej Brytanii nie będzie mógł pomóc Francji, jeżeli w konsekwencji stanowiska zajętego w konflikcie hiszpańskim zostanie ona wciągnięta w wojnę".

Hipokryta Camille Chautemps, wicepremier z ramienia partii radykalnej, podtrzymał Bluma, Delbos zagroził dymisją, jeśli propozycja nie zostanie przyjęta. Poparło go dwu ministrów socjalistycznych: zimny i ironiczny Paul Faure i Charles Spinasse, który piastował tekę ministra gospodarki narodowej. Twierdzili oni, że każde inne stanowisko wciągnie Francję w wojnę.

Pierre Cot, minister lotnictwa z partii radykalnej, był rzecznikiem grupy ministrów domagających się niesienia pomocy rządowi republiki hiszpańskiej. Podnosił on niebezpieczne skutki podboju Hiszpanii przez człowieka, którego popierali Hitler i Mussolini.

Posiedzenie było trzykrotnie przerywane. Prezydent Lebrun, który był zwolennikiem planu Delbosa, interweniował jako rozjemca i w końcu przekonał Cota i jego przyjaciół, iż winni ustąpić przed „rzeczywistością". W ciągu całej tej walki Daladier ani razu nie otworzył ust.

Zajmując tę pozycję rząd francuski doskonale zdawał sobie sprawę, że interwencja niemiecka i włoska rozwinęła się w całej pełni. Nie można było mieć wątpliwości co do planów Hitlera i Mussoliniego. Były one powszechnie znane. Były one przedmiotem rozważań wielu artykułów i książek w Niemczech i we Włoszech, gdzie wszystkie publikacje podlegały najściślejszej kontroli cenzury. Roztrząsały one znaczenie strategiczne Bale-

arów, hiszpańskiej części Morza Śródziemnego i hiszpańskich portów nad Atlantykiem. Zwłaszcza niemieckie czasopisma wojskowe w ciągu sześciu ostatnich miesięcy analizowały starannie zagadnienie hiszpańskie. A jeśli chodzi o Leona Bluma, to czyż nie oświadczył on w licznych swych przemówieniach, że do słów rzucanych przez dyktatorów nie można mieć najmniejszego zaufania, czyż nie przyrzekł on sam i jego rząd, iż położy kres agresji, bezpośredniej i pośredniej. Wkraczając na fatalną drogę nieinterwencji Blum nie mógł twierdzić, że nie wiedział, jakie były plany dyktatorów.

Nieco później, w dyskusji z jednym z ministrów hiszpańskich, Leon Blum wyjaśnił, dlaczego nie mógł prowadzić innej polityki. Podał dwa powody: po pierwsze — nieustępliwe stanowisko Anglików, po drugie — głęboką przepaść, jaką hiszpańska wojna domowa stworzyła we Francji. Na lewicy Front Ludowy stał zdecydowanie po stronie republikanów; na prawicy — dwieście rodzin, grupy faszystowskie, modne salony paryskie, część armii broniły zażarcie sprawy Franco.

Prawdą jest, że wojna hiszpańska stworzyła we Francji przepaść nie do przebycia. Ale inwazja Mussoliniego na Abisynię stworzyła ją również. Taki sam skutek wywołał terror hitlerowski w Niemczech oraz zajęcie Nadrenii przez oddziały niemieckie. Przepaść, która dzieliła prawicę od lewicy, nie mogła być wyrównana przy pomocy forteli i kompromisów.

Lewica nie była nigdy równie zwarta, a prawica równie zbita z tropu, jak w pierwszych tygodniach rządów Frontu Ludowego. W początkowym okresie wojny w Hiszpanii Bluma popierały silne, zwarte masy ludowe. Lud witał z radością reformy socjalne, domagał się ostrej polityki w stosunku do agresorów i był zdecydowany jej bronić. Było rzeczą niemożliwą znalezienie koncepcji politycznej, która by zadowoliła zarówno lewicę jak i prawicę. Taka polityka nie istniała. Ale można było pójść drogą, która odpowiadała uczuciom Frontu Ludowego i interesom Francji. W ten sposób Blum pomógłby jednocześnie zaprzyjaźnionemu rządowi i sojusznikowi Francji. Nie było żadnych szans pojednania lewicy i prawicy.

Istniało tylko złowróżbne ryzyko rozbicia Frontu Ludowego przez politykę nieinterwencji, ryzyko wywołania zamieszania w szeregach mas ludowych i skłócenia ich. Zjednoczony Front Ludowy mógł trwać lata. Rozbity, padał ofiarą matactw prawicy. Reakcja czuwała nie spuszczając zeń ani na chwilę oka w oczekiwaniu pierwszych oznak słabości.

Usiłując realizować jedność narodową w sprawie hiszpańskiej Blum uganiał się za majakami. Zapominał o tym, co było trwałe i realne we Froncie Ludowym. Ścigał cienie i nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistości. Zjednoczenie ludu francuskiego, które stanowiło oparcie dla jego rządu, scementowane było przez wspólne nadzieje i wspólne ideały. Ktokolwiek chciał zaatakować Francję, musiał zacząć od rozbicia tego bloku. Wszelkie usiłowania agentów hitlerowskiej piątej kolumny, aby złamać postawę moralną kraju lub osłabić, jeśli chodziło o lud francuski, spalały na panewce. Wręcz odwrotnie — niebezpieczeństwo hitlerowskie było jednym z czynników, które cementowały Front Ludowy. Tylko to, co czynili, lub to, czego nie czynili jego przywódcy, mogło osłabić jego postawę moralną. Nieinterwencja była sprzeczna z zasadniczymi interesami strategicznymi Republiki Francuskiej. Ale bardziej destrukcyjne były skutki, jakie wywołała rozbijając jedność ludu francuskiego, jedyny czynnik, zdolny do powstrzymania agresywnych planów faszyzmu.

Porozumienie w sprawie nieinterwencji tłumaczono i usprawiedliwiano — jak to później uczyniono w Monachium — troską o zachowanie pokoju. Przy podpisywaniu tego porozumienia, podobnie jak później w Monachium, przypisano dyktatorom z Berlina i Rzymu intencje pokojowe i błogi zamiar przestrzegania umów. Bez tego porozumienia w sprawie nieinterwencji, które w rzeczywistości sankcjonowało interwencję w Hiszpanii, nie nastąpiłby triumf Hitlera w Czechosłowacji. Droga z Hiszpanii prowadzi prosto do Monachium.

Decyzja gabinetu Bluma została przywitana przez dzienniki i polityków reakcyjnych okrzykami radości. Jeszcze bardziej ucieszyły ich informacje zebrane na temat zakulisowych

dyskusji, jakie odbyły się w Radzie Ministrów. Przywódcy prawicy wiedzieli, że w partii socjalistycznej, największej wówczas partii francuskiej, następował podział, podobnie jak w partii radykalnej za każdym razem, kiedy brała ona ster rządu w ręce. Prawica zdawała sobie sprawę, że „realizm praktyki rządowej" oddziaływał już na gabinet Bluma. Od tej chwili stała się śmielsza w zwalczaniu go. Potrafiła wbić klin w kierownictwo Frontu Ludowego.

Po jakimś czasie w masach ludowych również nastąpił podział. W sierpniu 1936 r. znaczna większość socjalistów i spora część radykałów brała udział w prowadzonej przez komunistów kampanii o okazanie pomocy Hiszpanii republikańskiej. Decyzja rządu była gwałtownym ciosem dla ludu. Czuł on instynktownie, że walka, która odgrywała się po drugiej stronie Pirenejów, była walką przeciwko wspólnemu wrogowi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Francję, pierwszą potęgę militarną kontynentu, miałyby onieśmielić groźby dyktatorów. W ciągu ostatnich dwóch lat czytał w swych dziennikach, że opór wobec żądań Hitlera i Mussoliniego był jedynym środkiem uchronienia Francji przed faszyzmem. Neutralność w stosunku do republiki hiszpańskiej wydawała mu się rzeczą jak najbardziej nielojalną i niewiarogodnie fałszywą. Wielu socjalistów myślało przez długi czas, że porozumienie w sprawie nieinterwencji było ze strony Bluma sprytnym fortelem. Że miało ono przeszkodzić Niemcom i Włochom w wysyłaniu broni dla Franco, a w tym samym czasie umożliwić szybkie i hojne dostarczenie republikanom wszelkiego uzbrojenia, potrzebnego do rozgromienia rebelii.

Rząd długo zasłaniał się wiarą lub w każdym razie udawał, iż wierzy, że Niemcy i Włosi dotrzymają warunków porozumienia.

Delegacji hiszpańskich republikanów, która przyszła prosić o pomoc, Blum odpowiedział, iż hitlerowcy przestali dostarczać broni Franco (zostało to stwierdzone na podstawie poważnych danych), po czym wybuchnął płaczem i pani Blum,

wzburzona, przerwała rozmowę mówiąc: „Nie macie, panowie, prawa denerwować w ten sposób mego męża!"

Komisji wyłonionej przez federację metalowców Blum oznajmił: „Za kogo mnie, panowie, macie. Moje wysiłki, oby osiągnąć neutralność i nieinterwencję w Hiszpanii, przynoszą owoce. Czy myślicie, że zmienię swą politykę?"

We wrześniu na meetingu, zorganizowanym przez partię socjalistyczną w paryskim Luna Parku, Blum wypowiedział publicznie to, co wyznał już prywatnie różnym delegacjom. Wypadki w Hiszpanii wywołały wśród socjalistów niepokój. Blum stwierdził publicznie na wielkim zgromadzeniu, że nie było najmniejszego dowodu, najmniejszego świadectwa, które by wskazywało, że porozumienie w sprawie nieinterwencji zostało od chwili podpisania pogwałcone.

Słowa te zostały wypowiedziane 16 września 1936 roku. W tym samym momencie grupa posłów angielskich bawiąca w Hiszpanii zebrała rzeczowe dowody (niewypały pocisków pochodzenia niemieckiego i włoskiego), że interwencja Rzymu i Berlina trwała nadal. Francuski oddział drugi był w posiadaniu listy ładunków broni dla Franco, wysyłanych na statkach niemieckich i włoskich między 1 a 12 września. Ale słowa prezesa Rady Ministrów musiały oddziałać na pewną część jego słuchaczy. Skoro Blum gwarantował, że w stosunku do sprawy Republiki Hiszpańskiej nie popełniono żadnej niesprawiedliwości, byli gotowi w to wierzyć. Wielu z nich zareagowało żywo również na inny ustęp z przemówienia Bluma, w którym mówił o niebezpieczeństwie wojny. Mówił, że wzrosłoby ono poważnie w wypadku udzielania przez Francję pomocy rządowi republikańskiemu. Z niezwykłym talentem i wielką zręcznością odmalował grozę wojny odwołując się do głęboko zakorzenionych w masach francuskich uczuć pacyfistycznych.

Nie był w tym wypadku bynajmniej oryginalny. Laval przed nim czynił to samo. Prasa Lavala krzyczała: — Sankcje — to wojna! Wówczas Blum twierdził stanowczo, że tylko opór przeciwko agresji i bezpieczeństwo zbiorowe oznaczały

pokój. Obecnie posługiwał się argumentami Lavala. Prawdą jest, że w ten sposób udało mu się przeciągnąć pewną liczbę swych słuchaczy do obozu nieinterwencji. W tym sensie odnosił zwycięstwo. Ale od tego czasu rozłam Frontu Ludowego pozbawiał go pierwotnej siły. Podczas gdy prawica, pominąwszy parę zaszczytnych wyjątków, była jednolita w opinii na temat sprawy hiszpańskiej, lewica była podzielona. Komuniści, związki zawodowe oraz część socjalistów i radykałów była za udzieleniem pomocy Republice Hiszpańskiej; reszta socjalistów i radykałów przeciwstawiała się jej. I im dalej, tym bardziej pogłębiała się ta przepaść, aż wreszcie udało się reakcji ową rozbieżność opinii przekształcić w całkowity rozłam. Polityka nieinterwencji oznaczała początek końca Frontu Ludowego.

Rumuńskie propozycje ścisłej współpracy między Francją, Związkiem Radzieckim i Rumunią zostały odrzucone przez rząd francuski.

Sugestii rządu tureckiego, zaniepokojonego podbojem Abisynii przez Włochy, nie uwzględniono również. Turcy pragnęli wziąć udział w pakcie francusko-sowieckim w tej lub innej postaci. Odrzucone zostały również propozycje rządu sowieckiego, wcześniejsze niż zawarcie paktu o nieinterwencji. Rosjanie chcieli omówić formy pomocy dla Republiki Hiszpańskiej i gotowi byli przyłączyć się do wszelkich kroków, przedsięwziętych w wypadku, gdyby pomoc dla Hiszpanii wywołała konflikt ogólny.

W Belgii skutkiem polityki nieinterwencji było oświadczenie rządu, iż pragnie on rozwiązania sojuszu francusko-belgijskiego. Jesienią roku 1936 Leopold III, niespokojny król Belgów, wycofał się z paktu locarneńskiego, który zobowiązywał Belgię do okazania pomocy Francji w wypadku agresji. Ogłosił, że rząd jego zamierza utrzymać stan „neutralności absolutnej". Od szeregu miesięcy krążyły wiadomości, iż narodowi socjaliści uzyskiwali wpływ na dworze królewskim oraz wśród wpływowych polityków belgijskich. Neutralność

Belgii była jednostronnie zagwarantowana przez Francję i Anglię. Hitler dał również królowi Belgów swoją gwarancję, co według słów jednego z francuskich deputowanych w komisji spraw zagranicznych „było równoznaczne z gwarancją śmierci".

W atmosferze ogólnego podniecenia, jakie wywołała we Francji wojna hiszpańska, Paryż gościł po raz pierwszy, od czasów Drugiego Cesarstwa, ministra Rzeszy Niemieckiej. Hitlerowski prestydygitator w dziedzinie gospodarki, dr Schacht, został przyjęty przez Leona Bluma w tym samym dniu, w którym führer przedłużył dwukrotnie czas trwania służby wojskowej w Niemczech, co, jak śpieszył wyjaśnić sztywny i rozważny minister niemiecki, „nie było skierowane przeciw Francji, lecz przeciwko niebezpieczeństwu bolszewizmu". Blum opowiadał później, że pierwsze jego słowa pod adresem Schachta brzmiały: „Pan wie, że jestem Żydem i że jestem przeciwny powziętym przez Niemców zarządzeniom antysemickim. Teraz możemy mówić o naszych sprawach." To wyznanie jest interesujące, gdyż oświetla w sposób charakterystyczny stosunek Bluma do faszyzmu. Myślał on zapewne, że to wyznanie uczynione w cztery oczy oczyści atmosferę, przyczyni się do szczerych wyjaśnień wzajemnych, jak gdyby dr Schacht przybył naglony potrzebą szczerych wyznań.

W ślad za drem Schachtem przybył do Paryża następca Piłsudskiego, marszałek Rydz-Śmigły, malarz, który został żołnierzem. Rewizytował on generała Gamelin, który odwiedził Polskę, aby się przekonać o stanie przygotowań wojennych. Po swym powrocie Gamelin zwierzył się swym kolegom, że doznał głębokiego rozczarowania i przeraził się stanem armii polskiej i, jak się wyraził, „obłędnymi koncepcjami strategicznymi polskiego sztabu generalnego". Nie przeszkodziło to jednak marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu otrzymać od Francji pożyczki — dla uzupełnienia zbrojeń — w wysokości blisko 2 miliardów franków.

Jesienią 1936 roku francuskie partie prawicowe rozpoczęły kontrofensywę na całym froncie. Senat przegłosował ustawodawstwo socjalne rządu Bluma ze źle ukrywaną niechęcią. Obecnie atmosfera była jeszcze bardziej przykra. Rozłam we Froncie Ludowym pozwolił wielkiej finansjerze na zaatakowanie franka. Ucieczka kapitałów przybierała coraz większe rozmiary. Sytuacja finansowa gabinetu stała się niepewna; gabinet postanowił uciec się do dewaluacji.

Po dramatycznej nocy, w ciągu której minister skarbu nie odchodził od telefonu prowadząc długie rozmowy z Waszyngtonem i Londynem, została ogłoszona dewaluacja. Szła ona w parze z tym, co nazywano trójstronnym porozumieniem monetarnym pomiędzy Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Francją dla obrony wartości ich pieniądza i cen na rynku światowym.

W związku z dewaluacją rząd projektował wydanie ustawy, która wprowadzała ruchomą tabelę płac. Trzeba było się jej wyrzec, aby uzyskać większość w senacie. Była to pierwsza wielka porażka ustawodawcza rządu na korzyść reakcji w parlamencie. Świadczyło to o silnym osłabieniu pozycji rządu. Przyczyniło się zwłaszcza do pogłębienia rozłamu we Froncie Ludowym, gdyż komuniści i większa część przedstawicieli robotniczych związków zawodowych była przeciwna dewaluacji. Doroczny kongres radykałów wykazał,że duża część tej partii występowała zdecydowanie przeciwko Frontowi Ludowemu. Najhałaśliwszą grupą kierowali dwaj przyjaciele Bonneta: Emil Roche i Pierre Dominique, redaktorzy dziennika La République. W pięknym mieście Biarritz, o kilka kilometrów od granicy hiszpańskiej, znaczna część delegatów zażądała zerwania z komunistami w związku z ich postawą wobec wydarzeń w Hiszpanii. Omal nie doszło do rozłamu. Prasa prawicowa triumfowała.

Z Biarritz do granicy hiszpańskiej prowadzi podmiejska linia kolejowa. Most oddziela miasteczko Hendaye we Francji od miasteczka Irunu w Hiszpanii. Kiedy w Biarritz zebrał

się kongres radykałów, Irunem zawładnął generał Franco. Siły Franco weszły do miasta we wrześniu. Republikanie, walcząc i cofając się, przeszli przez most graniczny po wystrzeleniu resztek swej amunicji. Gdy weszli do Hendaye, zobaczyli na dworcu sześć wagonów, pełnych hiszpańskiej amunicji.

Zostały one wysłane z Katalonii dla obrońców Irunu przez terytorium francuskie. Rząd francuski zatrzymał ów transport w odległości jednego wystrzału od oblężonego, męczeńskiego miasta.

Batalia prasowa w sprawie hiszpańskiej została przerwana na przeciąg kilku dni samobójstwem ministra spraw wewnętrznych, Rogera Salengro.

Nazwisko Salengro związane było z dekretem o likwidacji organizacji faszystowskich. Była to „zbrodnia" trudna do wybaczenia; należało ją pomścić. Faszystowski tygodnik Gringoire rozpoczął wielką oszczerczą kampanię przeciw socjalistycznemu ministrowi spraw wewnętrznych. Oskarżył Salengro o dezercję podczas wojny światowej. Dziennik twierdził, że ma dowody owej dezercji, dowody w postaci zeznań sześciu żołnierzy, którzy odbywali razem z nim służbę. Oskarżył go o zbrodnię jeszcze ohydniejszą: o wydanie tajemnic wojskowych dowództwu niemieckiemu. Oświadczył, że dowody na to znajdowały się w rękach rządu hitlerowskiego.

Ta oszczercza kampania prowadzona była z niewiarogodną złośliwością i nie tylko przez Gringoire, ale także przez kilka innych szmat reakcyjnych. Sprawa dostała się na trybunę Izby Deputowanych. Salengro został zrehabilitowany przytłaczającą większością głosów. Do obrońców Salengro przyłączył się generał Gamelin, dając słowo, że minister spraw wewnętrznych nie był dezerterem. Spotkałem Salengro wkrótce po owej sesji parlamentarnej. Gratulowałem mu, lecz on nie przyjął moich gratulacji.

„Jestem skończony — szepnął — nie da się uciszyć tych bezecnych kanalii. Trzeba im dać naukę." — Jaką naukę? — zapytałem. „Właśnie o temacie myślę."

W dwa dni potem Salengro popełnił samobójstwo.

Śmierć Rogera Salengro wpłynęła deprymująco na społeczeństwo. Widziało ono, że minister, członek rządu, który znalazł się u władzy na skutek walnego zwycięstwa ludowego, nie mógł się obronić przed reakcjonistami, których uważano za rzekomo pokonanych. Został zmuszony do samobójstwa, ponieważ nie umiał znaleźć innego sposobu powstrzymania bezecnej kampanii szmatławca faszystowskiego, subsydiowanego przez Włochów. Szmatławiec więc był potężniejszy od jednego z najwybitniejszych ministrów lewicy. Opinia publiczna była tym faktem głęboko wstrząśnięta.

Została uchwalona ustawa ukrócająca zniesławienia, ale zniesławienia bynajmniej nie ustały. Gringoire prowadził nadal swoje kampanie. Nie było wybitniejszego antyfaszysty, który by przy tej lub innej okazji nie musiał znosić nieprawdopodobnych obelg i ataków Gringoire. Korzystający z materiałów archiwalnych byłego prefekta policji Chiappe'a, teścia właściciela oszczerczej gazety, finansowanej przez włoski faszyzm, szmatławiec odznaczał się niewyczerpaną złośliwością. Nie było we Francji pisma równie podłego, które by tyle zła przyczyniło francuskiej demokracji.

Stanowisko ministra spraw wewnętrznych po Salengro objął Max Dormoy, najwierniejszy współpracownik Bluma.

Podczas gdy Liga Narodów zastanawiała się nad apelem o pomoc, jaki na jej ręce wniósł rząd hiszpański, utworzona została oś Berlin—Rzym.

Dnia 19 października hr. Ciano, włoski minister spraw zagranicznych i zięć Mussoliniego, pojechał do Berlina. Towarzyszyła mu żona, Edda, ulubiona córka Mussoliniego. O ile można było się zorientować, zawarte przy tej okazji porozumienie obejmowało: wspólną politykę w Hiszpanii, ustalenie jednolitego stanowiska wobec Ligi Narodów i wspólną akcję

na Bałkanach, niweczącą definitywnie pozycję Francji i Anglii w tej części Europy. Inne punkty porozumienia obejmowały koordynację propagandy zagranicznej Niemiec i Włoch oraz wymianę informacji dyplomatycznych na temat Związku Radzieckiego i mocarstw zachodnich. Ciano i Hitler dążyli do izolacji Francji, już otoczonej przez Niemcy i Włochy, do których dołączyłaby się, zgodnie z nadziejami Rzymu i Berlina, Hiszpania generała Franco. Gdyby takie okrążenie zostało zrealizowane. Francja mogłaby tylko albo przyłączyć się do krajów faszystowskich, albo przestać istnieć.

Tajny raport, który wkrótce potem otrzymał Quai d'Orsay, zawierał nie tylko wiadomość o owym porozumieniu, lecz także najrozmaitsze szczegóły, dotyczące interesu ubitego przez hr. Ciano i marszałka Goeringa. Według raportu hr. Ciano, który był bardzo zadłużony, otrzymał prezent w postaci kilku milionów marek. Wiadomość ta nie została potwierdzona w owym czasie z innych źródeł. W dwa lata później powtórzył ją pewien dziennikarz katolicki po wizycie w Watykanie. I znów nie znalazła ona potwierdzenia. W każdym razie w prasie francuskiej pojawiła się ona dopiero po przystąpieniu Włoch do wojny. Gdyby została potwierdzona, rzucałaby szczególne światło na działalność zięcia Mussoliniego.

Wkrótce po powrocie Ciano do Rzymu Mussolini wygłosił w Mediolanie mowę, w której po raz pierwszy użył nazwy „oś Berlin—Rzym". Rozgłaszając wiadomość o tym wydarzeniu propaganda włoska nadała mu wielkie znaczenie. Wagę tego faktu podkreślała obecność wielu wybitnych osobistości reżimu narodowo-socjalistycznego, w mundurach, na trybunie zarezerwowanej dla znakomitych gości. Mussolini zwracał się do Niemiec hitlerowskich jako „wielkiego narodu, który pozyskał sobie w ostatnim czasie głęboką sympatię ludu włoskiego". Stwierdził, że porozumienie berlińskie dotyczyło szczególnych zagadnień, z których kilka miało znaczenie rozstrzygające. Czy nie myślał przypadkiem o Hiszpanii? Czy może także o Austrii? Wygląda na to, że w chwili zawierania

tego porozumienia Mussolini zmienił już swe stanowisko w stosunku do Austrii. Obracał wzrok wyłącznie w stronę Morza Śródziemnego, marząc o podbojach w Afryce i na Bałkanach oraz o umocnieniu swojej sytuacji w Hiszpanii. Obecnie, jeśli spojrzeć wstecz, wydaje się, że dwa mocarstwa osi już wówczas rozgraniczyły wyraźnie strefy swoich interesów, jeżeli nie w samym pakcie, to przynajmniej w jakimś „gentlemen's agreement"[1], o ile można w stosunku do nich użyć tego rodzaju wyrażenia.

W kilka dni później Hitler rzucił przynętę, którą prawica francuska żarłocznie połknęła. Podpisał w Berlinie pakt antykominternowski z Japonią, skierowany, jak mówił, przeciwko działalności komunistycznej Trzeciej Międzynarodówki. Na kongresie narodowo-socjalistycznym w Norymberdze w roku 1936 Hitler oświadczył, że nie usiadłby nigdy przy jednym stole z komunistami. Prawica francuska nie posiadała się z radości: była to nowa oznaka, że Niemcy hitlerowskie skończą wkrótce swe porachunki z Rosją Sowiecką. Reakcyjne dzienniki francuskie, od ostrożnego Le Temps aż do jadowitego Gringoire, powitały pakt antykominternowski jako potężny czynnik francuskiego bezpieczeństwa. Gdy tylko bolszewizm — tak nazywały one hiszpański Front Ludowy — zostanie pokonany w Hiszpanii, führer zwróci się przeciw Rosji Sowieckiej.

„Pakt antykominternowski — mówił jeden z dzienników — powinien się stać dla Francji wskazówką, aby skończyła z czerwonym niebezpieczeństwem."

Pierwsze posiedzenie nowoutworzonego komitetu nieinterwencji odbyło się w Londynie pod przewodnictwem lorda Plymouth. Komitet nie usiłował przeszkodzić temu, by transporty broni i ludzi z Niemiec i Włoch docierały do gen. Franco. Jednocześnie, nie dostrzegając żadnych dowodów interwencji włoskiej i niemieckiej, komitet chciwie węszył i poszukiwał faktów świadczących o pomocy rosyjskiej dla

[1] Porozumienie dżentelmeńskie.

republikanów. W październiku ambasador ZSRR w Londynie, Majski, oświadczył, że rząd jego nie będzie się czuł związany paktem nieinterwencji bardziej niż inne mocarstwa.

Sprawa hiszpańska zaciążyła nad całą działalnością rządu Bluma. Franco maszerował na Madryt; źle uzbrojeni żołnierze republikańscy bili się, ale byli stale w odwrocie. Prawica francuska oczekiwała z ufnością chwili, w której wojna hiszpańska zakończy się wreszcie upadkiem Madrytu. Zwycięstwo gen. Franco! Cóż za cios dla Frontu Ludowego we Francji! 7 listopada 1936 roku większość reakcyjnych dzienników paryskich umieściła entuzjastyczne opisy triumfalnego wkroczenia gen. Franco do Madrytu. Francję zalała fala literatury frankistowskiej, której większa część pochodziła z „biura antykominternowskiego", założonego kilka lat przedtem przez narodowych socjalistów w Genewie. Hitler i Mussolini uznali rząd w Burgos za jedyny prawowity rząd hiszpański, licząc że przyśpieszą w ten sposób zwycięstwo, które uważali za pewne. Ale zwycięstwo to nie było bynajmniej tak bliskie. Pełne entuzjazmu sprawozdania o zdobyciu Madrytu były zwykłym bluffem. Napór oddziałów Franco został wstrzymany u bram miasta przez kilka tysięcy żołnierzy hiszpańskich i międzynarodowe brygady ochotnicze, wspierane przez tanki i samoloty sowieckie. Pewien śmiały dziennikarz paryski widział już Franco na białym koniu w sercu Madrytu; w rzeczywistości dopiero w dwa i pół roku później faszystowski caudillo wdarł się do stolicy Hiszpanii.

Pod koniec 1936 roku niewiele brakowało, by rząd Bluma został obalony. Podczas debaty nad sprawą hiszpańską komuniści odmówili poparcia polityce rządu i powstrzymali się od głosowania nad wotum zaufania. Przy tej okazji Blum, cytując Metternicha, opowiedział się za pozostawieniem mocarstwom osi pełnej swobody działania. — „Nie stawiałem nigdy ultimatum nieprzyjacielowi, nie mogąc go poprzeć zbrojnie! —" W tej samej chwili, w której przemawiał, nowy znaczny kontyngent oddziałów niemieckich dojeżdżał do Hiszpanii.

Na początku Nowego Roku Francja przejawiła w polityce wzmożoną aktywność, która jednak szybko się wyczerpała. W czasie gdy Yvon Delbos był na urlopie, wiceminister spraw zagranicznych, Pierre Viénot, otrzymał raporty, według których 600 Niemców załadowanych zostało w Kadyksie celem przetransportowania do Maroka hiszpańskiego, sąsiadującego z Marokiem francuskim. Po przeprowadzeniu rozmów z prezesem Rady Ministrów i sztabem generalnym (tajni agenci sztabu wiadomość tę potwierdzili) wiceminister wezwał przedstawicieli prasy francuskiej. Podał fakt ów do wiadomości i dał do zrozumienia, że powinien on być opublikowany i opatrzony mocnymi komentarzami. Jednocześnie ambasador Francji w Berlinie otrzymał polecenie dokonania energicznego démarche wobec rządu hitlerowskiego, w którym oświadczył, że Francja nie będzie tolerowała obecności niemieckich oddziałów w Maroku hiszpańskim. Wobec stanowczej postawy rządu francuskiego Hitler cofnął się; oddziały niemieckie wróciły do Hiszpanii. Komunikat podpisany przez Hitlera i ambasadora Francji stwierdzał, że nikt nie miał zamiaru wysyłania oddziałów niemieckich do hiszpańskiego Maroka. W ten sposób Hitler ratował swój prestiż i jednocześnie dezawuował Pierre'a Viénot. Natychmiast cała prasa reakcyjna oskarżyła wiceministra o chęć wciągnięcia Francji w wojnę z Niemcami celem ratowania krwawego bolszewickiego reżimu w Hiszpanii. Była to pierwsza wielka kampania prasy prawicowej przeciwko „fałszywym wiadomościom". Od tego czasu za każdym razem, ilekroć jakiś artykuł nie odpowiadał jej polityce, określała go ona jako „fałszywą wiadomość". Ambasador Francji, François Poncet, mąż zaufania Comité de Forges, z pewnością nie poniechał ujęcia sprawy od tej strony, redagując wspomniany wyżej komunikat. Nie do zniesienia była dla niego myśl, że minister spraw zagranicznych, choćby był nawet tak chwiejny jak Delbos, należy do Frontu Ludowego.

Abstrahując od incydentu marokańskiego rok 1937 przeszedł we francuskiej polityce zagranicznej bez jakichkolwiek sensacyjnych wydarzeń. Wojna nerwów, pełna małych dziennikarskich ukłuć, przedłużała się. Hitler oczekiwał końca wojny w Hiszpanii lub przynajmniej decydującego zwycięstwa gen. Franco, które by stanowiło wstęp do końcowego triumfu. Ale heroiczna i nieoczekiwana obrona Madrytu nie zapowiadała bliskiego końca walki, końca, który przed dwoma miesiącami zdawał się tak bliski państwom osi. W styczniu r. 1937 Hitler odbył rozmowę ze swymi najbliższymi doradcami. Według informacji, jakie dotarły do Quai d'Orsay führer oświadczył, iż dopóki nie zostanie zakończona wojna w Hiszpanii, nie należy oczekiwać żadnych sensacyjnych zmian. Przed definitywnym usadowieniem „hiszpańskiej muchy na francuskim karku" führer nie uważał za rozsądne wplątywanie się w łańcuch agresji, które planował. W ciągu tego czasu hitlerowcy koncentrowali wysiłki na umacnianiu baz politycznych i gospodarczych w rejonach już opanowanych przez Franco.

Głównym celem ataków prawicy we Francji pozostawał nadal rząd Frontu Ludowego i francusko-sowiecki pakt wzajemnej pomocy. Głoszono, że ów pakt, i tylko on, stał na przeszkodzie zbliżeniu francusko-niemieckiemu. Tych, którzy bronili paktu jako istotnego czynnika francuskiego bezpieczeństwa, nazywano bolszewikami lub „francuskimi Rosjanami". Innymi słowy, byli to „płatni agenci Moskwy". Nacjonaliści, Georges Mandel i Paul Reynaud, uważani byli także za „agentów". Daladiera i Chautemps odmalowywano jako prawdziwych patriotów, gdyż żywili niechęć do paktu. Deputowani prawicowi, niektórzy wpływowi byli kombatanci i arystokraci, jak hr. Brinon, jeździli z częstymi wizytami do Niemiec hitlerowskich. Obecnie coraz częściej dawały się słyszeć opinie prohitlerowskie, wypowiadane przez przedstawicieli partii radykalnej, a nawet socjalistów.

Taktyka reakcji polegała na rozbiciu koalicji z radykałami oraz na oddzieleniu socjalistów od komunistów. Prawica nie głosiła jeszcze haseł „rządu narodowego" tego typu co rząd

Doumergue'a lub Lavala. Sytuacja nie dojrzała jeszcze tak dalece, by narzucić ludowi francuskiemu ludzi tego rodzaju co Laval. Byli oni zdyskredytowani i otoczeni pogardą. Ich pojawienie się na arenie publicznej mogłoby zaszkodzić cierpliwej pracy nad rozbiciem jedności narodowej, toteż prawica popierała koncepcję rządu złożonego z samych radykałów. Po zerwaniu z socjalistami pozostawaliby oni wyłącznie w zależności od prawicy; byliby niewolnikami prawicy, mając w kraju wciąż jeszcze opinię lewicowców. Ów plan ułatwia zrozumienie na pozór dziwnej zmiany stanowiska prawicy w stosunku do Daladiera i Chautemps, którzy jeszcze przed rokiem traktowani byli jako bandyci i mordercy.

Na początku roku 1937 nastąpił nowy odpływ kapitałów, który osiągnął niezwykłe rozmiary — miliarda franków dziennie.

Wobec tej ofensywy rząd miał do wyboru albo kontratak, albo kompromis. Taki kontratak w postaci surowych zarządzeń ustawodawczych przeciwko ucieczce kapitałów uczyniłby silne wrażenie w kraju; pozwoliłby siłom Frontu Ludowego wyjść z letargu i zjednoczyłby je wokół poczynań rządu. Musiałaby być przede wszystkim wprowadzona kontrola wymiany, a więc zakaz kupna i sprzedaży dewiz bez zgody rządu. W poprzednich latach Blum głosił potrzebę takich zarządzeń, ale pod presją wielkiej finansjery francuskiej i londyńskiego City zdecydował się na kompromis. W lutym 1937 roku ogłosił konieczność „pauzy", zaczerpnięcia oddechu.

Żadna nowa ustawa socjalna ani finansowa nie została przedłożona parlamentowi; nie zabiegano o żadne zwiększenie wydatków w budżecie. Wykonanie tej części programu Frontu Ludowego, jeszcze nie zrealizowanej, musiało ulec zwłoce.

Zamiast tego prof. Charles Rist, teoretyk ekonomii liberalnej i Paul Baudouin, dyrektor Banku Indochin, zostali mianowani dyrektorami funduszu wymiany (fond de changes).

Nadzieje rządu skoncentrowały się na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu, którą miano otworzyć w maju. Na początku marca jeden z ministrów wyjaśnił mi, że mając zapewnioną stabilizację finansową na przeciąg kilku miesięcy, dzięki paryskiej wystawie, rząd będzie mógł się utrzymać bez szczególnych trudności przez cały rok 1937. Oczekiwane tłumy zwiedzających miały oznaczać nie tylko poważny wpływ złota. Ich wizyta w Paryżu miała duże znaczenie propagandowe, które musiało znaleźć swój wyraz w polityce zagranicznej. Propaganda hitlerowska w Europie i Ameryce przedstawiała Francję Frontu Ludowego jako państwo nękane gwałtownymi niepokojami socjalnymi, chaosem, bezładem i wewnętrznymi rozterkami. Wystawa miała dać cudzoziemcom obraz Francji spokojnej, uporządkowanej, pełnej czaru. Paryż miał odzyskać swą dominującą pozycję kulturalną w Europie.

Niemcy hitlerowskie wykuwały nową armię. Agenci hitlerowscy osiągali wybitne sukcesy na Bałkanach. Mussolini był o krok od zawarcia traktatu z faszyzującym Stojadinowiczem, traktatu, który by wiązał jeszcze ściślej Jugosławię z mocarstwami osi. Malaga nad Morzem Śródziemnym była w rękach Włochów. Hitler sprawował kontrolę nad fortyfikacjami hiszpańskimi na Atlantyku.

A Francja odpowiadała na to wszystko wystawą międzynarodową, pełną uroku i wdzięku.

Ale przed otwarciem wystawy rząd Bluma musiał uporać się z „wypadkami w Clichy". W Clichy, przemysłowej miejscowości okręgu paryskiego, administrowanej przez mera socjalistę, ludność zorganizowała masową kontrmanifestację przeciw zlotowi Croix de Feu, który odbywał się za zgodą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Policja, która ochraniała Krzyże Ogniste, użyła broni zabijając sześć osób, raniąc kilkaset. Wśród rannych znajdował się André Blumel, szef gabinetu Prezydium Rady Ministrów, który pojechał do Clichy dowiedziawszy się o rozruchach. W kilka godzin

później Blum i Dormoy, po galowym koncercie, udali się na miejsce „incydentu".

Badania wykazały, że ogień do tłumu otwarto bez żadnej przyczyny; nad porządkiem czuwała straż porządkowa organizacji robotniczych. Można tedy przypuścić, że rzecz była przemyślana z góry i sprowokowana w celu stworzenia nowych, poważnych trudności dla rządu Bluma. Partie lewicy zażądały, aby winni zostali surowo ukarani. W przemówieniu w Izbie Blum przyrzekł przeprowadzenie ścisłych i jak najsurowszych dochodzeń. Rezultaty ich nigdy nie zostały podane do wiadomości publicznej.

Wystawa, mimo iż nie ukończona w budowie, została oficjalnie otwarta w maju. Robiła ona silne wrażenie na zwiedzających. Dawała jak gdyby obraz demokracji francuskiej, najstarszej w Europie, która w przededniu swego upadku pragnęła pozostawić w oczach świata ostatnie niezatarte wspomnienie swojej wielkości. Pawilony wystawowe tak zręcznie zostały rozmieszczone na wąskiej przestrzeni wybrzeża nad Sekwaną, a ograniczona przestrzeń zużytkowana z takim smakiem, że tworzyło to panoramę nieskończonego morza różnokolorowych budynków, stanowiącą jak gdyby obraz całego współczesnego życia. Wieczorem wystawa tonęła w powodzi świateł, budząc zachwyt zwiedzających.

Oddzielne miejsca na wystawie zajmowały poszczególne prowincje francuskie, których produkcję pokazywano z dużym poczuciem smaku. Przed przechadzającymi się pomiędzy pawilonami gośćmi zagranicznymi otwierał się wspaniały obraz kultury i potęgi Francji.

Ale niestety! Sukces wystawy nie zażegnał walki politycznej. W czerwcu, w salonie słynnej restauracji Lourue koło Madelaine, zebrało się kilku bankierów goszcząc z honorami pana Josepha Caillaux, znakomitego prezesa komisji finansowej senatu. W kilka dni później rozpoczął się nowy odpływ kapitałów. Waluta francuska była znowu w niebezpieczeństwie. I jak gdyby przypadkiem, Rist i Baudoin jednocześnie podali się do dymisji w komitecie kontroli wy-

miany. Stopa dyskontowa Banku Francji podniosła się z 4 na 6 procent.

Było widoczne, że rozpoczął się generalny atak.

Blum usiłował zahamować go żądając od parlamentu nadzwyczajnych pełnomocnictw. Zawsze zwalczał tego rodzaju żądania, kiedy go wysuwali jego poprzednicy. Kiedyś, w czasie debaty na ten temat, wykrzyknął: „Wolałbym raczej powrót monarchii niż udzielenie nadzwyczajnych pełnomocnictw!"

Z 375 deputowanych, tworzących większość, 346 głosowało za pełnomocnictwami. Opozycja otrzymała tylko 247 głosów. Cios ostateczny miał zadać senat.

Tego momentu oczekiwał Caillaux. Ambitny, władczy i mściwy nie zapomniał, że w roku poprzednim senat musiał ugiąć się przed wolą ludu. Wiedział, że nie powierzą mu już żadnej z najważniejszych tek w rządzie, lecz nie mogąc powrócić do władzy chciał być przynajmniej tym, który obali rząd. Z monoklem wciśniętym w oko, głosem ostrym i aroganckim Caillaux ciskał pod adresem premiera obelgę za obelgą. Oświadczył szyderczo, że nie mógł mieć zaufania do rządu. Był tym zrozpaczony. Nie wiedział, kto był właściwym władcą Francji: gabinet czy też „rząd mas". Nie był nawet pewien, czy rząd ów zechce się podporządkować swojemu własnemu programowi parlamentarnemu.

Słuchający go uważnie Laval pomyślał, że oto nadszedł moment przełamania długiego milczenia, i dołączył się do ataku Caillaux. Gabinet Bluma został obalony w senacie 188 głosami przeciwko 72.

Nie pociągało to za sobą konieczności dymisji rządu. Zgodnie z francuską konstytucją projekt uchwały, przegłosowany trzykrotnie przez izbę wbrew uchwale senatu, niemniej zostaje przyjęty. Blum mógł odwołać się do Izby i zmusić senat do ustąpienia. Miał jeszcze zapewnioną i zdecydowaną większość wśród deputowanych. Gdyby zajął takie stanowisko, udaremniłby raz na zawsze zakusy senatu, zmierzające do wywierania wpływu na politykę francuską. Senatu

— instytucji pomyślanej jako wędzidło nałożone na jedyne, wybrane w bezpośrednim i powszechnym głosowaniu przedstawicielstwo narodu.

Blum stanął przed ważką decyzją, nie mniej ważką niż ta, przed którą stał Daladier po rozruchach 6 lutego 1934 roku. Opór senatu był nowym przejawem tej samej reakcyjnej polityki. Ale Leon Blum poszedł za przykładem Daladiera: podał się do dymisji. Oficjalnym powodem dymisji była chęć zdjęcia na jakiś czas z partii socjalistycznej ciężaru odpowiedzialności za rządy Francją. Blum oświadczył, iż pragnął odegrać rolę drugich skrzypiec przy radykałach, aby następnie wzmógłszy się na siłach ująć ponownie ster władzy w ręce celem zrealizowania nowych, szerszych zamierzeń. Ale w dwa lata później Blum uczynił cenne wyznanie oświadczając: — Zwyciężyły nas nie trudności finansowe i nie wrogi stosunek senatu; żadna siła nie obaliłaby nas, gdybyśmy nie czuli, że klasa robotnicza nie idzie już za naszymi wskazówkami.

IX

CHAUTEMPS: STACZANIE SIĘ PO RÓWNI POCHYŁEJ

W ciągu dziesięciu miesięcy, które nastąpiły po dymisji Leona Bluma, stworzono jeden po drugim cztery rządy. Szefem dwóch spośród nich był mistrz podstępu, Camille Chautemps, człowiek o twarzy zakrystiana. Jego to właśnie powołano jako następcę Leona Bluma. Charakterystycznym posunięciem jego gabinetu było powołanie na nowo Georges'a Bonneta jako ministra skarbu. Aby uwolnić się od tego niebezpiecznego przeciwnika, Blum będąc przy władzy wysłał go jako ambasadora do Stanów Zjednoczonych. Bonnet i jego małżonka odbywali obecnie triumfalną podróż powrotną snując ambitne i dalekosiężne plany.

Blum został w gabinecie Chautemps wiceministrem, Daladier zachował tekę ministra wojny, a Yvon Delbos — spraw zagranicznych. Rozpoczynano na nowo starą grę i tasowano te same karty.

Z chwilą objęcia rządów przez Chautemps demokracja francuska wróciła na swą utartą drogę. Nie wpłynął projekt żadnej nowej reformy, nie wykazano żadnej inicjatywy w dziedzinie polityki zagranicznej. Dyktatorzy pośpiesznie organizowali swe siły i przygotowywali dramatyczne wypadki, które miały nastąpić w roku najbliższym. Ale Chautemps kon-

tynuował swoje małe intryżki i krótkowzroczne wybiegi, uprawiał małostkowe kombinacje parlamentarne.

Okres rządów Chautemps był dla Francji okresem upadku. A w innych krajach? We wrześniu Mussolini udał się do Berlina. Włochy z entuzjazmem przystąpiły do paktu antykominternowskiego. Hitler po raz pierwszy wyjawił publicznie plan zagarnięcia żyznych obszarów i obfitych bogactw Ukrainy.

W tym samym miesiącu wysadzono w powietrze siedzibę Confédération générale du Patronat français[1] przy placu Etoile. Oto był nareszcie „spisek komunistyczny", „zbrodnia Frontu Ludowego", której prawica oczekiwała z niecierpliwością. Prowokację tę wykorzystano dla wszczęcia gwałtownej kampanii prasowej przeciw Frontowi Ludowemu, zwłaszcza przeciw komunistom. Prasa hitlerowska poparła ją ze szczególną satysfakcją. Wszystko zdawało się być przygotowane do generalnego ataku na siły lewicy.

Prawica miała ułożony plan: początkowo seria zabójstw, później rozruchy w czasie październikowych wyborów kantonalnych. Po nich miały nastąpić zamieszki i sukcesy antysemickie w północnej Afryce. Około połowy listopada projektowano rozpuszczenie pogłoski o przygotowywanym przez komunistów zamachu stanu. Wreszcie w grudniu, gdy opinia publiczna byłaby już dostatecznie wzburzona, miał wkroczyć na arenę C.S.A.R. (Comité Sécret d'Action Révolutionnaire). Miał on obalić rząd Chautemps i zastąpić go dyktaturą.

Początkowo wypadki następowały zgodnie z przewidzianymi planami. Jeśliby nie wydarzyła się jedna z tych niespodzianek, w które tak obfituje francuskie życie polityczne, grudzień 1937 roku zastałby naród w stanie silnego wzburzenia. Ale tym, który uprzedził rząd, był właśnie szef Krzyżów Ognistych, płk de La Rocque.

W roku poprzednim organizacja ta powzięła decyzję, aby wysunąć się na pierwsze miejsce w kraju kosztem wszystkich

---

[1] Organizacja francuskich przemysłowców.

innych partii prawicowych. Koła polityczne przepowiadały otwarcie, że w najbliższych wyborach de La Rocque pojawi się jako szef polityczny prawicy z setką mandatów w Izbie. Raczej wojskowy aniżeli polityk, sztywny i pozbawiony układności, uważany przez wielu ludzi dobrze ułożonych za człowieka bez manier, pułkownik zraził sobie pewną liczbę wpływowych osobistości. Uważał on byłego premiera Tardieu za skończonego polityka; zaatakował Flandina. Nie powstrzymywał się od inwektyw w stosunku do wielu deputowanych z prawicy. Zakupił jedno z najpotężniejszych pism codziennych w Paryżu, Le Petit Journale, którego nakład sięgał kilkuset tysięcy egzemplarzy. Dla innych dzienników reakcyjnych był to oczywiście grzech niewybaczalny. Przyłączyły się one zatem z radością do obozu przeciwników de La Rocque'a. Właściciele dzienników Le Jour, Matin, Journal i Petit Parisien tworzyli zwartą falangę, zwróconą przeciwko pułkownikowi. Cały Paryż szeptał, że środków na zakup Petit Journal, bagatelnej sumy 9 milionów franków, dostarczył Laval, który uważał organizację pułkownika za najbardziej zdyscyplinowaną i najlepiej nadającą się do wszczęcia kampanii przeciwko Frontowi Ludowemu.

Walka wypowiedziana pułkownikowi de La Rocque rozpoczęła się atakiem księcia Pozzo di Borgo, Korsykanina, dręczonego namiętnym pragnieniem władzy; twierdził on w jednym z artykułów, że pułkownik w ciągu lat otrzymywał subsydia z tajnych funduszów Quai d'Orsay. W procesie, który nastąpił po tym sensacyjnym oświadczeniu, Tardieu potwierdził wysuwane oskarżenie wiedziony chęcią zemsty na de La Rocque'u i Lavalu. On, on sam dawał pieniądze. On sam używał pułkownika jako płatnego narzędzia przeciwko lewicy i agenta na swojej służbie. Według oświadczenia Tardieu przed sądem w Lyonie tak samo rzecz się miała z Lavalem, który opłacał de La Rocque'a za „entuzjastyczne manifestacje" tłumów na swoją cześć. Tardieu wyjaśnił, iż zdaniem jego

należało przeciwstawić potężnym siłom rozkładu — siły porządku.

> Przewidywałem możliwość akcji przedsięwziętej przez 400 do 500 tys. komunistów. Byłem bardzo zadowolony z usług, które wyświadczała mi Liga Krzyżów Ognistych. Zapewniła mi ona porządek za każdym razem, gdy tego od niej zażądałem.

W kilka dni po procesie człowiek w nieokreślonym wieku zjawił się w prywatnym mieszkaniu jednego z ministrów gabinetu Chautemps: odmówił wyjawienia swego nazwiska i zachował tajemniczy wyraz twarzy. Po jego odejściu minister miał w ręku szczegółowe plany tzw. tajnego komitetu akcji rewolucyjnej (Comité Sécret d'Action Révolutionnaire). Nieznajomy został przysłany przez de La Rocque'a. Skoro próby spisku zostały ujawnione, Chautemps zmuszony był wyrazić zgodę na przedsięwzięcie natychmiastowych środków zapobiegawczych.

Nazajutrz wydano blisko 500 nakazów rewizji. Policja wkroczyła do setek mieszkań, biur i magazynów. Jej łupy stanowiły prawdziwą sensację: pięćset karabinów maszynowych, sześćdziesiąt pięć armat, trzydzieści dział przeciwpancernych i przeciwlotniczych, dwie tony materiałów wybuchowych, nie mówiąc o tysiącach karabinów i granatów. W podziemnych i ustronnych garażach rezydencji wiejskich odkryto zamaskowane składy i bunkry. Przejęto także instalacje radiowe dużej mocy i sieci tajnych połączeń telefonicznych.

Broń była pochodzenia niemieckiego, włoskiego, frankistowskiego i angielskiego. Lista aresztowań uczyniła duże wrażenie. Znajdowali się na niej ludzie najróżniejsi, od generała Deseigneur, byłego szefa sztabu generalnego, i właściciela ziemskiego Huberta de Pastre począwszy, a skończywszy na urzędnikach, handlarzach starożytności, oficerach, inżynierach, mechanikach i szoferach. Tajna organizacja była zbudowana na wzór wojskowy, miała swój sztab generalny i cztery kon-

spiracyjne biura. Podzielona była na dywizje, brygady i bataliony. Miała przygotowany plan całkowitej mobilizacji. Znaleziono plany Paryża i głównych miast prowincjonalnych oraz zebrane informacje na temat oficerów i jednostek wojskowych. Ustalona była również lista najwybitniejszych polityków, których miano aresztować. Istniały specjalne plany, dotyczące opanowania dzienników i siedzib organizacji lewicowych, administracji i prywatnych apartamentów członków rządu.

Reżim republikański miał być obalony i zastąpiony przez dyktaturę; liczono się nawet z możliwością ewentualnej restauracji monarchii. Przewidywany dyrektoriat miał się składać z marszałka Pétaina, generała Weyganda, Chiappe'a i Jacques Doriota. Ten ostatni — renegat wykluczony z partii komunistycznej w roku 1934 — założył Francuską Partię Ludową. Był to mówca o potężnym głosie; przez jakiś czas faszyści francuscy rozważali możliwość uczynienia zeń przywódcy mas. Lewica oskarżała go o pobieranie hojnych subsydiów z Berlina. Doriot nigdy nie odważył się twierdzić, że oskarżenia te są fałszywe.

Jeden z byłych ministrów wyznał mi kiedyś, iż władze bezpieczeństwa posiadały dokumenty ustalające, że Doriot był na żołdzie berlińskim i że otrzymał znaczne fundusze od hitlerowców na zakup wielkiej posiadłości w Belgii.

Inne wydobyte na światło dokumenty wykazały, że konspiratorzy z C.S.A.R. byli hojnie subwencjonowani przez kilku magnatów francuskiego przemysłu i przez jedno z obcych państw. Ani nazwiska owych przemysłowców, ani owo państwo nie zostały ujawnione. Lecz ani jedno, ani drugie nie było tajemnicą dla opinii publicznej, dla magnata przemysłu zbrojeniowego, Schneidera, i dla króla kauczuku Michelina.

Ponieważ opowiadano, że konspiratorzy w czasie swych tajnych zebrań osłaniali twarze kapturami, nazwano ich „kapturowcami" c a g o u l a r d s.

Posiedzenie Rady Ministrów, na którym rozpatrywano sprawę spisku, było burzliwe. Blum, Dormoy i Pierre Cot żą-

dali, aby wszystkie szczegóły zbrodniczego sprzysiężenia zostały ujawnione. Nalegali na podanie do publicznej wiadomości wszystkich związków pomiędzy kagulardami i narodowymi socjalistami i na ustalenie stosunków łączących konspirację z Pétainem i Weygandem. Większość gabinetu i prezydent republiki przeciwstawili się tak gwałtownej akcji. Bonnet i Chautemps zagrozili dymisją, gdyby otoczony szacunkiem Pétain został skompromitowany i wciągnięty w błoto skandalu.

Blum, Dormoy i Cot ustąpili pod presją. Kampania zorganizowana przez wielu ludzi lewicy, żądających rozwiązania wszystkich organizacji faszystowskich, nie odnosiła skutku. Dormoy zapewnił w Izbie, że „nie było potrzeby odwoływania się do ustaw wyjątkowych. Zwykłe prawa republiki wystarczały, by zagwarantować bezpieczeństwo ustrojowi republikańskiemu".

W ciągu szeregu miesięcy dzienniki prawicowe domagały się zwolnienia generała Duseigneura, księcia Pastré i Deloncle'a. Nieco później zostali oni zwolnieni. Proces kagulardów nie odbył się. Przyjaciele zgotowali im w chwili zwolnienia triumfalną owację.

W grudniu Chautemps i Delbos złożyli w Londynie wizytę Chamberlainowi, Edenowi i lordowi Halifaxowi. Po konferencji ogłoszony został komunikat, który oświadczał, iż „polityka nieinterwencji w stosunku do Hiszpanii była w pełni usprawiedliwiona".

Wkrótce potem Yvon Delbos odbył podróż do Europy wschodniej i południowo-wschodniej. Była to nieudana kopia objazdu Barthou w roku 1934, która nie dała żadnych wyników. Barthou przyświecała wyraźna myśl: „Należy powstrzymać Hitlera przy pomocy potężnej koalicji sił". Motywem podróży Delbosa był wielkooki strach, że chwiejność Francji bardziej niż triumfy Hitlera odstraszy od niej sojuszników. Lecz nie było mocnej woli ustalenia polityki, mogącej po-

wstrzymać Hitlera. Delbos zgodził się w Warszawie na udzielenie nowej pożyczki na cele zbrojeniowe. Polski minister spraw zagranicznych, płk Beck, wziął pożyczkę i uprawiał nadal swój flirt z hitlerowskimi Niemcami. Rumunia również otrzymała kredyty na cele wojenne. Król Karol przyjął je, lecz nie krył swoich obaw, że projektowane przez Hitlera zagarnięcie Austrii, o którym mówiono półgłosem coraz częściej, nie napotyka żadnego oporu ze strony zachodnich demokracji.

W Belgradzie Delbos został przyjęty entuzjastycznie; dziesiątki tysięcy Jugosłowian witały go okrzykami: „Niech żyje Francja! Niech żyje demokracja!", ale policja brutalnie rozproszyła tłum. Jedna osoba została zabita, a kilka ciężko rannych. Le Temps, będący na ogół zwierciadłem opinii Quai d'Orsay, opublikował artykuł krytykujący owe manifestacje, a chwalący frankofilskie uczucia jugosłowiańskiego premiera, Stojadinowicza. Ów zaś bardziej niż ktokolwiek inny ponosił odpowiedzialność za wciągnięcie Jugosławii w orbitę osi.

W chwili swego przybycia do Pragi Delbos dowiedział się, że policja francuska wykryła spisek mający na celu zamordowanie go w czasie jego pobytu w Czechosłowacji. Prasa francuska otrzymała oficjalne instrukcje pokrycia milczeniem owych rewelacji. W Pradze Delbos został entuzjastycznie przyjęty przez ludność, ale sfery oficjalne nie ukrywały swego niepokoju. Od kilku miesięcy dzienniki hitlerowskie publikowały artykuły o złym traktowaniu Niemców w Sudetach. Nauczyciel gimnastyki, Konrad Henlein, zdobył większość ludności Sudetów dla własnej partii, zorganizowanej na wzór hitlerowski.

W prywatnej rozmowie z Delbosem Edward Benesz, prezydent Republiki Czechosłowackiej, wyraził swe poważne obawy w związku z projektami Hitlera. Otworzył tekę raportów policji czechosłowackiej. Wskazał na to, że przygotowania hitlerowców do aneksji Austrii będą wkrótce ukończone,

następnie zaś dorzucił: „Po Austrii przyjdzie kolej i na nas. Jakie są zamiary Francji?"

Delbos zalecał porozumienie z Henleinem: „Nie powinniście dać Hitlerowi żadnego pretekstu, który by mógł wywołać zamieszki."

Wkrótce potem jeden z ministrów czechosłowackich powiedział pewnemu francuskiemu dziennikarzowi, że prezydent Benesz „był zdumiony, jak dalece Delbos wykazał zupełny brak zrozumienia psychologii Hitlera".

Oficjalnie Delbos wyrażał zadowolenie z rezultatów swojej podróży, ale na komisji spraw zagranicznych Izby wyznał, iż w rzeczywistości rzecz miała się odwrotnie. Wyrażał nadzieję, że Francja nie będzie „zmuszona pewnego dnia wybierać pomiędzy Anglią a swymi sojusznikami z Europy południowo-wschodniej". Zdanie to zrodziło najróżnorodniejsze refleksje. Czyżby Anglicy czynili w czasie podróży Chautemps i Delbosa do Londynu jakieś aluzje, które wskazywały na możliwość takiej ewentualności?

Na tym samym posiedzeniu były premier Flandin zawzięcie bronił polityki izolacji, dzięki której Francja, pod osłoną linii Maginota, z oczyma obróconymi na swoje imperium kolonialne, mogłaby spokojnie przyglądać się wypadkom rozgrywającym się w Europie. „Los Francji — oświadczył on — zależy od jej kolonii." Jak gdyby istnienie imperium francuskiego nie było zależne od położenia Francji w Europie?!

Odbyła się jeszcze jedna konferencja przedstawicieli wielkiego przemysłu i wielkiej finansjery. Dano na niej do zrozumienia premierowi Chautemps, że obecność socjalistów w rządzie podważała zaufanie do waluty narodowej. Dotyczyło to zwłaszcza ministra spraw wewnętrznych, Dormy, który posiadał wszystkie dowody, kompromitujące kagulardów. Jak gdyby dla usprawiedliwienia tych sugestii zorganizowano nowy odpływ kapitału. Chautemps w lot zrozumiał sytuację. Na posiedzeniu Izby, podczas debat na temat nowych zarządzeń finansowych, rozpoczął gwałtowny atak przeciwko komunistom w nadziei, że sprowokuje wycofanie się ministrów

socjalistycznych ze swego gabinetu. Dymisja ta była jedynie wstępem do dymisji całego gabinetu w styczniu roku 1938. Podstęp udał się w całej pełni.

Chautemps stworzył wówczas nowy gabinet; tym razem był to rząd złożony wyłącznie z radykałów, bez udziału socjalistów.

Pod koniec stycznia 1938 r. ambasador francuski w Berlinie uprzedził rząd, że Niemcy w ciągu najbliższych tygodni wkroczą do Austrii. Niemiecki minister spraw zagranicznych, von Neurath, poinformował o tym osobiście François Ponceta.

Groźba ta zawisła nad Europą jak miecz Damoklesa. Z właściwym sobie wyczuciem efektów dramatycznych Hitler zrezygnował w tym roku z wygłoszenia dorocznej mowy w dniu 30 stycznia, rocznicy swojej nominacji na kanclerza Rzeszy. Poza granicami Niemiec rozeszła się pogłoska o tarciach między Hitlerem a jego generałami. Świat usiłował zgadnąć, która strona odniesie zwycięstwo.

Hitler zwolnił ze stanowiska swego prohitlerowsko nastrojonego ministra wojny, von Blomberga, i głównodowodzącego antyhitlerowsko nastrojonej armii, von Fritscha. Poza tym mianował ministrem spraw zagranicznych byłego handlarza win szampańskich von Ribbentropa. Na szefa sztabu naczelnego dowództwa został powołany gen. von Keitel, postać nieznana poza Niemcami, którego nazywano później „generałem zza biurka", a na dowódcę armii generała von Brauchitsch, uważanego po Fritschu za najbardziej uzdolnionego z niemieckich dowódców wojskowych.

Cały świat zaabsorbowany był jeszcze owymi nagłymi zmianami, kiedy wybuchła nowa bomba. Mały, surowy kanclerz Austrii, von Schuschnigg, został wezwany przez Hitlera do jego rezydencji w Berchtesgaden, gdzie musiał wysłuchać w milczeniu dwugodzinnej tyrady führera. W czasie jej trwania Hitler wzywał kilkakrotnie z sąsiedniego pokoju swych doradców wojskowych, aby pognębić nieszczęsnego Schuschnigga i dać mu do zrozumienia, że wszystkie przygotowania

do zawładnięcia Austrią zostały ukończone. Kanclerz austriacki był oszołomiony. Pod tą szarpiącą nerwy presją zgodził się na proponowane zmiany w rządzie i mianowanie wicekanclerzem hitlerowca, dra Seyss-Inquarta. Nazwisko Seyss-Inquarta miało się stać wkrótce synonimem zdrady.

Po tych ponurych odwiedzinach Schuschnigg zapragnął rady i pomocy od tradycyjnego przyjaciela Austrii, Mussoliniego. Nie mógł jednak osiągnąć połączenia telefonicznego z duce.

Od tej chwili wypadki potoczyły się z oszałamiającą szybkością. Z początku ze strony Anglii, następnie Francji, Hitler otrzymał na nowo zapewnienie, że jego wkroczenie do Austrii nie wywoła żadnego sprzeciwu. Przemawiając w Izbie Gmin premier brytyjski, Chamberlain, dał Hitlerowi hasło do wymarszu na Austrię. Jego słowa należą do historii: „Jeżeli mam słuszność twierdząc, że Liga Narodów obecnie niezdolna jest do zagwarantowania zbiorowego bezpieczeństwa żadnemu z krajów, w takim razie nie powinniśmy łudzić się sami, ani tym bardziej usiłować łudzić narody małe i słabe, że Liga Narodów ochroni je przed agresją, oraz działać w tym duchu, skoro wiemy, że nie należy tej ochrony oczekiwać."

Echem francuskim tego dyplomatycznego języka było przemówienie „neorealisty" Flandina, jak nazywano go obecnie. Zwracając się do Izby Deputowanych powiedział on szyderczo:

> Pokój zagwarantowany mocą traktatu wersalskiego jest bliski śmierci .. Ale w takim razie, na litość boską, oszczędźmy sobie pozorów brawury nazajutrz po poskromieniu Austrii... Dziś znajdujemy się pod osłoną linii Maginota Gdybyśmy zostali zaatakowani, będziemy dość silni, aby utrzymać się aż do chwili, kiedy narody miłujące wolność, które pomogły nam w roku 1914, przybędą, by razem z nami zapewnić zwycięstwo swoich zasad.

Młody deputowany z partii radykalnej, Albert André, wetknął palec w ropiejącą ranę polityki francuskiej oświadczając, że nowe stanowisko wielu byłych nacjonalistów francu-

skich wytłumaczyć można jedynie tym, że wpadli oni w sidła Hitlera i że byli gotowi całkowicie wesprzeć jego antykominternowską krucjatę.

Na tle perfidnego przemówienia Flandina mowa ministra spraw zagranicznych była blada i pozbawiona treści, obliczona zapewne na to, by w niczym, broń Boże, nie zadrażnić Hitlera. Delbos oświadczył, że niepodległość Austrii była konieczna dla równowagi europejskiej. Dorzucił on:

> Jest rzeczą niewątpliwą, że zostaniemy wierni naszym zobowiązaniom wobec Czechosłowacji w godzinie próby.

Chautemps oświadczył:

> Francja nie sprzeniewierzy się sojuszowi, który nałożył na nią zaszczytny obowiązek ochrony niepodległości Czechosłowacji.

W przemówieniach tych podkreślających różnicę między Austrią a Czechosłowacją trudno było dopatrzyć się jakiejkolwiek przestrogi pod adresem Hitlera.

Na dwa dni przed wkroczeniem Hitlera do Austrii Chautemps wycofał się z rządu. Żądał on nadzwyczajnych pełnomocnictw od Izby. W czasie dyskusji wyszedł nagle z sali. Kilku ministrów było tym tak zaskoczonych, że nie zrozumieli, jakie były jego intencje. Musiał im dać znak, aby udali się za nim. Po raz drugi od chwili dojścia Hitlera do władzy, nie czekając na wotum nieufności, Chautemps podał się do dymisji. W krytycznej sytuacji składał odpowiedzialność za nią w ręce swego następcy.

W dniu 12 marca, kiedy Hitler owładnął Austrią, Francja znów była bez rządu.

Leon Blum odziedziczył po Chautemps trudny spadek. Cztery dni zużył na utworzenie swego gabinetu. Miał on koncepcję opartego na szerokich podstawach rządu narodowego, w którego skład wchodziłby zarówno Maurice Thorez, przywódca komunistów, jak Louis Martin, szef republikanów

z prawicy. Musiał zrezygnować ze swego planu, ponieważ prawica stanowczo odmówiła mu współpracy. Zwracając się do grupy deputowanych prawicowych w dniu, w którym Hitler wkraczał triumfalnie do austriackiego Linzu, Blum zaklinał ich, by wzięli udział w rządzie wraz z komunistami.

> W wypadku wojny — mówił on — będziecie mobilizowali komunistów tak samo jak wszystkich innych. Deputowani komunistyczni reprezentują półtora miliona robotników, rzemieślników i chłopów; nie macie prawa ich odpychać. Będziecie ich potrzebowali, gdy zechcecie wzmóc produkcję zbrojeniową. Będziecie potrzebowali ich współpracy podobnie jak współpracy C. G. T. (Confédération Générale du Travail)... Czego się obawiacie? Boicie się, że ich opinia zaważy na polityce zagranicznej? Czyż nie przypominacie sobie, że jako szef rządu zachowałem w sprawie hiszpańskiej całkowitą niezależność? Kilku z was powiedziało, że obecność komunistów w rządzie francuskim wywołałaby złe wrażenie za granicą. Jest to argument fałszywy i ohydny, gdyż Francja nie może akceptować weta żadnego z państw ościennych.

Kilka godzin przedtem Daladier przemawiając na zgromadzeniu deputowanych z partii radykalnej zapytywał:

> Czy w dniu powszechnej mobilizacji powołacie komunistów pod broń, czy do obozów koncentracyjnych?

Na dwustu deputowanych z prawicy wszelkich odcieni zaledwie pięciu poparło propozycję Bluma. Jak pisał ironicznie Emil Buré, dziennikarz nacjonalistyczny w l'Ordre:

> Precz z Barthou! Precz z Delcassé! Naprzód na krucjatę ideologiczną, choćbyśmy mieli przy tym zginąć!

Drugi rząd Bluma składał się z radykałów i socjalistów. Daladier był wicepremierem i ministrem obrony; Paul Boncour otrzymał sprawy zagraniczne. Ani Chautemps, ani Bonnet, ani Delbos nie weszli w skład rządu.

Wkrótce po objęciu rządów przez Bluma gen. Franco rozwinął nową ofensywę, w której udało mu się przeciąć tery-

torium republikańskie na dwie części i dotrzeć do Morza Śródziemnego. Premier hiszpański, Juan Negrin, przybył do Paryża, apelując rozpaczliwie do Bluma o pomoc. Ale ten miał uszy zamknięte na jego skargi. Hiszpania nie mogła liczyć na jakiekolwiek poparcie Francji. Złagodzono nieco kontrolę na granicy francusko-hiszpańskiej, dając możność przewozu pewnej ilości środków żywnościowych dostarczonych przez Rosję i zatrzymywanych w portach francuskich. Wystarczyło to do zatrzymania ofensywy Franco na rzece Ebro, ale nie wystarczyło do odwrócenia sytuacji.

Drugi gabinet Bluma sprawował swe funkcje przez trzy tygodnie. Tym, który go obalił, był znów brutalny władca senatu, Joseph Caillaux. Senat odrzucił wniosek rządu o udzielenie mu pełnomocnictw. Izba znowu wyraziła Blumowi wotum zaufania; on jednak po raz drugi uchylił się od udziału w rozgrywce.

Od tego czasu było jasne, że dwieście rodzin osiągnęło swój cel najbliższy: Front Ludowy został definitywnie rozbity.

X

MONACHIUM

Edouard Daladier, który nastąpił po Leonie Blumie, ponosi odpowiedzialność za kilka najciemniejszych kart historii Francji. W czasie gdy stał on na czele rządu, zdławiona została Republika Czechosłowacka, zamordowana Republika Hiszpańska i przygotowana straszliwa klęska Francji.

Stworzony przezeń rząd podobny był do tego, który w dniu 6 lutego 1934 roku w panice zrejterował w obliczu rozruchów faszystowskich. Powrócili: sprytny Chautemps, szampion parlamentarnej akrobacji, który został wicepremierem; chudy i blady Bonnet — ministrem spraw zagranicznych; stary rozpustnik Sarraut był teraz ministrem spraw wewnętrznych; bezbarwny mer Reims, Marchandeau — ministrem finansów; protegowany Daladiera, wysoki elegant Guy La Chambre — ministrem lotnictwa; inny pupilek Daladiera, milioner Patenôtre — ministrem gospodarki narodowej, nie mówiąc o wieczystym ministrze rolnictwa, podstępnym małym Queuille. „Jest on jak stary album rodzinny", drwił Flandin usiłując ukryć swą niechęć wywołaną tym, że sam nie wszedł do rządu.

Jedynymi nowymi postaciami w trzecim gabinecie Daladiera byli: Paul Reynaud, który jako minister Sprawiedliwości spodziewał się zająć miejsce Daladiera, ambitny Fros-

sard, minister pracy, który żywił podobne marzenia, i człowiek, który miał kartotekę zamiast mózgu, Georges Mandel, otrzymujący tekę ministra kolonii.

Rząd ten został przyjęty z wielką podejrzliwością przez lewicę, a powitany z góry nader przychylnie przez prawicę. Przed czterema laty Gringoire mówiło o Daladierze, że miał twarz wyklętego księdza, który splamił się krwią, a Le Jour określał go jako „ponurego urzędniczynę, gotowego sprzedać własną duszę". Obecnie oba te dzienniki życzyły pomyślności „dzielnemu ministrowi obrony narodowej, który tyle uczynił dla bezpieczeństwa Francji".

Prawica zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później rząd będzie musiał zwrócić się ku niej, aby uzyskać jej poparcie i stać się w ten sposób jej niewolnikiem. Na horyzoncie zarysowała się dla prawicy perspektywa zdobycia większości w Izbie, gdyż radykałowie znajdowali się o krok od przejścia do obozu prawicowego. Przewidywane wydarzenie rzucało już swój cień. Izba obdarzyła rząd Daladiera zaufaniem niemal jednogłośnym: 577 głosami przeciw jednemu. Jeden ze sprawozdawców parlamentarnych powiedział owego dnia: „Nikt nie był zadowolony z rządu, dlatego wszyscy głosowali za nim."

La Dépêche de Toulouse, dziennik prowincjonalny, inspirowany przez Sarrauta, odmalował bez osłonek położenie kraju w tym momencie.

> Jesteśmy dosłownie okrążeni i postawieni wobec jedynej możliwości — taktyki czysto obronnej... Jesteśmy w defensywie na naszych granicach kontynentalnych, na morzu i w koloniach.

Deklaracja rządowa, rozpływająca się w ckliwych ogólnikach, nie zawierała nic, co wskazywałoby na zrozumienie owej tragicznej sytuacji!

> Rząd nie dopuści, by zagrożono naszym granicom, naszym liniom komunikacyjnym i naszym koloniom. Nie dopuści, aby wpływy obce lub agitacja wywołana przez nie-

pożądanych cudzoziemców, mogła wpływać na całkowitą swobodę jego decyzji!

Pierwsze zdanie było ukłonem pod adresem lewicy, drugie — ukłonem pod adresem prawicy. Jeśli chodzi o „niepożądanych cudzoziemców", nie dotyczyło to bynajmniej narodowych socjalistów, którzy bezkarnie krążyli po Paryżu, podkopując morale Francji. Miało się to odnosić do tych Francuzów, którzy nalegali na udzielenie pomocy Hiszpanii republikańskiej!

I wówczas Georges Bonnet wziął się do dzieła.

Praca była szybka i bardzo staranna. Bonnet wierzył zawsze w magiczną skuteczność dobrze wypchanych kopert, doręczonych pod właściwym adresem. Rozpoczął tedy rozdzielać regularnie subsydia dziennikom i politykom. Za nim, za kulisami stał jeden z najpotężniejszych banków francuskich, bank braci Lazard. Za każdym razem, kiedy fundusze dyspozycyjne zaczynały się wyczerpywać, zjawiali się bracia Lazard wyciągając swą pomocną dłoń. Daladier nie był mniej przebiegły niż Bonnet w swych konszachtach z prasą i opinią. Zdarzało mu się często puszczać pogłoski o nieporozumieniach między nim a Bonnetem. Grał swoją rolę z takim mistrzostwem, że często udawało mu się zmylić tak starego lisa jak minister kolonii, Georges Mandel.

Mandel wiele razy powtarzał mi, że Daladier wart był o wiele więcej niż Bonnet; że był on za polityką oporu i że minister spraw zagranicznych otrzyma wkrótce dymisję. Lecz, jak wielu innych, on także został oszukany przez Daladiera.

Prawie jednocześnie z utworzeniem gabinetu Daladiera dzienniki prawicowe rozpoczęły kampanię przeciwko Czechosłowacji.

G r i n g o i r e kładł w uszy: „Czy chcecie umierać za Czechosłowację?" Wywołał tym powszechne poruszenie. Kampania osiągnęła swój pierwszy punkt szczytowy w chwili

publikacji w Le Temps artykułu profesora Joseph Barthélemy. Tezą profesora było, że traktat wzajemnej pomocy między Czechosłowacją a Francją przestał obowiązywać wskutek uchylenia się Hitlera od zobowiązań ustalonych paktem w Locarno, na którym pakt francusko-czechosłowacki się opierał. Herriot określił tę tezę jako „cios sztyletem w plecy Benesza". Naturalnie, kiedy Stefan Osuski, poseł czechosłowacki w Paryżu, udał się pośpiesznie na Quai d'Orsay, Bonnet zapewnił go, że rząd miał do artykułu stosunek najbardziej negatywny i nadal lojalnie uznaje swe zobowiązania wobec Czechosłowacji.

Nazajutrz po owej rozmowie widziałem się z Osuskim i uprzedziłem go, aby nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do słów Bonneta. Nie byłem w tym odosobniony. Kilku z moich towarzyszy, mających jak najgorsze przeczucia w tym względzie, powiedziało wręcz posłowi czechosłowackiemu, że Bonnet go zdradzi. Ale ufny Osuski nie wierzył ostrzeżeniom, które dochodziły go z różnych stron. Aż do ostatniej chwili, nawet wtedy gdy został już uprzedzony przez członków rządu, był przeświadczony, że Daladier i Bonnet spełnią zobowiązania wynikające z traktatu.

Z drugiej strony kanału La Manche Chamberlain i Halifax pracowali z dużą energią nad uspokojeniem Mussoliniego. 16 kwietnia zostało zawarte porozumienie między Anglią i Włochami. Było ono równoznaczne z uznaniem przez Anglię podboju Abisynii i oficjalnym angielskim błogosławieństwem interwencji włoskiej w Hiszpanii. Porozumienie przewidywało, że Włochy miały wycofać swych „ochotników" z chwilą zakończenia wojny w Hiszpanii. Porozumienie to było swego rodzaju ciosem zadanym Francji, która spodziewała się sama zawrzeć podobny układ z Włochami. W końcu kwietnia zebrała się Rada Ministrów przed wyjazdem Daladiera i Bonneta do Londynu.

Na posiedzeniu nastąpił nieprzyjemny zatarg, który skończył się tym, że ministrowie otrzymali wyraźną instrukcję wiążącą. Mandel, poparty przez kilku innych ministrów, nalegał, aby w Londynie nie angażowano się w żadne zobowiązania, sprzeczne z traktatem francusko-czechosłowackim i paktem francusko-sowieckim. Bonnet grał obrażoną niewinność: „nic podobnego", protestował, „nie powstało w umyśle." Zresztą każda decyzja, powzięta przez Radę, krępowałaby swobodę wyjeżdżających ministrów. Ale Mandel pozostał niewzruszony i koniec końców Daladier i Bonnet otrzymali instrukcje zgodne z jego propozycją. Przed wyjazdem do Londynu Daladier wezwał Osuskiego i powtórzył mu raz jeszcze, że Francja dotrzyma swych zobowiązań.

W Londynie spotkali się dwaj ludzie, których nazwiska związane są nierozerwalnie z ponurym okresem polityki uspokojenia. Daladier i Chamberlain różnili się w wielu punktach pomiędzy sobą. Trupio chudy i kościsty handlarz z Birmingham, o stopach reumatyka i twarzy sępa oraz opasły syn piekarza o melancholijnym wyglądzie, na próżno usiłujący nadać swej kwaśnej minie wyraz napoleoński — cóż za kontrast! Pierwszy był synem słynnego Joe Chamberlaina i przyrodnim bratem ministra spraw zagranicznych, przed którym otwierały się wszystkie drzwi, drugi — małym profesorkiem, który musiał czołgać się i kluczyć przez wszystkie skomplikowane labirynty polityki francuskiej. A jednak w charakterze tych dwóch ludzi tkwiło dziwne podobieństwo. Obaj wierzyli w cudowną skuteczność bezpośrednich rozmów z faszystowskimi dyktatorami. Obydwóm brakowało wyobraźni. Obydwu przerażała myśl, że świat mógłby się zmienić, Chamberlaina — ponieważ był on częścią organiczną panującej warstwy społecznej w Anglii; Daladiera — ponieważ instynktownie, jak ludzie, którzy o własnych siłach wypłynęli z nizin, trzymał się kurczowo przywilejów, które go wyniosły ponad klasy niższe.

Dlatego też, gdy ci dwaj ludzie spotkali się w towarzystwie swych ministrów spraw zagranicznych, Halifaxa i Bon-

neta, nie mieli żadnej trudności w dojściu do porozumienia. Od razu na tej pierwszej konferencji wyraźnie zarysowała się polityka, która miała zaprowadzić ich do Monachium. Oczywiście, nie we wszystkich szczegółach, prawdopodobnie też bez przewidywania, dokąd ich zaprowadzi w ciągu kilku miesięcy następnych. Istniało wiele spraw drobniejszych, na które Daladier i Chamberlain nie patrzyli bynajmniej tym samym okiem. Były one uwarunkowane kilkoma czynnikami: odmiennym położeniem geograficznym, interesami gospodarczymi i problemami wewnętrznymi kraju. Chamberlain miał za sobą większość, którą zapewniała mu partia mająca przewagę w parlamencie. Daladier musiał opierać się na koalicji głosów różnych partii, w różny sposób patrzących na rozmaite zagadnienia publiczne. Ale to wszystko nie było najważniejsze. Dwaj ministrowie byli zgodni, jeśli chodzi o zagadnienie centralne, zgodni w swym przekonaniu o konieczności porozumienia z dyktatorami, co w ich przeświadczeniu było niezbędne do utrzymania istniejącego porządku w Europie. Ta wspólna koncepcja kazała im obu spotkać się na drodze do Monachium. Jeśli nie zdawali sobie sprawy ze wszystkich konsekwencji swej polityki i ze wszystkich koncesji, które mieli uczynić, to w każdym razie byli gotowi przejść spory szmat drogi na spotkanie dyktatorów. Znalazłszy się na tej drodze musieli wlec się nią żałośnie od etapu do etapu.

Podczas tego historycznego spotkania w Londynie Chamberlain przekonał Daladiera i Bonneta, że zwycięstwo Franco było już tylko kwestią dni lub tygodni. Toteż zdecydowali oni połączyć swe wysiłki, aby zagłuszyć wołanie o pomoc, jakie Republika Hiszpańska miała skierować na najbliższą sesję Ligi Narodów.

Co więcej, właśnie w Londynie zrodziła się niedorzeczna idea mediacji między suwerennym rządem czechosłowackim a marionetką Hitlera, Henleinem. Zrodziła się ona z przeświadczenia obu ministrów, że nie potrafią stawić czoła żądaniom Hitlera, gdyby zaatakował on Czechosłowację. Bali się, że w wypadku agresji opinia publiczna zmusi ich do uczestnicze-

nia w konflikcie. Dlatego główną ich troską było przeszkodzenie Hitlerowi w zaatakowaniu Czechosłowacji, nie dlatego, by ocalić ów dzielny, demokratyczny naród, lecz aby go zniszczyć. Ich dążeniem było znalezienie sposobu uniknięcia agresji i przekazania Hitlerowi owoców zwycięstwa bez wojny.

W Londynie Daladier zgodził się również kontynuować politykę swych poprzedników w stosunku do Związku Radzieckiego. Wyrażało się to w odmowie sankcjonowania rozmów między sztabami generalnymi Francji i Związku Radzieckiego.

W zamian za zaakceptowanie propozycji Chamberlaina ministrowie francuscy uzyskali obietnicę, że narady pomiędzy sztabami, francuskim i angielskim, będą się odbywały częściej. Ku wielkiemu niezadowoleniu Anglików prasa inspirowana przez Bonneta ogłosiła, że sojusz wojskowy francusko-angielski został w zasadzie postanowiony. Ale Daladier i Bonnet musieli się dobrze napracować nad przedstawieniem układów w takiej formie, by Rada Ministrów przełknęła najbardziej wątpliwe miejsca.

Po powrocie do Paryża Bonnet wytłumaczył dziennikarzom ze swej kliki, że w odpowiednim momencie psychologicznym wyśle się do Czechosłowacji mediatora.

Natychmiast po zakończeniu tych rozmów nastąpiła pierwsza presja na rząd czechosłowacki. Poseł francuski de Lacroix i poseł brytyjski Newton złożyli wizytę szefowi rządu czechosłowackiego, drowi Hodży, i zmusili do wszczęcia rozmów z agentem hitlerowskim, Henleinem. Henlein, rozzuchwalony postawą Francuzów i Anglików, sformułował żądania Niemców sudeckich w mowie wygłoszonej w Karlsbadzie. Składała się ona z ośmiu punktów; żądał on, ni mniej ni więcej, tylko autonomii dla tej części Czechosłowacji, którą zamieszkiwała mniejszość niemiecka, i prawa zorganizowania tego terytorium na zasadach narodowo-socjalistycznych.

W marcu Liga Narodów została poinformowana o apelu republikańskiej Hiszpanii. Obszerna, nowoczesna sala była wypeł-

niona po brzegi. Minister spraw zagranicznych Hiszpanii, Alvarez Del Vayo, przemawiał w imieniu Republiki Hiszpańskiej. Większość spośród trzynastu ministrów spraw zagranicznych i delegatów, do których się zwracał, nie usiłowała nawet udawać, że go słucha. Republika Hiszpańska domagała się zastosowania 16 artykułu konwencji, który przewidywał zbiorową pomoc przeciw agresji.

Lord Halifax zimnym głosem oświadczył, że Wielka Brytania nie opowie się za propozycją delegata hiszpańskiego. Georges Bonnet podzielił w zasadzie stanowisko Halifaxa. Wypowiedział się on ze słodyczą budzącą niesmak i współczuciem, jeszcze bardziej niesmacznym. Rozpaczliwa, z góry przegrana, walka trwała jeszcze w ciągu trzech posiedzeń. Była to walka tragiczna i patetyczna zarazem. Rezolucja, którą zgłosił Del Vayo, została oddana pod głosowanie. Dwa „nie" Bonneta i Halifaxa padły w śmiertelnej ciszy jak dwa policzki. Napięcie nerwowe słuchaczy dosięgło szczytu. Tylko komisarz spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Maksym Litwinow, podtrzymał sprawę republikanów.

Siedząca koło mnie młoda dziennikarka szwajcarska zaczęła płakać. Del Vayo i jego zastępca opuścili salę śmiertelnie bladzi, ale wyprostowani. Pobiegłem do telefonu, aby nadać wiadomość do swego dziennika.

W kuluarach Bonnet, zakłopotany i w złym humorze, usiłował wytłumaczyć kilku dziennikarzom, że nie mógł postąpić inaczej. Mimo wszystko Francja nie pozwoli, aby Hiszpania stała się łupem Mussoliniego i Hitlera. Ktoś krzyknął: „Pan zamordował Hiszpanię!" Bonnet zbladł i odwrócił się pospiesznie.

W kilka dni później miał próbkę faszystowskiej wdzięczności. W mowie wygłoszonej w Genui duce oświadczył bez ogródek, że Włochy i Francja były „po dwóch przeciwnych stronach barykady". Odnosiło się to w sposób oczywisty do Hiszpanii. Publicyści francuscy, którzy tak często przepowiadali nieuniknione rozpadnięcie się bloku niemiecko-włoskiego, doznali gorzkiego rozczarowania. Duce oświadczył jasno

i otwarcie, że od chwili mobilizacji na przełęczy brennerskiej w roku 1934 do marca roku 1938 „wiele wody upłynęło w Tybrze, Dunaju, Sprewie, Tamizie i Sekwanie. Wszystko, co istniało w polityce pod mianem paktów w Stresie, było dawno umarłe i pogrzebane. Jeśli chodzi o nas — nie zostanie wskrzeszone nigdy".

Jeśli duce pogrzebał front Stresy, nie uczyniły tego bynajmniej pewne koła francuskie. Chociaż mowa Mussoliniego zamknęła na jakiś czas usta jego paryskim adoratorom, zapomnieli oni o tym szybko i rozpoczęli na nowo swe machinacje. Nawet wizyta Hitlera w Rzymie, gdzie został on przyjęty jako triumfator i gdzie dwaj dyktatorzy dali świadectwo trwałości osi Berlin—Rzym, nie zniechęciła paryskich wielbicieli Mussoliniego.

Nastąpiło nowe wydarzenie, które zwróciło powszechną uwagę na Niemcy hitlerowskie. Hitler zgromadził znaczne siły zbrojne na granicy niemiecko-czeskiej. Atak na Czechosłowację zdawał się wisieć w powietrzu. 25 maja 1938 roku rząd w Pradze nakazał częściową mobilizację. Czyżby język dyplomacji miał być zastąpiony przez mowę armat?

Udałem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Quai d'Orsay, gdzie zostałem przyjęty przez wysokiego dostojnika, który zakomunikował mi treść ostatnich depesz ambasadora francuskiego w Berlinie. Potwierdzał on wiadomość o przygotowaniach Niemiec na granicy czeskiej. Ostatnia depesza donosiła, że ambasador Wielkiej Brytanii dał personelowi ambasady zupełnie wyraźne zlecenie przygotowania się do wyjazdu.

W ciągu godzin, które nastąpiły, losy pokoju ważyły się. W obliczu nieoczekiwanego oporu Hitler ustąpił. Atak przeciwko Czechosłowacji został chwilowo odroczony.

Hitler ustąpił tym razem, chociaż postawa Polski, Rumunii i Jugosławii sprzyjała jego planom. Ambasador Polski we Francji, wezwany przez Bonneta, oświadczył kategorycznie, że Polacy nie podtrzymają Francji, jeśli rozpocznie ona wojnę w obronie Czechosłowacji, i że w żadnych okolicznościach

Polska nie zgodzi się na przejście wojsk sowieckich przez jej terytorium. Poseł jugosłowiański nie pozostawił żadnej wątpliwości co do faktu, iż szef rządu w Belgradzie, Stojadinowicz, był szczególnie dumny ze świeżo podpisanego porozumienia między Włochami a Jugosławią. Z tej strony Francja również nie mogła liczyć na pomoc. Wypowiedź ministra rumuńskiego, chociaż mniej emfatyczna niż wypowiedzi, polska i jugosłowiańska, była jednak również pełna rezerwy i zastrzeżeń. Francja nie mogła liczyć również i na Rumunię. Małe państwa miały zbyt świeżo w pamięci lekcję wiedeńską. Naturalnie Bonnet usilnie rozpowszechniał te niepomyślne wiadomości. W ten sposób Hitler dowiedział się o wszystkim, co było przedmiotem rozmów Bonneta z trzema dyplomatami. A jednak nie atakował. Dlaczego?

Winston Churchill oświadczył: „Jeśli uniknęliśmy — jak sądzę — wojny, zawdzięczamy to elementarnemu i wyjątkowemu poczuciu zbiorowego bezpieczeństwa". W istocie coś w tym rodzaju zaznaczyło się w dniu 21 maja: Czesi ogłosili mobilizację i było jasne, że postanowili się bronić. Sensacyjne przygotowania do wyjazdu, poczynione przez ambasadora Wielkiej Brytanii w Berlinie, kazały Hitlerowi przypuszczać, że Francuzi i Anglicy przyjdą z pomocą Czechosłowacji. Nie wątpił on również, że Związek Radziecki pozostanie wierny zobowiązaniom rosyjsko-czechosłowackiego paktu wzajemnej pomocy. Były jeszcze inne powody, które sprawiły, że Hitler zawahał się. Armia niemiecka nie czuła się jeszcze dość silna, by ryzykować konflikt zbrojny. Linia fortyfikacji na granicy francusko-niemieckiej, zwana później Linią Zygfryda, była jeszcze w sferze projektów. Wobec wszystkich tych atutów w rękach przeciwnika Hitler nie odważył się atakować.

Dzień 21 maja mógł się stać decydującą datą w historii Europy; ale dzięki Daladierowi i Bonnetowi pozostał drobnym wydarzeniem bez dalszych konsekwencji. W dwa dni później dzienniki hitlerowskie atakowały „prowokatorów wojennych", którzy rozpowszechniali „kłamstwo, że Niemcy ogłosili mobi-

lizację". Daladier i Bonnet wkrótce przyjęli ten sam punkt widzenia.

Daladier bardzo podrażniony oświadczył kilku deputowanym, którzy go odwiedzili, że w dniu 21 maja nieodpowiedzialna postawa Benesza zawiodła Europę na skraj przepaści. Benesz nie tylko ogłosił mobilizację, grzmiał Daladier, chociaż Niemcy nie ogłosili jej wcale, ale nawet odrzucił żądania Henleina, które przecież były do przyjęcia.

Tego rodzaju taktyka musiała pociągnąć za sobą odpowiednie skutki. Dziesiątego czerwca rząd w Pradze uznał żądanie Henleina za podstawę do pertraktacji. Powoli, lecz w sposób nieubłagany, otwierała się furtka do oficjalnej penetracji narodowych socjalistów w obrębie ostatniej demokracji środkowej Europy.

Zadawszy dotkliwy cios moralny Czechom, Bonnet i Daladier zwrócili się ku Hiszpanii. Na początku czerwca Bonnet miał długą konferencję z b. premierem Flandinem. 11 czerwca Flandin wygłosił znamienne przemówienie oświadczając, że wojna w Hiszpanii stanowiła:

> ...największe zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa Francji, że jest rzeczą niewiarogodną, aby mniejszość polityczna, mniej lub więcej inspirowana przez Moskwę, narzucała narodowi ryzyko przedłużającej się wojny, sprzecznej w sposób oczywisty z interesami Francji. Naród francuski nie ścierpi, aby Front Ludowy, który stał się w ciągu dwóch lat przyczyną tylu klęsk, dorzucił do nich klęskę wojny.

W dwa dni później Daladier dał rozkaz hermetycznego zamknięcia granicy francusko-hiszpańskiej. Republika Hiszpańska stała się ofiarą całkowitej blokady. Następnie Daladier stanął przed komitetem wykonawczym swojej partii i oświadczył:

> Będziemy się trzymali polityki nieinterwencji, ponieważ chcemy, aby o losie Hiszpanii rozstrzygnęli sami Hiszpanie.

Czyniąc nową próbę odparcia ataków frankistów, oddziały republikańskie po dobrze przygotowanej ofensywie przekroczyły Ebro. Pewien deputowany z partii radykalnej oświadczył, że Georges Bonnet nieomal zachorował z wściekłości, kiedy dowiedział się o tym poważnym sukcesie republikanów.

W ciągu kilku dni lipca zagadnienia dotyczące Hiszpanii i Czechosłowacji zostały wyparte ze szpalt dzienników przez wydarzenie całkiem innego rodzaju i o charakterze najzupełniej pokojowym. Paryż oczekiwał wizyty królewskiej pary brytyjskiej.

Miasto światła przybrało swój najbardziej uroczysty wygląd. Udekorowane było sztandarami i skąpane w morzu barw. Setki tysięcy widzów, trochę ciekawych, trochę dumnych, ściągnęło, by wyrazić gościom prawdziwe uczucia Paryża. Ministra spraw wewnętrznych, Sarrauta, mniej interesował entuzjazm tłumów, a bardziej przedsięwzięcie należytych kroków bezpieczeństwa. Nie zapomniał on o morderstwie popełnionym w Marsylii. Tak samo jak wówczas, kazał zatrzymać i pozamykać na pewien czas tysiące antyfaszystów, zwłaszcza uciekinierów niemieckich i włoskich. Kiedy król Jerzy VI i królowa Elżbieta przemierzali wspaniale udekorowane ulice Paryża, mogli dostrzec dziesiątki tysięcy żołnierzy i policjantów i setki tysięcy paryskiego ludu. Ale lud paryski odgrodzony był zwartym kordonem zbrojnych oddziałów.

Jedne za drugimi następowały rewie, uroczystości, wspaniałe przyjęcia. Najpiękniej pomyślany wieczór odbył się na Quai d'Orsay, gdzie madame Bonnet doczekała się realizacji swoich najśmielszych marzeń: przyjmowała parę królewską. Ale za tymi błyskotliwymi kulisami wszystko odbywało się zwykłym trybem. W tym samym tygodniu Daladier i Bonnet spotkali się z Chamberlainem i Halifaxem celem wyznaczenia człowieka, który by pojechał do Pragi w charakterze mediatora między rządem czeskim a grupą opozycyjną, kierowaną najniewątpliwiej w świecie przez obce mocarstwo. Ministro-

wie brytyjscy zaproponowali lorda Runcimana. Był on znany ze swego nastawienia germanofilskiego. W czasie pierwszej wojny światowej należał do gabinetu Asquitha. Jako bogaty przemysłowiec, lord Runciman utrzymywał bliskie stosunki z wielkimi przemysłowcami niemieckimi. Zapewne te właśnie „przymioty" skłoniły Chamberlaina do tego wyboru.

Lord Runciman przybył do Pragi 4 sierpnia. Inicjatywa w sprawie czeskiej przeszła całkowicie w ręce Anglików. Sojusz francusko-czeski nie był w ogóle przez lorda Runcimana brany pod uwagę. Przebieg misji tej śledziło z głębokim zainteresowaniem kilku dziennikarzy francuskich, zwalczających tendencję polityki uspokojenia. Jeden z nich powiedział: „Jeśli lord Runciman nie wykaże największej ostrożności, może z łatwością stworzyć przepaść, w którą stoczy się Europa pochłonięta przez Niemców."

Napięcie wzrosło. Hitler nakazał mobilizację przeszło półtora miliona ludzi, którzy musieli pozostać pod bronią co najmniej przez dwanaście tygodni. Około pół miliona Niemców zostało oderwanych od swych warsztatów i przetransportowanych w ciągu nocy na granicę francuską. Zażądano od nich, aby przyśpieszyli budowę przedmurza zachodniego, linii Zygfryda — na granicy zachodniej. Prasa hitlerowska nadała sensacyjny rozgłos tej mobilizacji i gorączkowym pracom, jakich dokonywano w strefie fortyfikacyjnej. Wojna nerwów pogłębiała się. Jaka była odpowiedź Francji? Mobilizacja? Nie, — przemówienie Daladiera.

21 sierpnia szef rządu mówił przez radio. Przemówienie jego nie pokrzepiło bynajmniej Czechów. Nie było w nim ani jednego słowa, które by podtrzymywało ich na duchu w ich ciężkiej sytuacji. Była natomiast jasna aluzja pod adresem Hitlera. Premier francuski oświadczył, że gotów jest uczynić wszystko, aby tylko się z nim spotkać. „Jako dawny żołnierz frontowy — powiedział — postanowiłem nie pominąć niczego, byle nie dopuścić do zniszczenia cywilizacji europejskiej". Nie były to słowa obliczone na zahamowanie grożącej agresji.

To ogłoszone przez radio przemówienie było także decydującym zwrotem we francuskiej polityce wewnętrznej. Oznaczało ostateczne zerwanie Daladiera z lewicą. Mówił on o tym, jak ucierpiał handel krajowy, jak cierpiały warstwy średnie, a zwracając się następnie do klasy robotniczej, oświadczył kategorycznie: Francja musi się wziąć do pracy."

Wyjaśnił, co oznaczało to zagadkowe zdanie. — Uchylenie najważniejszej z niedawno przeprowadzonych we Francji reform socjalnych — czterdziestogodzinnego tygodnia pracy. Ta ważna zdobycz francuskiej klasy robotniczej miała być obalona. Francja miała pracować 48 godzin na tydzień, a nawet więcej, jeśli zajdzie potrzeba, a godziny nadliczbowe — dorzucił — nie będą nadal opłacane „według obecnych wygórowanych stawek".

Kiedy gabinet Bluma uchwalił 40-godzinny tydzień pracy, Daladier był wicepremierem. Obecnie sprzymierzał się on z reakcjonistami, którzy uskarżali się na „niepowetowane straty we francuskiej produkcji, wynikające z socjalnego ustawodawstwa Frontu Ludowego". Wyrażał swą zgodę i poparcie dla ulubionej teorii wielkiego przemysłu, że jeśli kapitał miał współdziałać w szybkim uzbrojeniu kraju, należało mu zapewnić najwyższą zyskowność. Daladier nie brał pod uwagę sabotażu, jaki stosował w produkcji wielki przemysł. C.G.T. ogłosiło szczegółowy i rewelacyjny raport, który wskazywał, w jaki sposób kapitaliści usiłowali udowodnić, że nacjonalizacja zakładów zbrojeniowych zmniejszyła ich wydajność. Kiedy produkcję broni oddano pod kontrolę państwa, większość dawnych właścicieli i dyrektorów została nadal na stanowiskach w swoich zakładach. Nie uczynili oni żadnego poważniejszego wysiłku, aby ożywić produkcję. Daladier nie znalazł dla nich słowa krytyki. Ani dla chaosu i dezorganizacji, zwłaszcza w fabrykach lotniczych, gdzie ustawiczne zmiany modeli wywoływały bezczynność robotników, trwającą nieraz długie tygodnie. Nie zrobił też aluzji do ukrytych ataków na francuską walutę ze strony dwustu rodzin. I nie po-

wiedział ani słowa na temat ich ustawicznych konszachtów z dyktatorami.

Daladier wiedział bardzo dobrze, że około 3 milionów robotników, wśród nich duża liczba specjalistów, tworzyło armię bezrobotnych. Jeśli nawoływało się robotników do pracy, należało wezwać najpierw tych, którzy nie życzyli sobie niczego bardziej niż końca demoralizujących skutków przymusowej bezczynności. Zamiast tego — ogłaszano przedłużenie czasu pracy.

Daladier zdecydował się na stanowczy rozbrat ze swymi sojusznikami z lewicy, którzy na nowo umożliwili mu dojście do władzy. Front Ludowy był dla niego tylko wygodnym środkiem, który pomógł mu stanąć na czele rządu. Obecnie chciał on być panem. Nie lubił, jeśli mu przypominano o programie, którego poprzysiągł bronić, o zobowiązaniach, które zaciągnął. Program był dla niego świstkiem papieru, ale władza, władza w rękach, to było co innego. Spodziewał się, że Front Ludowy uczyni z niego i z jego partii najpotężniejsze czynniki francuskiego życia politycznego. Kiedy Blum i socjaliści podali się do dymisji, zachował pozory lojalności. Ale w głębi duszy żywił do Frontu Ludowego nieopanowaną i głęboką niechęć.

W ciągu pierwszych miesięcy swoich rządów Daladier zdawał sobie sprawę, że sytuacja daje mu w ręce poważne atuty. Prawica poszukiwała człowieka, który by z powodzeniem mógł się przeciwstawić Frontowi Ludowemu i który by zahamował jego rozrost. Przyjęcie przez prasę wskazywało, że była gotowa uznać w nim „człowieka chwili". W rzeczywistości spodziewała się uczynić z niego powolne sobie narzędzie. Daladier ze swej strony spodziewał się, że to prasa będzie narzędziem w jego ręku. Zdawał sobie dobrze sprawę, że potrzebowała go ona w tym samym stopniu, w jakim on jej potrzebował. Nie dokuczała mu codziennymi ukłuciami na temat programów i obietnic, które uczynił w przeszłości. Przeszłość była przeszłością. Skłonna mu była ją darować za cenę atako-

wania lewicy. W sytuacji, jaka nastąpiła, nie było człowieka, który byłby gotów to uczynić. Mógł to uczynić tylko Daladier.

Jeśli chodzi o samego Daladiera, był on zawsze bliższy prawicy aniżeli lewicy. Okoliczności zadecydowały, że stał się jednym z najwybitniejszych przedstawicieli lewicy i kozłem ofiarnym ugrupowań prawicowych. Od czasów swej pierwszej teki ministerialnej, w roku 1933, usiłował pozbyć się socjalistów i porozumieć się z prawicą. Wówczas sytuacja do tego jeszcze nie dojrzała. Stało się to obecnie. Mógł się związać z tymi, do których zawsze czuł sympatię. Nie schodząc do podrzędnej roli, mógł obecnie rzucić radykałów w objęcia prawicy. Po raz pierwszy w historii partia radykałów mogła ukazać swą właściwą ideologiczną podszewkę, a mimo to pozostać przy władzy.

Wielu polityków radykalnych myślało tak jak Daladier. Mieli oni dosyć Frontu Ludowego. Propaganda hitlerowska, wspomagana przez elementy tzw. pacyfistyczne, poczyniła wielkie postępy w ośrodkach kierowniczych partii radykałów. Dziwnym zrządzeniem losu inicjatorzy obecnego kierunku byli najzagorzalszymi zwolennikami polityki uspokojenia. W wyniku pewnej niedyskrecji dowiedziano się, dlaczego Daladier postanowił wygłosić owo przemówienie. Zostało ono ustalone w toku konferencji, na której zebrali się: były prezes Rady Ministrów, Joseph Caillaux, Anatole de Monzie i Martinaud Déplat, były deputowany radykalny. Caillaux długo tłumaczył, że sytuacja kraju wymaga, aby Francja nie została wciągnięta w wojnę, nawet dla obrony sojuszników czechosłowackich. Caillaux był stanowczy. Francuzi nie będą bić się za Czechów; dlatego był on bezwzględnie za zawarciem porozumienia z Hitlerem. Dorzucił, że obecna koniunktura powinna być wykorzystana nie tylko do wyjaśnienia stosunków francusko-niemieckich, ale także do „wprowadzenia porządku w samej Francji". Wydawało mu się, że chwila jest w najwyższym stopniu odpowiednia, by obalić ustawodawstwo socjalne Frontu Ludowego, budzące najwyższą niechęć w senacie.

Daladier początkowo słuchał w milczeniu propozycji Caillaux. Sądził, że ofensywa na 40-godzinny tydzień pracy wzburzyłaby w sposób zbyt niepokojący klasę robotniczą przeciwko rządowi i mogłaby doprowadzić do zamieszek, które w danej sytuacji wydawały się jak najbardziej niepożądane. W końcu jednakże wyraził swoją zgodę i powierzył Martinaud-Déplat przygotowanie projektu przemówienia.

Wystąpienie Daladiera wstrząsnęło głęboko ludnością Francji. Odczuła to jako cios w plecy. Zdenerwowanie osiągnęło takie napięcie, że ministrowie pracy i robót publicznych podali się do dymisji. Daladier zastąpił ich dwoma ludźmi z tej samej partii — z Unii Socjalistyczno-Republikańskiej. Nowym ministrem pracy był Charles Pomaret, który swą karierę zawdzięczał w znacznej mierze pełnej uroku żonie. Ministrem robót publicznych został de Monzie, adwokat równie świetny i cieszący się powodzeniem, co pozbawiony skrupułów. Był to przyjaciel Lavala, wielbiciel Mussoliniego, zacięty przeciwnik Czechów i jeden z najbardziej szczwanych lisów spośród polityków francuskich. Wejście jego do rządu miało niewątpliwie charakter programowy. Wzmacniało zdecydowanie obóz polityki uspokojenia.

Teraz przyszła kolej na Bonnetà: jemu przypadło wykonać zręczny manewr. 4 września w Pointe de Grave miano odsłonić pomnik ku czci oddziałów amerykańskich, które wylądowały we Francji w roku 1917.

Przemawiając przed Bonnetem ambasador Stanów Zjednoczonych oświadczył: „Gdyby wojna miała na nowo wybuchnąć w Europie, nikt nie mógłby przewidzieć, czy Stany Zjednoczone zostałyby do niej wciągnięte, czy nie." Wówczas Bonnet wypowiedział słowa, które wywołały żywe poruszenie w Ameryce. Odwołując się do przyjaźni francusko-amerykańskiej powiedział: „Nie można odmówić pomocy przyjacielowi, który znajduje się w niebezpieczeństwie." Były to odważne słowa w ustach francuskiego ministra spraw zagranicznych, zwłaszcza gdy tym ministrem był Georges Bonnet, który nie szczędził sobie trudu, aby zmniejszyć szanse pomo-

cy, na którą mogła liczyć Francja ze strony Stanów Zjednoczonych w wypadku wojny. Dlaczego zatem je wypowiedział? Paul Reynaud, uderzony wstrzemięźliwym tonem Amerykanów, utrzymywał, że Bonnet postąpił w ten sposób dla wywołania oficjalnego dementi ze strony Stanów Zjednoczonych. Mógłby później posługiwać się nim szachując w rządzie „zwolenników wojny". Inny minister wyraził w rozmowie ze mną to samo przekonanie.

Bonnet oświadczył również w tym samym przemówieniu, że Francja dotrzyma obietnic udzielonych Czechosłowacji. Uczynił to pod silną presją Georges'a Mandela, który zagroził dymisją, jeżeli minister spraw zagranicznych nie wspomni w swojej mowie o tym zobowiązaniu. Była to od chwili dojścia Daladiera do władzy siódma oficjalna deklaracja, iż Francja pozostanie wierna zobowiązaniom wynikającym z traktatów.

Dnia 5 września obsadzono linię Maginota. Zmobilizowano około 80 tysięcy specjalistów.

Nazajutrz podwójny efekt oświadczenia Bonneta i zarządzeń wojskowych został zmarnowany wskutek artykułu Emila Roche'a w jego dzienniku La République. Roche pisał: „Jeżeli Czesi i Niemcy nie mogą żyć razem w ramach wspólnego państwa czeskiego, należy tedy ich rozdzielić." Więzy łączące Roche'a, przewodniczącego partii radykalnej w okręgu północnym, z Daladierem i Bonnetem były powszechnie znane. Wiadomo było, że bez subsydiów tych dwóch mężów stanu La République nie mogłaby istnieć. Było to jedno z pism tzw. „poufnych", czytanych wyłącznie w środowisku politycznym, ponieważ uważano je za półoficjalny wyraz poglądów premiera.

Organ Chamberlaina w Anglii, The Times, ogłosił w dniu 7 września artykuł w tym samym duchu.

8 września nastąpiło w Norymberdze otwarcie dorocznego zjazdu partii hitlerowskiej. Quai d'Orsay otrzymało z kilku

źródeł wiadomości, że w dniu 13 września, w którym Hitler wygłosi przemówienie, zostanie wydany rozkaz zaatakowania Czechosłowacji. Jak zaznaczyłem wyżej, temu właśnie Daladier i Chamberlain usiłowali za wszelką cenę w jakiś sposób zapobiec. Nie mogliby dogadać się z Hitlerem, jeżeliby atak nastąpił. Gdyby Hitler sprowokował powszechne oburzenie we Francji i Anglii, byliby i oni zapewne zmuszeni do działania. Wówczas Neville Chamberlain zdecydował się na śmiały krok i oświadczył, że Wielka Brytania nie pozostanie na uboczu, jeżeli Francja będzie zagrożona. Było niesłychanie ważne, aby Niemcy to zrozumiały; nie mogły one przedsięwziąć szybkiej i zwycięskiej operacji wojennej przeciw Czechosłowacji, bez obawy interwencji Francji, a nawet Wielkiej Brytanii.

To oświadczenie dało kilka cennych dni zwłoki Bonnetowi, wystarczających do ukończenia jego rozkładowej roboty.

Przede wszystkim trzeba było podważyć zaufanie do Związku Radzieckiego jako sojusznika Czechosłowacji i przedstawić sprawę pomocy Czechom jako niepewną. Bonnet udał się do Genewy na spotkanie z Litwinowem. Sowiecki komisarz spraw zagranicznych zaproponował wspólne wystąpienie Anglii, Francji i ZSRR w obronie Czechów i zastosowanie 11 artykułu statutu Ligi Narodów. Na propozycję tę ani nie odpowiedziano, ani nie potwierdzono jej otrzymania.

Dnia 12 września, po powrocie z Genewy, Bonnet powiadomił gabinet, że ZSRR nie był bynajmniej gotów do wypełnienia swych zobowiązań, że Litwinow zasłonił się klauzulą traktatu sowiecko-czechosłowackiego, który uzyskanie pomocy Rosji Sowieckiej uzależniał od zgody Ligi Narodów; że Rumunia nie zgadzała się na przemarsz Armii Czerwonej.

Jednocześnie Bonnet rozwodził się nad złym stanem armii sowieckiej. Podzielił się ze swymi kolegami „poufną" wiadomością, że Armia Czerwona była absolutnie nie przygotowana do wojny. Źródłem informacji był japoński attaché wojskowy.

Twierdzenie Bonneta, że Związek Radziecki uchylał się od swych zobowiązań, zostało określone przez ambasadora sowieckiego w Paryżu, Surycza, jako bezecne kłamstwo.

Oświadczył on jednemu z członków rządu, że Litwinow domagał się uchwały Ligi Narodów tylko w tym celu, aby zmienić nieprzejednane stanowisko Rumunii.

W przemówieniu wygłoszonym później w Chicago prezydent Benesz stwierdził, że Rosjanie ofiarowywali Czechom swą pomoc nawet w wypadku, gdyby jej Francja odmówiła.

Nazajutrz, 13 września, Hitler miał wygłosić swe przemówienie na zjeździe w Norymberdze. Było ono pozornie głównym wydarzeniem dnia. Świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na słowa führera. W rzeczywistości w dniu tym wydarzyła się rzecz o wiele ważniejsza. W Paryżu na posiedzeniu Rady Ministrów Bonnet pozyskał większość w rządzie dla polityki kapitulacji przed Hitlerem. Pozyskał ją podając do wiadomości ministrów to, co nazwał skrótem raportu generała Gamelina na temat francuskich sił zbrojnych. Według tego resumé armia francuska, zwłaszcza lotnictwo, była o tyle słabsza od niemieckiej, że nie mogła ryzykować konfliktu zbrojnego. Logiczna konkluzja — to stwierdzenie, iż położenie wojskowe Francji było rozpaczliwe. Na czyjeś pytanie, czy resumé nie oceniało sprawy w sposób jednostronny, Bonnet odpowiedział, że raport Gamelina dotyczył „wszystkich punktów zasadniczych".

Raport uczynił naturalnie głębokie wrażenie na zgromadzeniu. Tylko sześciu ministrów przeciwstawiało się defetystycznej postawie Bonneta. Większość poparła go. Daladier nie uczynił nic, aby złagodzić efekt wystąpienia Bonneta. Prezydent Lebrun poparł z całego serca ministra spraw zagranicznych.

Tego samego dnia wydarzyły się dziwne rzeczy. Daladier spotkał się dwa razy z ambasadorem brytyjskim, a Bonnet jeden raz. Bonnet powiedział sir Erykowi Philipsowi, że Francja nie była zdolna do walki. I aby go o tym przekonać, przeczytał mu owo słynne resumé.

Tego samego wieczora Daladier połączył się telefonicznie z Chamberlainem, proponując mu nawiązanie bezpośredniego kontaktu z führerem.

14 września dowiedziano się, że premier Chamberlain uda się samolotem do Berchtesgaden, aby spotkać się z Hitlerem.

15 września Hitler w Berchtesgaden zażądał od Chamberlaina, aby we wszystkich tych okręgach Czechosłowacji, gdzie Niemcy stanowili większość, zorganizowano plebiscyt w sprawie przyłączenia tych terytoriów do Rzeszy Niemieckiej. Chamberlain przyrzekł dać odpowiedź na to żądanie w ciągu ośmiu dni.

W przemówieniu wygłoszonym dwa dni przedtem Hitler oświadczył, że Benesz powinien był dojść do porozumienia z Henleinem w ramach państwa czeskiego, ale obecnie, w obliczu tego rodzaju kapitulacji, postawił twardsze warunki. 18 września Mussolini oświadczył publicznie, że w razie konfliktu „Włochy już dokonały wyboru".

Tego samego dnia na konferencji w Londynie Chamberlain, Halifax, Daladier i Bonnet zgodzili się, iż wszystkie okręgi w Czechosłowacji, których ludność liczyła ponad 50% Niemców, zostaną oddane Hitlerowi bez plebiscytu. Było to więcej, niż Hitler żądał.

Nazajutrz po konferencji w Londynie Emil Roche, rzecznik Daladiera, oświadczył w La République:

> Mówią nam, że Praga nie zgodzi się ani na plebiscyt, ani na oddanie Sudetów. Jeśli bierze za to odpowiedzialność, jest to jej sprawa. Nie znamy tego rodzaju traktatu, który by zobowiązał nas do wystąpienia w takim wypadku.

Blum zaś w Le Populaire napisał:

> Wojny prawdopodobnie uniknęliśmy, lecz przy takich okolicznościach, że nie mogę odczuwać radości. Waham się pomiędzy niegodnym uczuciem ulgi a wstydem.

Francuska Rada Ministrów zebrała się i zaakceptowała decyzję Londynu. Na skutek nalegań Mandela i Reynauda postanowiono, że na rząd czeski nie będzie wywierana żadna presja. Po zebraniu Bonnet wezwał ambasadora Czechosłowacji. W godzinę później Stefan Osuski opuszczał Quai

d'Orsay. Był to człowiek złamany: „Widzicie, panowie, przed sobą skazańca, którego osądzono nie wysłuchawszy go nawet" — oświadczył dziennikarzom, którzy go oczekiwali. Było to głęboko tragiczne widowisko.

A oto w jaki sposób nie została „wywarta żadna presja na Czechów".

19 września decyzje londyńskie zakomunikowano w specjalnej nocie rządowi czeskiemu. Lud francuski dowiedział się o ich pełnej treści dopiero w tydzień później.

20 września rząd czeski odrzucił propozycję londyńską. Tegoż wieczora ambasador brytyjski, Newton, poinformował rząd w Pradze, że „jeśli będzie obstawał przy swojej odmowie, rząd brytyjski przestanie się interesować jego losem". Ambasador francuski, de Lacroix, zajął identyczne stanowisko.

21 września o godzinie drugiej w nocy prezydent Benesz został obudzony przez dwu ambasadorów, którzy wystąpili z piątą z kolei démarche w ciągu 24 godzin. Śpieszyli się, ponieważ tydzień, w ciągu którego Chamberlain obiecał dać odpowiedź Hitlerowi, dobiegał końca. Przynosili ultimatum:

> Jeżeli na skutek negatywnego stanowiska rządu czeskiego wybuchnie wojna, Francja powstrzyma się od jakiegokolwiek działania i w wypadku takim Czechosłowacja będzie odpowiedzialna za sprowokowanie wojny. Jeśli Czesi połączą swe siły z Rosjanami, wojna może stać się krucjatą antybolszewicką, z której trudno będzie rządowi francuskiemu i angielskiemu się wyłączyć.

Treść tego ultimatum podana została do wiadomości publicznej przez czeskiego ministra propagandy dopiero po Monachium. Zażądawszy od ambasadorów pisemnego zredagowania ich oświadczeń Benesz zebrał czeską Radę Ministrów. Wobec ultimatum swego sojusznika, Francji, rząd czeski przyjął propozycje.

Tego samego dnia Bonnet poinformował francuską Radę Ministrów, że Czesi przyjęli bez nacisku propozycje fran-

cusko-brytyjskie. W chwili, w której to oświadczał, ulicami Pragi maszerowali manifestanci krzycząc: „Precz z Francją!" Przed ambasadą francuską rósł stos zerwanych francuskich medali i odznaczeń. Szef francuskiej misji wojskowej, generał Faucher, podał się do dymisji odsyłając swe odznaczenia wojskowe i wstępując do armii czeskiej.

Kilku członków gabinetu francuskiego złożyło dymisję Daladierowi, powierzając mu ogłoszenie jej w momencie, który uzna za stosowny.

Reakcyjna prasa francuska przyjęła decyzję rządu z gorącym entuzjazmem. Na kolumnach tych dzienników roiło się od artykułów na cześć Bonneta. Organ lewicowych radykałów L'Oeuvre, który przez długi czas był przeciwny „ukłonom radykałów w stronę prawicy", połączył się ze zwolennikami polityki uspokojenia. Jego redaktor, Jean Piot, opublikował długi artykuł, sławiący Bonneta jako obrońcę pokoju. Tegoż wieczora w pewnej kawiarni Piot zwierzył się kilku towarzyszom, że otrzymał za ów artykuł 20.000 franków.

22 września Chamberlain poleciał samolotem do Godesbergu, aby dotrzymać obietnicy udzielonej Hitlerowi. „Bitwa w Godesberg", jak ją nazwano w prasie zwolenników polityki uspokojenia, trwała dwa dni. Wobec nowych, jeszcze gwałtowniejszych, żądań führera, Chamberlain musiał, przynajmniej pozornie, stawić opór.

Korespondent nasz telefonował z Godesbergu, że rozmowy przewlekały się, że Chamberlain nie chciał ustąpić. Doniósł on nam także, że rozważana była sprawa nowej konferencji, w której brałyby udział Włochy i Francja.

Im bardziej przedłużały się dyskusje w Godesbergu, tym bardziej podnosiła się temperatura polityczna w Paryżu. Usiłowano obalić rząd. Kilku ministrów, którzy złożyli na ręce Daladiera dymisję, wystąpiło z propozycjami pod adresem przewodniczącego senatu, Jeanneney. Herriotowi, przewodniczącemu Izby, sugerowano również możliwość utworzenia nowego rządu. Blum i jego były minister spraw zagranicznych, Delbos, posunęli się aż do nawiązania kontaktu z przed-

stawicielem skrajnej prawicy, byłym premierem André Tardieu. Ambasadorowi czeskiemu, Osuskiemu, złożyło wizyty wielu ministrów i deputowanych. Zaklinali go, aby zachęcał rząd czeski do oporu.

W dniach, które nastąpiły, los gabinetu Daladiera zdawał się być przesądzony. Komuniści żądali zwołania parlamentu. Wydawało się pewne, że gdyby doszło do głosowania w Izbie, większość nie chciałaby lub nie mogła poprzeć intryg Bonneta i Daladiera. W tym rozstrzygającym momencie Albert Chichéry, szef grupy radykałów w parlamencie, uratował sytuację rządu. Skłonił on większość deputowanych radykałów do przeciwstawienia się zwołaniu parlamentu.

Krążyły dwie wersje, tłumaczące, dlaczego taktyka Chichéry'ego okazała się skuteczna. Według jednej, Bonnet po prostu kupił kilku chwiejnych radykałów i dał im dyrektywę, aby występowali przeciwko zwołaniu sesji obu Izb. Według drugiej, Daladier miał zagrozić rozwiązaniem Izby i odwołaniem się do narodu w drodze referendum zawierającego pytanie: „Pokój czy wojna". Jednakże pod presją sztabu generalnego uchwalona została we Francji częściowa mobilizacja, powołująca pod broń 600 do 700 tysięcy ludzi.

Lord Halifax tymczasem podał do wiadomości Czechom, że od tej chwili nie może brać na siebie odpowiedzialności za powstrzymywanie ich od mobilizacji.

24 września Chamberlain wrócił z Godesbergu. Mówiono, że nie mógł osiągnąć porozumienia z Hitlerem. Zdawało się, że grozi wojna.

Tego samego dnia rozpoczęła się ucieczka z Paryża. Ludzie, zwłaszcza bogaci, dziesiątkami tysięcy opuszczali w pośpiechu stolicę. Telefon mój dzwonił bez przerwy: przyjaciele, znajomi dzwonili, by się ze mną pożegnać. Wczesnym popołudniem redaktor mój omawiał z personelem sprawę ewakuacji dziennika, jeśli wybuchnie wojna. Mówiono, że rząd przeniesie się do Clermont-Ferrand albo do Tours. Szef administracji zawarł porozumienie z jedną z prowincjonalnych drukarni co do możności wydawania pisma. Mówiono,

że wielkie dzienniki będą się ewakuowały razem z rządem. Wszystko to było dosyć ponure. Tego samego dnia Bonnet wystąpił z planem kontrofensywy. Jak wyjaśnił później Flandin, dwóch ludzi zawarło wówczas porozumienie. Flandin miał wygłosić apel do ludu francuskiego w sprawie pokoju; André Delmas, przewodniczący wpływowego związku zawodowego nauczycieli, miał uczynić to samo. Delmas spodziewał się uzyskać od swego komitetu wykonawczego zezwolenie na publikację energicznego manifestu przeciwko wojnie, który byłby rozesłany po całym kraju. Środki na najszersze rozpowszechnienie apelu Flandina zostały dostarczone przez Bonneta.

25 września Rada Ministrów zebrała się dla przedyskutowania stanowiska, jakie mieli zająć Daladier i Bonnet w Londynie, dokąd zostali na nowo wezwani przez Chamberlaina. Zdecydowano, że należy zgodzić się na pierwotne propozycje londyńskie: ustąpienie przez Czechosłowację okręgów, liczących ponad 50% Niemców; należało natomiast nalegać, aby nie domagano się od Czechów niczego więcej. Zobowiązano również Bonneta do interweniowania u rządu polskiego, aby zaprzestał swej wrogiej akcji w stosunku do Republiki Czechosłowackiej.

Nieco później Bonnet powiedział jednemu z dziennikarzy, który mu towarzyszył, że gdyby wyłoniła się jakaś trudność, zwrócono by się do Mussoliniego o przybycie w charakterze mediatora. „Jestem pewien, że nie będzie wojny — oświadczył Bonnet. — Nie ma pan po co wysyłać rodziny".

26 września Hitler wygłosił przemówienie na wielkim zgromadzeniu w Pałacu Sportowym w Berlinie. Pełen oburzenia i pogardy obrzucił obelgami Benesza i kraje demokratyczne. Wypowiedział kilka krótkich komplementów pod adresem Chamberlaina. Potem uczynił jedną z tych obietnic, które miał zawsze w zanadrzu, lecz których nie miał zamiaru nigdy dotrzymać.

Terytorium Sudetów jest moją ostatnią rewindykacją terytorialną w Europie. Uregulowawszy problem sudecki

nie będę interesował się więcej państwem czeskim. Jestem nawet gotów zagwarantować jego granice.

Tegoż dnia ogłosiło komunikat brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych; w jego części zasadniczej czytało się:

Zwrot Niemcom terytoriów sudeckich został już postanowiony przez rządy: francuski, brytyjski i czechosłowacki. Ale gdyby — mimo wysiłków premiera brytyjskiego — Czechosłowacja stała się przedmiotem ofensywy niemieckiej, „Francja przyszłaby jej natychmiast z pomocą, a Wielka Brytania i Rosja stanęłyby niewątpliwie u boku Francji.

Była to deklaracja o ogromnym znaczeniu. Dawała ona ludowi francuskiemu realny obraz sytuacji. Cicha kampania szerząca opinię, iż Francja była osamotniona, poczyniła znaczne postępy. Deklaracja owa wykazywała w całej pełni, że Francja mogła liczyć na pomoc Rosji i Anglików. Gdyby Hitler zaatakował Czechosłowację, musiałby walczyć z armią francuską, czeską i rosyjską oraz z flotą francuską i brytyjską. Bez względu na to, co czynił Bonnet, lud francuski miał jasny obraz rzeczywistego układu sił w owej rozgrywce. W tych warunkach mógł z tego wyciągnąć tylko wnioski korzystne dla Francji.

Wobec tego Bonnet postawił sobie zadanie zniweczenia wszelkich możliwych skutków tego komunikatu.

27 września dzienniki prawicowe w myśl dyrektyw Bonneta oświadczyły, że rzekomy komunikat londyński był wiadomością fałszywą. Kiedy zapytano o tę sprawę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, odpowiedziano, że brak na ten temat jakichkolwiek danych.

Tego samego dnia Daladier przyjął delegację deputowanych prawicowych, przybyłych w sprawie deklaracji londyńskiej. Pokazał im notę Bonneta mówiąc, że deklaracja ta „pochodziła od nieodpowiedzialnego urzędnika z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych". Skutki deklaracji w White Hall zostały obrócone wniwecz, sprowadzone do zera.

Jednocześnie agencja Hawasa doniosła z Niemiec, że Hitler zarządził powszechną mobilizację na godz. 14 dnia 28 września. I znów, zgodnie z instrukcjami Bonneta, prasa zwolenników polityki uspokojenia zaczęła szczekać, że wiadomość ta była wymysłem agentów Moskwy, którzy chcieli wciągnąć kraj do wojny. Powracała ona na swe stare pozycje, a Quai d'Orsay oświadczyła, że brak jakiegokolwiek potwierdzenia tej wiadomości.

W całym kraju zostały rozlepione odezwy o sensacyjnej treści.

> Francuzi, oszukują was! Front Ludowy wciąga was w wojnę i rozgłasza fałszywe wiadomości pragnąc, byście uwierzyli, iż wojna jest nieunikniona.

Odezwy te, podpisane przez Flandina, protestowały przeciwko mobilizacji. W kilka godzin później zostały zdarte.

Pojawiły się również podobne odezwy syndykatu nauczycieli, głoszące, że:

> ...jest rzeczą niedopuszczalną, aby ze względów proceduralnych lub prestiżowych mężowie stanu mogli zerwać toczące się rokowania.

Z Londynu Chamberlain zadepeszował do prezydenta Benesza, że Hitler miał zamiar uderzyć na Czechosłowację w dniu 28 września. Tej nocy premier brytyjski wygłosił przemówienie przez radio.

Słuchaliśmy tego przemówienia w gabinecie mego redaktora. Gdy ukończył, większość z nas miała wrażenie, że Anglia i Francja lada moment ustąpią. Zawierało ono dwa szczególnie znamienne ustępy. Jeden z nich brzmiał:

> Jak straszna, fantastyczna, niewiarogodna jest myśl o tym, że mielibyśmy kopać okopy i nakładać maski gazowe z powodu sporu, toczącego się w odległym od nas kraju, pomiędzy ludźmi, o których nic nie wiemy.

W ten sposób myślało wielu ludzi w Anglii i we Francji. Chamberlain wyrażał wiernie uczucie większej części warstw

średnich obydwu krajów. Lecz wydawało się dziwne, że uczucia te wyrażał premier brytyjski.

Drugi godny uwagi fragment brzmiał w ten sposób:

> Nie wahałbym się złożyć trzeciej wizyty panu Hitlerowi, gdybym sądził, że mogłoby się to na cośkolwiek przydać. Ale na razie nie widzę, abym mógł coś pożytecznego w dziedzinie mediacji uczynić.

Zdanie to mogło być rozumiane w ten sposób, że jeśliby ktokolwiek, np. Mussolini, widział możliwość osiągnięcia sukcesów na drodze mediacji, Chamberlain nie wahałby się na pewno pojechać raz jeszcze do Niemiec. Było to ciekawe nawiązanie do nieco wcześniejszej złowróżebnej wypowiedzi ministra Bonneta. W ciągu ostatnich dni kilka dzienników, inspirowanych przez Bonneta, przepowiedziało mediację Mussoliniego.

28 września wczesnym rankiem zmobilizowano flotę brytyjską. Zostałem o tym poinformowany przez wysoką osobistość na Quai d'Orsay.

— A więc mimo wszystko zmierzamy ku wojnie? — zapytałem.

— Tak wygląda — odpowiedziano mi.

— A co myśli o tym Bonnet?

— Bonnet jest optymistą. Jest on na pewno u siebie w biurze z François Piétri i jego szefem gabinetu, Jules'em Henry.

Nic dobrego nie mogło wyniknąć z rad wielbiciela Mussoliniego, jakim był Piétri, i wielbiciela Bonneta — Henry'ego. Spotkałem kilku mych kolegów. Według nich 75% danych przemawiało za tym, że wojna wybuchnie. Złapałem taksówkę udając się do jednego z ministrów przeciwnych polityce Bonneta. Pracował jeszcze w swym biurze. Oto co mi powiedział: „Większość w Izbie jest za polityką oporu. Większość zdecydowana! Daladier będzie musiał się z nią liczyć". Tak był przekonany o tej większości, że mówił o niej jeszcze w ciągu pół godziny.

— Ale co należy myśleć o pośrednictwie Mussoliniego? — zapytałem.

— Nie nastąpi ono, jeżeli Hitler go nie zażąda. Ani Francja, ani Anglia nie mogą żądać pośrednictwa człowieka, który przed dziesięcioma dniami oświadczył, że Włochy na wypadek konfliktu dokonały wyboru. To są plotki dziennikarskie — powiedział w sposób stanowczy.

Podczas gdy tak rozmawialiśmy tego ranka 28 września, wszystkie linie telefoniczne między Paryżem, Berlinem i Londynem były przeciążone. Bonnet wysyłał nowe instrukcje do François Ponceta w Berlinie i do Charles Corbina w Londynie. François Poncet otrzymał instrukcje uczynienia Hitlerowi nowych, dalej idących propozycji, które w rzeczywistości oznaczały zgodę na żądanie wysunięte w Godesbergu. Corbinowi w Londynie mówiono, że należało przekonać Anglików, aby próbowali zbliżenia z Mussolinim przez swego ambasadora w Rzymie. Przez cały ten czas jeden z najpoważniejszych członków gabinetu zapewniał mnie, że było to niemożliwe.

W Berlinie Hitler dowiedział się o słowach Chamberlaina: „Myślę nadal, że może pan osiągnąć to, czego pan żąda, bez wojny". W Paryżu panika osiągnęła swój punkt szczytowy. Przeszło 250 tys. osób opuściło stolicę. 28 września w południe wojna zdawała się być nieunikniona.

Tego samego popołudnia kapitulacja państw demokratycznych podana została oficjalnie do wiadomości. Chamberlain ogłosił w Izbie Gmin, że dzięki mediacji Mussoliniego premierzy, francuski i brytyjski, zostali zaproszeni przez Hitlera na spotkanie w Monachium. Nazajutrz Daladier i Chamberlain wyjeżdżali do Monachium, by się spotkać z Hitlerem i Mussolinim. Tegoż wieczora układ w Monachium został podpisany i terytorium Sudetów oddane Hitlerowi. Drogi okrążenia Francji od zewnątrz i od wewnątrz zetknęły się ze sobą w stolicy Bawarii po raz pierwszy. Tu kończy się historia Monachium, a zaczyna historia Pragi.

XI

MONACHIJCZYCY I ANTYMONACHIJCZYCY

Entuzjastyczne manifestacje, z jakimi przyjęto Daladiera i Chamberlaina w Monachium, ujawniły rzeczywiste uczucia ludności niemieckiej. Była ona również przerażona myślą, że po 20 latach rozpocznie się nowa wojna. Lecz jednocześnie zwycięstwo monachijskie pogłębiało jej wiarę, że Hitler może uzyskać wszystko, czego zechce. Wskazywało ono, że demokracje ówczesne były niezdolne do jakiegokolwiek oporu.

Po Monachium Daladier i Chamberlain oświadczyli, że o ile warunki w Godesbergu były takie, jakie zwycięzca dyktuje zwyciężonemu, o tyle monachijskie stawiały Czechosłowację na stopie równości z Niemcami we wszystkich przyszłych konferencjach, jakie przewidywało porozumienie. W jaki sposób doszli do takiego wniosku, pozostanie ich tajemnicą. Przed Monachium Czechosłowacja miała dobrze wyszkoloną armię i pas silnych fortyfikacji. W dniu 29 września 1938 r. traciła jedno i drugie. Mówić o niepodległej Czechosłowacji po układzie w Monachium było niecną, tragiczną farsą.

Ani Daladier, ani Chamberlain nie traktowali Czechosłowacji jako kraju niezależnego i suwerennego. Nie pozwolili jej brać udziału ani w pertraktacjach londyńskich ani w monachijskich. Ostateczny werdykt zakomunikowano Czechom w sposób najbardziej upokarzający, jaki można było sobie

wyobrazić. W miesiąc później jeden z przyjaciół dostarczył mi opisu tej sceny, sporządzonego przez doktora Huberta Masaryka, jednego z dwóch Czechów, którzy pojechali do Monachium. Usiłowałem zamieścić ową relację w moim dzienniku, lecz redaktor nie zgodził się na to. Według dra Masaryka został on wraz ze swym towarzyszem, drem Mastnym, wezwany późną nocą. Premier brytyjski zapoznał go pokrótce z treścią zapadłych decyzji. Daladier nie powiedział słowa. Później obaj mężowie stanu znikli. W ten sposób zakomunikowano Czechom, że między dniem 1 a 10 października cały obszar Sudetów, czwarta część terytorium ich państwa, obejmująca czeską linię Maginota, zostanie zajęta przez oddziały hitlerowskie.

Daladier wrócił do Paryża następnego dnia samolotem. Opowiadają, że kiedy spostrzegł tłum zgromadzony wokół lotniska Le Bourget, zrobił nagły ruch, jakby chciał się cofnąć. Dopiero kiedy posłyszał okrzyki: „Niech żyje Daladier! Niech żyje pokój!", przybrał pozę dyktatora i wraz z Georges'em Bonnetem zajął miejsce w oczekującym go aucie. W czasie przejazdu samochodem przez miasto w drodze do siedziby Ministerstwa Wojny, Daladier przyjmował owacje stojąc jak Hitler. Siedzący obok niego Bonnet odpowiadał na radosne okrzyki tłumu uśmiechem swoich wąskich warg.

Rola Daladiera w miesiącu, który poprzedził Monachium, oceniana była różnie. Niektórzy odmalowywali go jako prawdziwego patriotę, który po twardej, wewnętrznej walce zgodził się w końcu na układ w Monachium, czyniąc to w interesie Francji. Ale w rzeczywistości Daladier w godzinach najcięższych w pełni aprobował taktykę Bonneta. Ani razu nie zaprzeczył fałszywym oświadczeniom swego ministra spraw zagranicznych, które miały tak tragiczne konsekwencje.

Kiedy Bonnet przedstawił swoje resumé raportu Gamelina na Radzie Ministrów, nikt poza Daladierem, ministrem obro-

ny narodowej, nie był bardziej powołany, by zamknąć mu usta i powiedzieć rządowi prawdę. Daladier wiedział, że sztab generalny doszedł do wniosków sprzecznych z tym, który przedstawiał Bonnet.

Wiedział, że Gamelin podkreślił fakty następujące: 1) szef sztabu armii niemieckiej, gen. Beck, podał się w dniu 3 września do dymisji, ponieważ nie chciał prowadzić armii do katastrofy; 2) do ukończenia linii Zygfryda było jeszcze daleko i według słów francuskiego attaché wojskowego w Berlinie była ona „równie łatwa do pokonania jak domek z kart"; 3) armia niemiecka nie była w najmniejszej mierze przygotowana do wojny i by stać się do niej zdolną, potrzebowała co najmniej jednego roku najbardziej intensywnej pracy; 4) francuski sztab generalny wcale nie podzielał pogardliwej opinii o Armii Czerwonej, opinii sformułowanej przez japońskiego attaché wojskowego, którą Bonnet zacytował na Radzie Ministrów; wręcz przeciwnie — sztab generalny uważał, że lotnictwo i czołgi rosyjskie miały wartość równą niemieckim; 5) armia czeska, wspaniale wyekwipowana, w sile 40 dywizji, tysiąca samolotów i 1500 tanków, mogła się opierać co najmniej dwa lub trzy miesiące, nawet gdyby biła się sama.

O wszystkim tym Daladier wiedział, a mimo to milczał.

Daladier pozwolił Bonnetowi na dokonanie jego niecnego dzieła. Dopiero kiedy ujawniły się już fatalne skutki ponurego resumé ministra spraw zagranicznych, kiedy pogłoski o treści tego resumé obiegły koła parlamentarne i kiedy zakomunikowano je ambasadorowi brytyjskiemu, Daladier usiłował zrzucić z siebie odpowiedzialność. Mniej więcej w dziesięć dni później miał rozmowę z sekretarzem generalnym C.G.T., Leonem Jouhaux. Jouhaux oznajmił później w jednym z przemówień, że końcowe zdanie raportu Gamelina brzmiało: „Mimo wszystkich trudności, powinniśmy interweniować."

Tę samą podwójną rolę odegrał Daladier w związku z brytyjskim komunikatem, dotyczącym pomocy, na jaką w wy-

padku wojny może liczyć Francja ze strony W. Brytanii i Rosji. Kiedy deputowani z prawicy pytali go o to, zasłonił się notą Bonneta, twierdzącą, że „komunikat pochodził od nieodpowiedzialnego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie". Ale kiedy złe skutki tego faktu były już widoczne, przyznał w swym przemówieniu z dnia 4 października, że deklarację złożył sam premier brytyjski.

I rzeczywiście, deklarację tę napisał osobiście sam lord Halifax w obecności Neville'a Chamberlaina i Winstona Churchilla w toku konferencji na Downing Street.

Daladier pozwolił Bonnetowi i jego prasie zaprzeczyć temu, że Hitler przygotowywał się do ogłoszenia mobilizacji w dniu 28 września, chociaż wiedział, że była to informacja zupełnie ścisła. Po Monachium Bonnet w okólniku, przeznaczonym dla francuskich urzędników służby zagranicznej pisał:

> Marszałek Goering oświadczył 27 września Neville'owi Hendersonowi, że jeśli nazajutrz, 28. IX, o godz. 14 rząd czechosłowacki nie zaakceptuje memorandum niemieckiego z Godesberg, natychmiast zostaną wydane i wykonane zarządzenia mobilizacyjne.

Daladier wiedział, że jego minister spraw zagranicznych uprawiał na wielką skalę spekulacje na giełdzie, których powodzenie wymagało kapitulacji przed Hitlerem. Tajna policja dostarczała mu wiadomości o wszystkich operacjach giełdowych, których dokonał bank Bonneta. Kilku ministrów, orientujących się w tych posunięciach, żądało aresztowania dyrekcji banku i dymisji Bonneta. Daladier odmówił. Wiedział on o matactwach, jakie uprawiano na Quai d'Orsay. Kilku ministrów informowało go kilkakrotnie o rozmowach Bonneta z usłużnymi doradcami, z którymi ustalał on swoje haniebne plany strategiczne. Ekipę doradców Bonneta stanowili początkowo: były premier Flandin i Jean Mistler, przewodniczący komisji spraw zagranicznych w Izbie. Innym uczestnikiem porozumienia był ambitny deputowany korsy-

kański, François Piétri. W zebraniach uczestniczył również zacięty wróg Leona Bluma, sekretarz partii socjalistycznej Paul Faure. Posłuch u ministra miał Marcel Déat, który odegrał haniebną rolę jako minister lotnictwa w gabinecie Sarrauta w 1936 roku. Częstym gościem tego zaufanego koła był niebezpieczny intrygant, deputowany, adwokat Gaston Bergery. Należało do niego także dwóch wybitnych działaczy związkowych: René Belin, sekretarz C.G.T., którego dziennik Syndicats był hojnie subwencjonowany przez Bonneta, i André Delmas, sekretarz syndykatu nauczycieli.

Tych ludzi w owym krytycznym okresie można było spotkać na Quai d'Orsay każdego dnia i o każdej godzinie. Dziennikom, uprawiającym politykę uspokojenia, dostarczali oni materiałów przeciwko tzw. „podżegaczom wojennym", jak Georges Mandel, Jules Jeanneney, Edouard Herriot, Winston Churchill i Lloyd-George. Operowali oni argumentem, że francuskie lotnictwo w porównaniu z niemieckim było o wiele słabsze, Żydów wygrywali przeciwko katolikom, pacyfistów przeciwko interwencjonistom. Szerzyli w kraju nastrój niepokoju, wiodący do moralnego rozkładu.

Georges'a Bonneta odmalowywano jako anioła pokoju, a Georges'a Mandela, jako złowrogiego demona — przekupionego przez Żydów. Daladiera sławiono jako „człowieka silnej ręki", który chciał uchronić Francję od zagłady. O Jules Jeanneney'u, przewodniczącym senatu, mówiono, że był za stary, aby rozumieć, co robi. Grubego Herriota przedstawiano jako człowieka knującego złowrogie plany przeciw Francji.

Kiedy w dniach gorączkowych do Paryża przybył Winston Churchill, potraktowano go jako podżegacza wojennego nr 1. Lloyd-George był starym wariatem, który nigdy nie zapomniał, że musiał ongiś ustąpić przed Clemenceau i który pragnął rewanżu na Francji. Tego rodzaju zatrute strzały wypuszczała z ukrycia rada przyboczna Bonneta.

Ona puściła w obieg kłamstwo, że prezydent Benesz prosił Bonneta o zwiększenie nacisku, aby w ten sposób zdobyć podstawę do zobowiązania rządu czeskiego, aby udzielił swej zgody na kapitulację. Ona zredagowała tekst plakatu Flandina przeciw mobilizacji. Ona tworzyła sztab głównej wewnętrznej piątej kolumny, pracującej nad zagładą Francji. Była ekipą najczynniejszych agentów Hitlera we Francji.

XII

PRAGA

Monachium było początkiem wielkiej lawiny wydarzeń, która w ciągu dwóch lat następnych miała stoczyć się na kontynent europejski i pogrzebać go.

W ciągu krótkiego czasu zdawało się, że Daladier zrozumiał właściwy sens tego, co się stało. W pierwszym przemówieniu, które wygłosił w Izbie po Monachium, oświadczył: „Możliwe, iż — jak to zostało stwierdzone w Monachium — świat w ciągu kilku godzin zmienił swe oblicze". W konsekwencji jednak zachowywał się nadal tak, jak gdyby na świecie nic się nie zmieniło. Załatwiwszy się w kilku krótkich zdaniach ze sprawą Czechosłowacji, zwrócił się do Izby z żądaniem nowych pełnomocnictw.

Nie miał on odwagi poddać porozumienia monachijskiego bezpośrednio pod głosowanie Izby. Wielu deputowanych nie zdobyłoby się na zajęcie otwarcie stanowiska w tej sprawie. Toteż Izba przegłosowała jedynie wniosek o odroczenie sprawy, co równało się zgodzie. Na 618 deputowanych zaledwie 75 uratowało honor Francji.

Pełnomocnictwa zostały uchwalone przez nową większość, na którą składał się wachlarz stronnictw — od radykałów aż do skrajnej prawicy. Daladier stawał się ostentacyjnie jej reprezentantem.

Jeżeli Daladier sądził, że Monachium było kresem, to rychło został w sposób bezwzględny wyleczony ze swych złudzeń. Wypowiedzi pisemne i ustne przedstawicieli osi przekonały go, że był to dopiero początek. Zabieg „dokręcania śruby" miał się powtarzać z dokładnym podziałem starannie wyuczonych ról obu państw faszystowskich.

Virginio Gayda, rzecznik Mussoliniego, puścił balon próbny w artykule zamieszczonym w Giornale d'Italia: „Sprawa czechosłowacka jest dopiero pierwszym krokiem na drodze do pokoju... Pozostało wiele innych ważnych problemów, w obliczu których w chwili obecnej Niemcy i Włochy zmuszone są zająć postawę wyczekującą i nieufną".

Później, w tydzień po Monachium, Hitler rozpoczął serię przemówień. To, co w nich powiedział, sprowadzało się do groźby, że nie będzie tolerował tego, co nazywał „podżeganiem do wojny" ze strony rządów angielskiego i francuskiego. Wymieniał w szczególności Churchilla, Edena i Duff Coopera. Przypominał monachijczykom z Londynu i Paryża, „że istnieli jeszcze jego pokrzywdzeni niemieccy bracia poza granicami Wielkiej Rzeszy Niemieckej". I żądał na nowo kolonii.

W Paryżu na te oznaki nowego kryzysu odpowiedziano metodami starej gry politycznej, opartej na intrygach i kompromisach. Bonnet sądził, że był to stosowny moment, aby sięgnąć po tekę premiera. Żądza, z jaką pani Bonnet pragnęła widzieć swego męża w tej roli, była tak jawna i niezamaskowana, że jeden z deputowanych zaproponował ironicznie, aby nadać Bonnetowi stały tytuł „byłego premiera".

Bonnet starał się usilnie o podpisanie deklaracji francusko-niemieckiej, która by gwarantowała istniejące granice. Wierzył on niezachwianie, że zwiększyłoby to znacznie jego prestiż, i że mógłby stać się wówczas szefem rządu. W miesiącach, które nastąpiły po Monachium, wyasygnował poważne sumy, zaczerpnięte z funduszów dyspozycyjnych, dla rozreklamowania swojej osoby. W całej prawie prasie francuskiej pojawiały się wychwalające go artykuły. Każdego dnia mo-

żna było czytać sprawozdania o manifestacjach „ludu" na jego cześć.

Hitlerowcy znali ambicje Bonneta i wykorzystywali je dla swoich celów. Pewien deputowany opowiadał mi o rozmowie z hrabią Welczeck, w której ambasador niemiecki zwierzył mu się, iż Bonnet wyłożył przed nim swe plany polityczne ze wszystkimi szczegółami. Deputowany ów dorzucił, że poczuł się zażenowany dowiadując się o tych szaleńczych planach z tego rodzaju źródła. Innym kandydatem na stanowisko Daladiera był Pierre - Etienne Flandin. Jego ambicje odgrywały również pewną rolę w planach hitlerowców. W każdym razie popularność jego zmniejszyła się nieco, gdy dowiedziano się, że po Monachium wysłał telegram z gratulacjami do Hitlera. Przez pewien czas musiał on na nowo pozyskiwać zaufanie kuluarów. Deputowany socjalistyczny, Grumbach, odczytał odpowiedź Hitlera przed komisją spraw zagranicznych. „Śledziłem stale — mówił ów telegram — pańską działalność polityczną w ciągu zeszłego roku z wielką sympatią i zainteresowaniem". To Daladier, poirytowany ambicjami Flandina, dał Grumbachowi w ręce tekst owej odpowiedzi.

Głosując za Daladierem członkowie nowej większości parlamentarnej nie pozostawili mu jednak swobody. Daladier spodziewał się, że uda mu się manewrować głosami prawicy. Wskazała mu ona niezwłocznie, jak ma teraz działać. W toku przeprowadzonych rozmów Caillaux przedstawił mu rodzaj ultimatum. Daladier miał wysłać ambasadora do Włoch, które to stanowisko wakowało od przeszło roku. Miał zrealizować obietnice uczynione w przemówieniu wygłoszonym w sierpniu, dotyczące zniesienia czterdziestogodzinnego tygodnia pracy. Minister finansów, Marchandeau, podejrzewany o sprzyjanie zasadom gospodarki planowej i kontroli wymiany, miał dostać dymisję. Partia komunistyczna miała być rozwiązana. Po interwencji Caillaux nastąpiła dalsza ze strony grupy deputowanych prawicowych, którzy przedłożyli swe żądania w sposób jasny i niedwuznaczny. Wielka finansjera

również otworzyła ogień z najcięższych dział: kilka miliardów odpłynęło za granicę, aby przypomnieć Daladierowi los tych jego poprzedników, którzy nie poszli na ustępstwa.

Daladier zrozumiał aluzję. Ambasador w Berlinie, François Poncet, przeniesiony został do Rzymu. Zastąpił go Robert Coulondre, dotychczasowy ambasador francuski w ZSRR. Do Moskwy został wysłany dyplomata mniejszej miary, Naggiar. Bonnet skorzystał z okazji tych przesunięć dyplomatycznych, aby dział informacji i prasy Ministerstwa Spraw Zagranicznych powierzyć niejakiemu Bressy, kompletnemu zeru, którego bratowa była w intymnych stosunkach z pewnym dyplomatą narodowo-socjalistycznym.

Na dorocznym kongresie partii radykalnej w październiku Daladier zaatakował gwałtownie komunistów. Wniosek, który zgromadzenie przegłosowało, oświadczał oficjalnie, że Front Ludowy przestał istnieć. Olbrzymi pożar wielkiego magazynu w Marsylii, który pochłonął wiele ofiar ludzkich, służył za fantastyczne tło temu zgromadzeniu radykałów.

Po powrocie do Paryża Daladier przeprowadził rekonstrukcję swego gabinetu. Nieszczęśliwy Marchandeau, nie rozumiejący niczego, przeszedł z finansów do sprawiedliwości. Mały, ambitny Reynaud został ministrem finansów. Jego przyjaciółka, hrabina de Portes, powiadomiła mnie o tych zmianach cztery dni przedtem.

Po Monachium propaganda hitlerowska w środowiskach politycznych, salonach i redakcjach dzienników zaczęła działać ze zdwojoną energią. Komitet francusko-niemiecki, gdzie wicepremier Camille Chautemps współpracował z Otto Abetzem, zalał kraj powodzią luksusowo wydanych magazynów, sławiących przyjaźń francusko-niemiecką. Kioski sprzedawców gazet piętrzyły się od stosów literatury antysemickiej. Można było słyszeć antysemickie uwagi rzucane przez panią Bonnet nie tylko w eleganckich salonach, lecz także u fryzjera lub w magazynie mód. Przyjaciele Doriota sprzedawali

niedrogie i w specjalny sposób okrojone francuskie wydanie Mein Kampf. Strona tytułowa świadczyła, że wydrukowano je w Niemczech. Komitet „antykominternowski" w Genewie rzucił na rynek tony broszur zwalczających pakt francusko-sowiecki.

Zaprawiając swe kłamstwa wiadomościami prawdziwymi, sprostowaniami i zaprzeczeniami Bonnet dostarczał prasie materiałów przeciwko tak zwanym podżegaczom wojennym. Najbardziej niewiarogodne i fantastyczne wymysły były drukowane natychmiast, jeśli dotyczyły Czechosłowacji, Republiki Hiszpańskiej lub Związku Radzieckiego. Prasa prawicowa nie zadawała sobie trudu, aby sprawdzić ich źródło lub ich prawdopodobieństwo. Kampania fałszerstw stała się chlebem codziennym prasy szerzącej politykę uspokojenia. Prezes Jeanneney wygłosił zdanie, które można interpretować dwojako. Powiedział on: „Bonnet etait le plus grand des menteurs. Ale można było czytać także: le plus grand dementeur de nouvelles[1]. W Izbie Deputowanych kłamstwa Bonneta były przedmiotem licznych plotek kuluarowych. Jeden z deputowanych, przypominając stare francuskie przysłowie, które mówi, że człowiekowi przy każdym kłamstwie rośnie nos, witał mnie niezmiennie słowami:

„Nos Georges'a Bonneta znowu urósł".

Bonnet, doprowadzony do wściekłości atakami prasowymi przeciwników polityki uspokojenia i mało przyjazną postawą większości korespondentów zagranicznych, poszukiwał zemsty. Zażądał od ministra spraw wewnętrznych wymówienia gościny trzem wybitnym korespondentom angielskim, wśród nich Cadetowi z Timesa. Grzechem Cadeta było, że w jednym ze swych artykułów mówił między wierszami o technice kłamstw Bonneta. Sarraut nie poszedł w tym wypadku na rękę Bonnetowi, obawiając się komplikacji dyplomatycznych. Jednakże tygodnik Gringoire, karmiony informacjami

[1] Gra słów. Bonnet był największym kłamcą. Bonnet był (człowiekiem) najgorliwiej dementującym (wszelkie) nowiny. — Red.

pochodzącymi z Quai d'Orsay, zaczął atakować, jednego po drugim, dziennikarzy zagranicznych.

Dalszą akcję wszczął Laval. W Komisji Spraw Zagranicznych Senatu zażądał wypowiedzenia francusko-sowieckiego paktu wzajemnej pomocy, którego sam był autorem. Wyrzekał się swego własnego dziecka. Poparł gorąco plany Hitlera przeciwko sowieckiej Ukrainie, którym Francja — jak oświadczył — mogła tylko przyklasnąć. Ośmielony przez Quai d'Orsay Le Matin dał pełne zachwytu opisy przygotowań Hitlera do kampanii na Ukrainę. Wkrótce za nim poszły inne dzienniki. Małą stolicę Rusi zakarpackiej, należącą w tym czasie do Czechosłowacji, odwiedził tłum korespondentów specjalnych z francuskich dzienników. Ich reportaże roiły się od szczegółów na temat działalności narodowych socjalistów w tym oddalonym zakątku, który miał służyć za odskocznię dla ataku na radziecką Ukrainę. Czytając je można było przypuszczać, że wojna niemiecko-sowiecka miała wybuchnąć lada moment.

Zamach dokonany w ambasadzie niemieckiej w Paryżu skierował w ciągu kilku dni uwagę ogólną na sprawy wewnętrzne. Młody Żyd polski, Herszel Grynszpan, zabił dyplomatę niemieckiego von Ratha. Kiedy w odpowiedzi na to Hitler zainicjował bestialski pogrom Żydów, świat cywilizowany zareagował w sposób niezwykle gwałtowny. Tylko prawicowa prasa francuska zbagatelizowała pogromy. Bonnet wyraźnie od niej tego zażądał nie chcąc narażać na szwank swego projektu porozumienia francusko-niemieckiego.

W tej atmosferze nerwowości i niepokoju nowy minister finansów, Paul Reynaud, ogłosił swe dekrety z mocą ustawy. Nakładały one nowe ciężary na barki ludności pracującej. Podatek dochodowy i podatki pośrednie zostały znacznie zwiększone. Wzrosły ceny tytoniu, opłaty kolejowe, metro i autobusy, opłaty pocztowe i telefoniczne. Czterdziestogodzinny tydzień pracy został faktycznie zniesiony; godziny nadliczbowe stały się obowiązujące. Co najmniej sto tysięcy

pracowników służby publicznej stanęło wobec możliwości utraty pracy.

Masy robotnicze przyjęły te innowacje z rosnącym niezadowoleniem. Na Monachium zareagowały w sposób bardzo niechętny; nie były zdolne do przełknięcia zdrady wobec Czechosłowacji po zdradzie wobec Hiszpanii. Jeden z przywódców związkowych powiedział:

„W zestawieniu z tą rzeźniczą jatką, jaką mieliśmy w Monachium, plan Laval-Hoare wydaje się delikatnym zabiegiem chirurgicznym".

Dekrety znoszące czterdziestogodzinny tydzień pracy, dekrety, które miały zaciążyć poważnie na życiu prostego człowieka, wywołały falę oburzenia, wrogości i gniewu. Wybuchł strajk. Mówiono o strajku powszechnym.

Aby skoordynować owe zabiegi „dokręcania śruby", Ribbentrop pojechał do Rzymu, gdzie zostały przedyskutowane zagadnienia taktyczne, pozostające w związku z wysunięciem przez Włochy pretensji rewindykacyjnych. Dyskutowano jednocześnie o ofensywie, jaką miał przedsięwziąć Franco przy pomocy „ochotników" włoskich i niemieckiego materiału wojennego. Trzecim przedmiotem rozmów było „gentlemen's agreement" pomiędzy Londynem a Rzymem. Po swym powrocie do Niemiec Ribbentrop oświadczył w jednym z przemówień, że stary świat ulega powolnej, lecz nieuniknionej zagładzie.

Ale Bonnet nie był tym bynajmniej zniechęcony. Oświadczył, że pertraktacje francusko-niemieckie zostały szczęśliwie zakończone i że minister spraw zagranicznych Hitlera miał przybyć do Paryża, aby podpisać deklarację francusko-niemiecką. Było to w jedenaście dni po pogromach w Niemczech, które tak głęboko wstrząsnęły sumieniem świata.

Nazajutrz Chamberlain i Halifax przybyli do Paryża. Zostali przyjęci zimno i wrogo przez ludność oraz uroczyście

przez czynniki oficjalne. Ministrowie angielscy udawali się do Rzymu. Przedyskutowali oni ze swymi francuskimi kolegami sprawę ustępstw wobec duce, a w szczególności sprawę oficjalnego uznania reżimu Franco w Hiszpanii, które „uważali za pierwszy warunek uspokojenia w rejonie Morza Śródziemnego".

Odpowiedź duce na te rozmowy była całkowicie w duchu systemów totalnych. Parlament włoski wystąpił z gwałtownymi manifestacjami antyfrancuskimi. W czasie przemówienia hr. Ciano deputowani faszystowscy wznosili okrzyki: „Dżibutti, Korsyka, Nicea!" Ambasador Francji, François Poncet, znieruchomiały i blady, musiał być świadkiem tej teatralnej demonstracji, dotyczącej terytoriów francuskich, której z ław rządu przyglądano się z uśmiechem pełnym sympatii. François Poncet nie opuścił jednak sali obrad.

Bonnet zwołał w pośpiechu korespondentów dyplomatycznych. Błagał ich, aby nie przywiązywali wagi do tego incydentu, który nie reprezentował, oświadczał on, stanowiska oficjalnego. Tegoż wieczora kilku z jego satelitów obeszło redakcje dzienników, aby się upewnić, czy wypadek został należycie zbagatelizowany. Poza kilkoma zaszczytnymi wyjątkami dzienniki poszły za dyrektywami Bonneta.

Tegoż 30 listopada w Paryżu zmobilizowano policję i wojsko. Wybuchł dwudziestoczterogodzinny strajk generalny. Został on gorąco poparty tylko przez te związki zawodowe, których kierownictwo miało nastawienie antymonachijskie. Strajk — co było rzeczą bez precedensu — został ogłoszony na cztery dni naprzód. Dało to rządowi czas na przedsięwzięcie energicznych kroków zaradczych. Wszystkim pracownikom zagrożono niezwłocznym zwolnieniem. W tej liczbie również i kolejarzom. Przywódcy związkowi nie wciągnęli do akcji strajkowej pracowników służby publicznej miasta Paryża.

Tegoż wieczora Daladier przemawiał przez radio. Było to przemówienie zwycięzcy. Niezwłocznie zostały przedsięwzięte sankcje przeciwko strajkującym. Tysiące ludzi pobito, setki aresztowano i skazano.

Na początku grudnia Paryż przyjmował jednego z szefów piątej kolumny hitlerowskiej. Von Ribbentrop spał spokojnie w stolicy Francji. Nie było entuzjastycznych manifestacji, ale podpisanie francusko-niemieckiej deklaracji, określającej definitywnie granicę między obu państwami, odbyło się z wielką pompą. Ten nowy „świstek popieru" został rozreklamowany przez film, radio i liczne artykuły w prasie.

Po raz pierwszy w historii Francji na oficjalną uroczystość nie dopuszczono ludzi „innej rasy". Członkowie rządu pochodzenia żydowskiego, Mandel i Jean Zay, nie zostali zaproszeni na obiad wydany na cześć Ribbentropa. Jeanneney i Herriot oraz żona ministra marynarki, pani Campinchi, na znak protestu odmówili w nim udziału.

W ostatniej swojej korespondencji z Berlina François Poncet, który prowadził wówczas pertraktacje w sprawie deklaracji francusko-niemieckiej, zacytował zdanie Goebbelsa: „Nie wygrywa się na loterii, jeśli się nie chce ponieść ryzyka przynajmniej kupna biletu".

Daladier i Bonnet kupili bilet na loterię-obietnicę Hitlera, za którą zapłacili słoną cenę: cenę sojuszu Francji z Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim. Wyszli na tym jak Zabłocki na mydle.

Ribbentrop przybył w towarzystwie Otto Abetza, specjalisty od stosunków francusko-niemieckich i — jak dowiedziano się później — jednego z szefów wywiadu i podziemnej roboty nazistowskiej we Francji. Abetz ze szczególną przyjemnością opowiadał następującą historię: podczas kryzysu monachijskiego Hitler wpadł w gniew posłyszawszy o możliwości oporu ze strony ministrów, francuskiego i angielskiego, powątpiewających w gotowość armii niemieckiej. Pełen roz-

paczy zgodził się w rozmowie z Mussolinim, by ten ostatni zaproponował mediację celem zachowania prestiżu. W ten sposób, jak się okazało, Mussolini spełniłby tę rolę nawet w tym wypadku, gdyby Chamberlain i Daladier odeń tego nie zażądali. Oczywiście, pozycja francuskich i angielskich mężów stanu byłaby wówczas o wiele silniejsza.

Od czasu rozmów paryskich Ribbentrop utrzymywał, że Bonnet pozostawił Niemcom wolne ręce w ich „marszu na wschód". W kilka dni po tych rozmowach Bonnet stanął przed Komisją Spraw Zagranicznych Izby Deputowanych. Oświadczył, że spodziewa się nowych zwycięstw niemieckich na wschodzie. Zapytano go, czy Francja wypełni swe zobowiązania, wynikające z traktatów, francusko-polskiego i francusko-sowieckiego, gdyby państwa te zostały zaatakowane. Bonnet odpowiedział, iż nie wierzy, aby któreś z tych państw było zdolne do obrony przed Niemcami hitlerowskimi. Dorzucił, że działania Niemiec na wschodzie nie zmieniały w niczym sytuacji strategicznej Francji. Było to wystarczająco jasne. Nie tylko Berlin, ale również Moskwa odnotowała starannie te wypowiedzi.

Wiadomość o demonstracji antyfrancuskiej we Włoszech, mimo prób zatuszowania i usprawiedliwienia, docierała stopniowo do opinii publicznej i wywołała wśród ludności duże rozgoryczenie. Nawet ośrodki wielkiego handlu, które manifestowały swe sympatie dla metod Mussoliniego, uważały, że żądania rewindykacyjne w stosunku do terytoriów francuskich są sprawą wyjątkowo przykrą. Broniły one zawsze bardzo niebezpiecznej pod względem strategicznym koncepcji, według której należało kupić dyktatorów pozwalając im pochłonąć małe narody. Uważały one jednak, że żądania rewindykacyjne w stosunku do terytoriów francuskich, wysuwane bezpośrednio po Monachium, były ciosem godzącym w zasady zawartego porozumienia. Toteż wyrażały swój sprzeciw. Kompania Kanału Sueskiego na swym dorocznym walnym zgromadzeniu zajęła nieprzejednane stanowisko w stosunku do Włoch, kierujących przymilne spojrzenia w stronę kanału. Na

tym tle powstał cięty dowcip Mandela: „Teraz możemy czuć się bezpiecznie. Kompania sueska broni honoru Francji... no i oczywiście swoich dywidend".

Antymonachijsko nastawieni ministrowie zażądali zajęcia zdecydowanego stanowiska wobec prowokacji Włoch. Izba stała się świadkiem osobliwej sceny: Bonnet, „człowiek, który nad traktatami pokojowymi wywiesił białą chorągiew", złożył uroczyste zapewnienia. Przeszedł w milczeniu nad faktem zerwania przez Włochy układów rzymskich, podpisanych przez Lavala w styczniu 1935 roku, natomiast uroczyście oświadczył deputowanym, że: „ani jedna piędź ziemi francuskiej nie zostanie oddana". Deputowani uśmiechali się ironicznie w związku z nowym żartem, jaki obiegał kuluary:

„Mówią, że Bonnet został przekupiony przez rząd francuski!"

Daladier od chwili stłumienia strajku generalnego coraz bardziej przybierał pozę napoleońską. Zdecydował się na podróż do francuskiej Afryki Północnej, która to podróż miała służyć dwóm celom: miała pokazać, jaka była odpowiedź Francji na żądania włoskie oraz zacieśnić węzły pomiędzy metropolią i posiadłościami zamorskimi. Miała ona jeszcze inny cel ukryty. Triumfalny objazd godził w aspiracje Bonneta, zmierzającego do objęcia po nim rządów. Sekretarz Daladiera powiedział mi:

„Jeśli podróż ta zostanie uwieńczona powodzeniem, na które liczymy, żagle Bonneta będą musiały przez długi czas walczyć z przeciwnym wiatrem".

Afryka Północna była od dawna ośrodkiem francuskiego imperium kolonialnego. Były inne bogate i zyskowne kolonie: Indochiny na Dalekim Wschodzie, dostarczające ryżu i produktów kopalnych, wielka wyspa Madagaskar na wschód od południowej Afryki, ważne strategicznie wyspy na Pacyfiku, kilka posiadłości w Ameryce, terytoria o dużym znaczeniu, stanowiące mandat Francji w Libanie i Syrii na Bliskim Wschodzie. Ale główną bazą imperium była Afryka Północna;

Alger, Tunis i Maroko, jak również Korsyka, tworzyły zasobne magazyny rezerw zboża i wina.

Francuska Afryka Północna była również źródłem rezerw wojskowych. Właśnie, powołując do armii znaczne kontyngenty afrykańskich tubylców, miało nadzieję francuskie dowództwo wojskowe, że uda mu się do pewnego stopnia zrównoważyć niekorzystną dla Francji różnicę w liczebności sił wojskowych własnych i niemieckich, której przyczyną była nikła rozrodczość w Republice Francuskiej.

To tłumaczy również, dlaczego strategia morska Francji polegała na utrzymywaniu swobody komunikacji na Morzu Śródziemnym pomiędzy metropolią i Afryką. A w rejonie tym najniebezpieczniejszym rywalem były Włochy z ich wielkimi planami imperialnymi.

Podróż Daladiera zawiodła go na Korsykę, do Tunisu i Algeru, gdzie odbyły się imponujące manifestacje ludności na cześć Francji demokratycznej. Premier wygłosił wiele przemówień w ciągu swej podróży. Powtórzył wielokrotnie, iż stanowczą wolą Francji jest utrzymanie całości Imperium.

> Przeciwstawiamy się wszelkim bezpośrednim lub pośrednim atakom zarówno siły jak podstępu. Będziemy stawiali opór ze stanowczością i energią, której nic na świecie nie zdoła powstrzymać.

Kiedy to mówił, pośredni wielki atak przeciwko Francji coraz bardziej przybierał na sile. Oddziały Franco, legioniści włoscy i tanki Hitlera zaatakowały Barcelonę. Sytuacja republikanów hiszpańskich była rozpaczliwa.

Jak wykazały późniejsze raporty, posiadali oni na wszystkich frontach dokładnie trzydzieści tysięcy karabinów. Ich składy amunicyjne były puste, ich lotnictwo pozostawało w stosunku 1 : 10 do lotnictwa nieprzyjaciela. Republika Hiszpańska słała do Paryża rozpaczliwe apele o pomoc. Broń i amunicja sowiecka, stanowiące kompletny ładunek dwóch

statków, które były zakotwiczone od długich tygodni w jednym z portów francuskich na Atlantyku, czekała na zezwolenie tranzytu. Bonnet powiedział: „nie!" Daladier powiedział: „nie!" Franco mógł swobodnie posuwać się naprzód.

Im bardziej zbliżał się do Barcelony, tym większe podniecenie panowało w Paryżu. Deputowani, którzy niegdyś byli przeciwko republikanom, obecnie żądali przyjścia im z pomocą. Widok armii w rozsypce oraz ludności cywilnej, od tylu miesięcy cierpiącej głód i dręczonej przez naloty, rozdzierały serca. Ale Neville Chamberlain po powrocie z Rzymu, gdzie został przyjęty z lodowatą grzecznością, wysłał swego ambasadora do Daladiera i do Bonneta, przypominając im, iż winni pilnie strzec, aby granica francusko-hiszpańska była ściśle zamknięta. Toteż Daladier i Bonnet, mimo wzbierającej fali gniewu ludu francuskiego, odmówili wysłuchania hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych, który przybył do Paryża. Broń rosyjska wyruszyła na pomoc dopiero w kilka dni przed upadkiem Barcelony. Przybyła, oczywiście, za późno i oddziały Franco znalazły na dworcu w Barcelonie nietknięte skrzynie amunicji.

Barcelona padła pod koniec stycznia 1939 r. W trzy tygodnie później oddziały Franco dotarły do granicy francuskiej. Setki tysięcy żołnierzy i ludności cywilnej republikańskiej Hiszpanii zbiegło do Francji. Zamknięto ich w obozach, w bardzo ciężkich warunkach, nie zabezpieczono ich przed chłodem, nie dożywiano. Henri de Kérillis napisał w owym czasie, że brak organizacji w obozach dla uchodźców był dowodem niezwykłego wprost niedołęstwa francuskich władz cywilnych i wojskowych. Dzienniki prawicowe odpowiedziały kampanią przeciwko „szantażowi litości" i żądały, aby tych „zbrodniarzy" wydano generałowi Franco.

Do listy upokorzeń Francji dorzucona została nowa stronica. Senator Bérard, kandydat Lavala w najbliższych wyborach na prezydenta, został dwa razy wysłany do Burgos dla negocjacji związanych z uznaniem Franco przez Francję. Nie został przyjęty przez generała. Całymi dniami wydeptywał

przedpokoje w oczekiwaniu na audiencję u ministra spraw zagranicznych faszystowskiego generała. Francja musiała przyrzec, że odda złoto, które powierzyli jej hiszpańscy republikanie, i całe uzbrojenie, które złożyli na granicy, zanim Franco raczył przyjąć do wiadomości uznanie go przez Francję. Izba zaakceptowała to uznanie nieznaczną większością 324 głosów przeciwko 264, przy 20 wstrzymujących się. Przeszło trzydziestu deputowanych z partii Daladiera głosowało przeciwko niemu.

Do Rzymu skierowano specjalnego wysłannika. Był nim Paul Baudouin. Będąc dyrektorem Banku Indochin, przyjacielem Lavala i dyrektorem francusko - włoskiego towarzystwa, dzierżącego monopol na eksploatację salin we włoskiej Afryce Wschodniej, jeździł on często do Rzymu w sprawach finansowych. Jego interesy i sympatie polityczne zbiegały się całkowicie, czyniąc zeń poważnego rzecznika zbliżenia z Włochami. Treść jego ofert w Rzymie może być co najwyżej przedmiotem domysłów: akcje Kanału Sueskiego, nowy statut dla ludności włoskiej w Tunisie i niewątpliwie port Dżibutti, końcowy punkt jedynej linii kolejowej w Abisynii. Przez pewien czas rozpowszechniano w tym okresie pogląd, że Dżibutti nie udałoby się obronić. Wysokie osobistości z Quai d'Orsay powiedziały mi, iż podejrzewają Bonneta o skrytą chęć przehandlowania Dżibutti.

Hrabia de Brinon został wysłany do Berlina; misja jego polegała na przekonaniu Ribbentropa, aby przyjął rolę mediatora pomiędzy Włochami a Francją. Misja nie udała się. Ale podróż ta omal nie doprowadziła do dymisji Roberta Coulondre'a, który czuł się dotknięty częstymi przyjazdami de Brinona.

W marcu padł Madryt. Rząd Daladiera wprawiło to w nastrój radosnego optymizmu. Whitehall zareagował tak samo. Hitlerowi, mówiono, potrzebny był spory kawałek czasu, aby

strawić Austrię i Sudety, które pochłonął w roku 1938. Uznawszy generała Franco, dodawano, państwa demokratyczne znalazły się w doskonałym położeniu; zapobiegały wzrostowi wpływów niemieckich i włoskich w Hiszpanii, które może nawet ulegną zmniejszeniu.

Marszałek Pétain, jako ambasador w Madrycie, uważany był za doskonały atut w tej grze. Gentlemen's agreement między Anglią i Włochami, uzależnione od zwycięstwa Franco, teraz właśnie mogło nabrać odpowiedniej siły i znaczenia. Francja, korzystając z oczyszczonej atmosfery w Europie, będzie mogła wreszcie zawrzeć sojusz z Mussolinim.

Ktokolwiek próbował przeciwstawić się temu optymizmowi, pozbawionemu jakichkolwiek podstaw, traktowany był natychmiast jako podżegacz wojenny. Le Jour żądał, aby na te „kanalie", w rodzaju Pertinaxa [1], które dostrzegały ciemne chmury na niebie, nie zwracano najmniejszej uwagi.

Optymizm rósł nadal, chociaż z Berlina zaczynały dochodzić wieści, że ze strony Hitlera grozi nowe uderzenie. Na początku marca Neville Chamberlain wygłosił exposé, w którym oświadczył, że wszystko wskazuje na spokojną przyszłość polityczną i poprawę sytuacji gospodarczej w Europie. We Francji Flandin przemawiał tym samym językiem; 12 marca oświadczył:

> Głosy, które doszły do nas z Londynu w dniach ostatnich, są, jeśli chodzi o sytuację międzynarodową, o wiele bardziej optymistyczne. Prorocy, którzy usiłowali tak często i usiłują wciąż jeszcze niepokoić opinię francuską, muszą stwierdzić fakt, że ich ponure przepowiednie, jedna za drugą, okazują się fałszywe.

Jeden ze zwolenników Bonneta napisał w dniu 14 marca artykuł wymierzony przeciwko tym, którzy twierdzili, że Hitler wystąpi raz jeszcze.

---

1 Znany dziennikarz francuski, współpracował z l'Ordre. W omawianym okresie był przeciwnikiem polityki ustępstw wobec Hitlera i domagał się wzmocnienia sojuszu francusko-sowieckiego. — Red.

Wieczorem tego dnia prezydent okrojonej Republiki Czechosłowackiej, Emil Hacha, musiał stanąć w obliczu Hitlera miotającego się w ataku wściekłości. Z pomocą Ribbentropa i Goeringa po paru godzinach führer przełamał opór Hachy. Chory starzec zachował przytomność tylko dzięki zastrzykom. Hitlerowcy, wszystko przewidujący, mieli w sąsiednim pokoju przygotowane lekarstwa. Hacha, rozbity i bezsilny, podpisał wreszcie, że się „zgadza" poddać Czechy i Morawy pod protektorat Hitlera.

15 marca 1939 roku, w pięć i pół miesięcy po Monachium, Hitler wkraczał do Pragi. Stojąc w oknie starego królewskiego zamku na Hradczynie, patrzył na piękne, stare miasto. Tej nocy Czesi płakali w swych domach.

Po tym sensacyjnym wydarzeniu szybko nastąpiły inne. Jak małą przystawkę przełknął Hitler Kłajpedę, którą musieli mu odstąpić Litwini, a w Wielki Piątek Mussolini napadł na Albanię i włączył ją do nowego „Cesarstwa Rzymskiego".

XIII

W PRZEDEDNIU WOJNY

Podbój Czechosłowacji naruszył równowagę mocarstw europejskich. Ale o ile resztę Europy dręczył koszmar wojny, o tyle Hitlera nękał również koszmar: strach przed wojną na dwa fronty.

Tym, czego lękał się najbardziej, było ścisłe porozumienie, doskonały sojusz pomiędzy demokracjami Zachodu i Związkiem Radzieckim. Dlatego właśnie starał się z taką uporczywością o obalenie paktu francusko-radzieckiego. Dlatego właśnie jego agenci we Francji utrzymywali, że pakt ten jest jedyną istotną przeszkodą w przyjaźni między Niemcami a Francją.

Żołnierze Hitlera zajęli Pragę, ale niemieccy oficerowie, którzy się w niej znaleźli, zapewniali, że wkrótce pójdą dalej. Na Polskę? Za Polską wydłużał się ogromny cień Rosji Sowieckiej. Co stałoby się, gdyby demokracje, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa i przedarłszy się przez gąszcze hitlerowskiej propagandy, zbliżyły się do Rosji zawierając z nią szczere i otwarte przymierze?

W raporcie, który Bonnet otrzymał z Berlina i którego nigdy nie opublikował, znajdowała się wzmianka, że od chwili upadku Pragi Hitler śledził rozwój pertraktacji między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim, jak pilot

śledzi treść komunikatów meteorologicznych. Hitler oceniał sytuację właściwie, ale sedno sprawy polegało na tym, czy rządy demokratyczne docenią ją także. Czy będą nadal uprawiały „politykę uspokojenia", czy ją porzucą?

Mówiono, że po Pradze Daladier i Chamberlain zmienili poglądy i porzucili politykę uspokojenia. Trudno jest w to uwierzyć. Chamberlain nie był zdolny wyjść poza granice swego poglądu na świat. Ograniczony i kłótliwy, mały człowieczek z prowincji — Daladier też nie łatwo dochodził do czegoś, co wykraczało poza jego ciasne horyzonty myślowe. Obu tym ludziom brakowało wielkości, która cechuje prawdziwych mężów stanu, i zdolności dostrzegania własnych błędów.

Polityka uspokojenia bynajmniej nie była dyktowana sentymentem. Nie wynikała również z nieugiętego stanowiska antywojennego, dla którego żadna ofiara nie byłaby zbyt wielka. Nie, ta polityka wynikała z koncepcji czysto politycznej, którą jasno wyraził francuski dziennik faszystowski C o m b a t :

> Partie prawicy sądziły, że w wypadku wojny należy brać pod uwagę nie tylko porażkę, nie tylko możliwość klęski lub zniszczenia Francji. Jako konsekwencję klęski Niemiec należy przewidywać upadek systemów autorytatywnych, stanowiących najlepszą zaporę przeciwko komunizmowi i być może bolszewizacji.

Po upadku Pragi Chamberlain i Daladier mogli być zaskoczeni, oburzeni bezlitosnymi uderzeniami Hitlera. Mogli wpaść w gniew ze względu na afront, jakiego doznali ze strony dyktatorów. Ale, podobnie jak ojciec może być oburzony złym postępowaniem swego dziecka, a mimo to nie przestaje go uważać za swoje dziecko, ojcowie polityki uspokojenia nie wyrzekli się swego potomstwa. W trzy dni po zajęciu Pragi, gdy Rosjanie zaproponowali, aby Francja, Anglia, Rosja, Polska, Rumunia i Turcja omówiły na wspól-

nej konferencji środki oporu przeciwko nowej agresji, propozycja ta została odrzucona jako „przedwczesna".

Chamberlain, odpowiadając na pytanie dotyczące oferty rosyjskiej, wyłożył jasno swój punkt widzenia:

> Rząd nie chce, aby w Europie powstały dwa przeciwstawne bloki krajów mających odrębną koncepcję wewnętrznej formy rządu.

Daladier pośpieszył ze słowami uspokajającymi:

> Nie mam potrzeby dodawać, że związek z Wielką Brytanią nigdy nie był silniejszy i ściślejszy niż dzisiaj.

Ośmieleni losem propozycji rosyjskich hitlerowcy zaczęli rozważać możliwość nagłego uderzenia na Gdańsk. Pod koniec marca w Berlinie, Warszawie i Gdańsku rozeszła się wiadomość o grożącym puczu hitlerowskim. Pogłoska ta ucichła wskutek pogotowia wojennego armii polskiej. Hitlerowcy spodziewali się zapewne odnieść jeszcze jedno zwycięstwo bez oporu.

Ale zagrożenie Gdańska, wzmagające niebezpieczeństwo wojny, wstrząsnęło opinią publiczną, zwłaszcza w Anglii. Trzeba było coś uczynić. Było rzeczą oczywistą, że należało rozpocząć pertraktacje z Rosjanami i ustalić ścisłe zasady porozumienia. Nie uczyniono tego; natomiast podpisano z Polską pakt wzajemnej pomocy na wypadek agresji. Nie zasięgano opinii Rosji. W kwietniu mocarstwa zachodnie ustami Chamberlaina dały jednostronną gwarancję Grecji i Rumunii.

W tym samym miesiącu Rosja otrzymała francusko-angielską propozycję zagwarantowania Polsce pomocy na tych samych warunkach, na jakich uczyniły to demokracje zachodnie. Odpowiedź rosyjska nadeszła w ciągu dwóch dni: była to propozycja potrójnego sojuszu pomiędzy Francją, W. Brytanią i Rosją.

Maj przyniósł Francji wiele przestróg, jeżeli więc porozumienie z Rosją było rzeczą pożądaną, należało zawrzeć je właśnie w tym momencie. Robert Coulondre, ambasador Francji w Berlinie, podał do wiadomości, że pewna osobistość z bezpośredniego otoczenia Hitlera, w toku rozmowy z nim, uchyliła rąbka tajemnicy, osłaniającej postawę Niemiec wobec Związku Radzieckiego. Ponieważ Bonnet nie wykazywał chęci reagowania na owe przestrogi, jeden z wysokich dostojników jego gabinetu powiadomił o tym Daladiera. Wskutek tego, po trzech tygodniach, 9 maja, odpowiedziano wreszcie na propozycje rosyjskie.

Odpowiedź nie różniła się wiele od pierwszej sugestii francusko-brytyjskiej. Rosja da gwarancje Polsce, ale ma nie interweniować, dopóki państwa zachodnie nie wypowiedzą wojny. Ambasador sowiecki zapoznawszy się z kontrpropozycjami, zauważył ironicznie:

„W czasach dzisiejszych, kiedy deklaracja pokoju nie oznacza pokoju, takie wypowiedzenie wojny nie jest równoznaczne z wojną".

I znów Rosjanie odpowiedzieli natychmiast; w pięć dni po otrzymaniu francusko-angielskiej kontrpropozycji ponowili swoją na temat zawarcia potrójnego sojuszu.

Minęły dwa tygodnie, zanim państwa demokratyczne powzięły decyzję. W ciągu tego czasu Niemcy i Włosi zakończyli pertraktację w sprawie sojuszu wojskowego. Coulondre przysłał z Berlina nową przestrogę. Brzmiała ona jeszcze bardziej stanowczo. Według ostatnich wiadomości Ribbentrop powziął koncepcję zbliżenia między Niemcami a Związkiem Radzieckim.

> Nadzieje Ribbentropa — pisał on — mogą się stać realne, jeśli będą się pogłębiały trudności, jakie napotykały w ostatnich czasach pertraktacje angielsko-sowieckie.

27 maja wysłano wreszcie ambasadorom Francji i Anglii w Moskwie instrukcje, by rozpoczęli pertraktacje z Rosjanami na temat trójprzymierza.

Tego samego dnia podpisany został sojusz wojskowy między Niemcami a Włochami: pakt żelazny. Pertraktacje nad zawarciem tego paktu trwały 20 dni.

We Francji rósł gwałtowny niepokój. Kongres socjalistyczny ukazał głęboki podział wewnętrzny. Wspólny front między dwiema partiami robotniczymi był złamany. Sekretarz generalny Partii Socjalistycznej, Paul Faure, jeden z najbliższych przyjaciół Georges'a Bonneta, przestrzegał kongres przed niebezpieczeństwem sojuszu z Rosją:

> Jeśli mocarstwa osi poczują się okrążone — powiedział — będzie to oznaczało wojnę.

Marceli Déat, inny wspólnik Bonneta, przedsięwziął kampanię przeciwko jakiemukolwiek angażowaniu się w sprawie Gdańska.

W tym czasie rozmowy w Moskwie zaczęły napotykać pewne trudności. Rosjanie zażądali, aby pewne klauzule sojuszu obowiązywały do wystąpienia także w wypadku agresji pośredniej. Przedstawiciele państw zachodnich nie zgodzili się na to.

Ambasadorowi angielskiemu przydzielono do asysty w rozmowach moskiewskich urzędnika z Downing Street, Williamsa Stranga. Wybór nie był szczęśliwy. Rosjanie podejrzewali Stranga o wrogi stosunek do sprawy porozumienia. Pamiętali, że osobnik ów był współpracownikiem lorda Runcimana w toku jego misji w Czechosłowacji.

Coulondre przysłał z Berlina nowy apel, aby spieszono się z zawarciem paktu w Moskwie. Zwracał uwagę, że Ribbentrop z powzięciem jakichkolwiek definitywnych decyzji czekał na rezultat pertraktacji między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim. W Berlinie śledzono wiadomości z Moskwy z zainteresowaniem, które w sposób pośred-

ni potwierdza również Times w swej depeszy w jednym z numerów czerwcowych:

> Gdyby pertraktacje spełzły na niczym, Rzesza bez żadnej wątpliwości starałaby się o zabezpieczenie sobie frontu na wschodzie, zarówno przez zbliżenie gospodarcze jak i przez gwarancje polityczne.

Korespondent ów przewidywał dokładnie, co miało nastąpić w dwa miesiące później. Prasa francuska otrzymała z Quai d'Orsay wskazówkę niecytowania tego artykułu.

W tym rozstrzygającym momencie uwagę skupił na sobie artykuł Żdanowa, jednego z najbliższych ludzi Stalina, w którym stwierdzał on, że nie zgadza się z tymi ze swych przyjaciół, którzy wierzyli, że Anglicy i Francuzi pragnęli naprawdę zorganizować skuteczny opór przeciwko agresji. Jego zdaniem, mocarstwa te pragnęły jednostronnego paktu, który zobowiązywałby po prostu Rosję do wspomagania ich, nie dając przy tym żadnej obietnicy pomocy wzajemnej, paktu, którego żaden szanujący się kraj nie mógłby przyjąć.

Zaniepokojeni artykułem Żdanowa niektórzy ministrowie francuscy wywierali nacisk na Daladiera, aby wysłano do Moskwy jednego z członków rządu, zaopatrzonego w nieograniczone pełnomocnictwa. W Londynie na Chamberlaina wywierano podobny nacisk. Ambasador sowiecki w Londynie, Majski, dał do zrozumienia lordowi Halifaxowi, że jego obecność w Moskwie byłaby bardzo pożądana i w znacznym stopniu ułatwiłaby pertraktacje. Chamberlain Halifaxa nie wysłał!

W końcu czerwca główny agent Hitlera, Otto Abetz, został wydalony z Francji. Był to człowiek inteligentny, kulturalny, błyskotliwy; był ożeniony z Francuzką. Zapraszano go, zabiegano o jego towarzystwo w licznych wykwintnych salonach paryskich. Hrabina de Portes, przyjaciółka Paul Rey-

nauda, i markiza de Crussol, przyjaciółka Daladiera, zaliczały go w poczet swych stałych gości.

Miał on ogromne sumy do swej dyspozycji. Kupował dziennikarzy, redaktorów dzienników, szefów reklamy; kupował polityków. W jednym z raportów z Berlina, ukrytych na Quai d'Orsay wśród papierów Georges'a Bonneta, znajdowała się informacja, że Abetz w przypływie szczerości chwalił się pewnego dnia, iż ma w swojej kieszeni więcej aniżeli tuzin deputowanych francuskich.

Tymczasem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych dotarły nowe, konkretniejsze niż dotąd wiadomości, dotyczące zmiany w stosunkach rosyjsko-niemieckich. Jeden z komunikatów, pochodzących od konsula generalnego w Hamburgu, donosił: „Według dobrze na ogół poinformowanych kół gospodarczych, o ile nie zostanie zawarte porozumienie między Londynem, Paryżem i Moskwą, rząd sowiecki podpisze pakt o nieagresji z Niemcami.

W trzecim tygodniu lipca dowiedziano się, że odbyły się rozmowy pomiędzy drem Wohlthatem, przedstawicielem handlowym Hitlera, i sekretarzem parlamentarnym brytyjskiego ministerstwa handlu, Robertem Hudsonem. Rozmowy te miały zapoczątkować coś w rodzaju polityki uspokojenia na polu gospodarczym, chodziło bowiem o pożyczenie Niemcom przez Anglię kwoty stu milionów funtów szterlingów.

Po swym powrocie z Moskwy Naggiar, ambasador Francji, powiedział jednemu z deputowanych, że wiadomość ta wywołała poważny oddźwięk w Moskwie. Rosjanie zaproponowali, aby mocarstwa zachodnie wysłały misję wojskową zaopatrzoną w nieograniczone pełnomocnictwa do zawarcia porozumienia wojskowego. Mieli nadzieję, że takie rozmowy mogłyby ułatwić rozwiązanie zagadnień politycznych. Wreszcie po pewnych wahaniach Anglicy w dniu 1 sierpnia zaakceptowali te propozycje. I tym razem wybrali oni oficerów o mało znaczących nazwiskach. Według słów Hugh Daltona, brytyjskiego ministra gospodarki wojennej, Rosjanie oczekiwali Gamelina i Gorta i uważali, że wysłano do nich ludzi

nie posiadających swobody decyzji, ani też należytych kwalifikacji do prowadzenia rozmów na równej stopie z Woroszyłowem.

Lloyd-George zaatakował również rząd brytyjski za jego postawę w sprawie rosyjskiej:

„Nie ma on wyczucia powagi sytuacji — powiedział. — Świat jest na skraju przepaści, wolność jest zagrożona".

W czasie kiedy misja wojskowa udawała się do stolicy Związku Radzieckiego, napięcie między Polską a Niemcami doszło do szczytu. Przewidywano atak hitlerowski na Polskę na dzień 15 sierpnia, później na 23 lub 24. Doroczny kongres hitlerowski w Norymberdze został przełożony. Przygotowania wojenne trwały bez przerwy.

Z początku przyszła wiadomość, że francusko-angielskie rozmowy z Moskwą posuwają się powoli. A kiedy doszło do omawiania sprawy, w jaki sposób Rosja mogłaby okazać skuteczną pomoc Polsce, okazało się, że sytuacja znowu jest bez wyjścia, jeśli idzie o udział Armii Czerwonej w obronie Polski. Jak oświadczyła pewna wysoka osobistość na Quai d' Orsay, Polacy pragnęli stawić czoło ofensywie niemieckiej wyłącznie własnymi siłami.

Niebezpieczeństwo hitlerowskie zbliżało się bezpośrednio do granic Związku Radzieckiego. Odpowiadało to przewidywaniom i planom ludzi stojących na czele rządów: francuskiego i angielskiego.

23 sierpnia został podpisany niemiecko-rosyjski pakt nieagresji. Ludzie marzący o „krucjacie antyradzieckiej" Europy zachodniej doznali gorzkiego zawodu.

Naród francuski, nie wiedząc o przestrogach ambasadora francuskiego w Niemczech i nie poinformowany należycie o przebiegu wydarzeń, był zdumiony i zaskoczony zawarciem tego paktu. Ostatni tydzień sierpnia minął wśród sprzecznych decyzji, podejmowanych w obliczu zbliżającej się wojny. Bonnet polecił ambasadorowi Francji w Warszawie zadanie, by wywierał nacisk na rząd polski.

„Winien on wstrzymać się od wszelkiej akcji zbrojnej w wypadku, jeżeli senat Wolnego Miasta Gdańska uchwali przyłączenie tego miasta do Rzeszy". Oznaczało to, że Francja zdecydowała się pozwolić Hitlerowi na owładnięcie Gdańskiem.

Nowiny pomyślne następowały po niepomyślnych i na odwrót. Mówiono, że Hitler gotów jest iść na kompromis. Sir Newille Henderson wyjechał z Berlina do Londynu i wrócił na swe stanowisko z nową propozycją. Robert Coulondre kilkakrotnie odwiedział führera. Daladier wysłał kilka listów do Hitlera, w których oświadczył, że Francja będzie się biła u boku Polski, jeśli ta zostanie zaatakowana.

Miliony Francuzów zostało zmobilizowanych, setki paryżan opuściło miasto. Później, pod koniec sierpnia, dowiedziano się, że Polacy i Niemcy rozpoczęli bezpośrednie rokowania. Pewien minister powiedział do mnie z ulgą: „Tej nocy możemy spać spokojnie".

Tymczasem radio niemieckie ogłosiło żądania sformułowane przez hitlerowców jako warunek porozumienia z Polską. Dodawało ono, co było złą wróżbą, że nie stało się zadość niemieckiemu żądaniu — nie został wysłany polski pełnomocnik. Postawione w ten sposób warunki przestały obowiązywać.

— Czy sądzi pan, że zaatakują tej nocy? — zapytałem na Quai d'Orsay.

— Minister sądzi, że jest to zwykły bluff hitlerowski! — odpowiedziano mi.

Nazajutrz rano obudziła mnie wiadomość, że oddziały hitlerowskie przekroczyły granicę polską.

Posiedzenie gabinetu, zwołane tego dnia, trwało długo. Jeden z ministrów powiedział mi, że Bonnet został upoważniony do przyjęcia zaproszenia Mussoliniego na konferencję, która miała się odbyć 5 września. Przyjęto zaproszenie nie wysuwając żadnego warunku. Rząd brytyjski przyjął je rów-

nież, ale zażądał, by Niemcy wycofali swe wojska z Polski. Po kilkugodzinnych rozmowach pomiędzy Paryżem a Londynem rządy, francuski i brytyjski, uzgodniły linię postępowania.

Uchwalono powszechną mobilizację. Kawiarnie były przepełnione. Tak samo metro i autobusy. Nie można było znaleźć wolnej taksówki... A wiadomości nie było żadnych. Tylko kaczki dziennikarskie.

2 września parlament zebrał się dla wysłuchania mowy Daladiera. Wszyscy wiedzieli, że była to wojna. Słowa Daladiera nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

Oddziały hitlerowskie posuwały się naprzód w głąb Polski. Pierwsze wiadomości, które dotarły, mówiły o straszliwych bombardowaniach powietrznych.

Niedziela 2 września była ostatnim dniem pokoju. Ambasador Francji udał się do Ribbentropa i zawiadomił go, że jeśli do godz. 5 po południu Niemcy nie wycofają swych oddziałów z Polski, Francja będzie uważała, że jest w stanie wojny z Niemcami. Ultimatum brytyjskie wygasło o godz. 11 przed południem.

Godziny wlokły się wolno, bardzo wolno... Minęła, zdawać by się mogło, wieczność. Zanim wskazówki dobiegły godziny piątej, Francja znalazła się w stanie wojny!

Czy jeszcze tej nocy przylecą samoloty hitlerowskie?

Jestem pewien, że owego wieczoru nie było domu we Francji, gdzie nie stawiano sobie tego pytania. Patrol policji zatrzymał mnie na Placu Opery i zażądał ode mnie dokumentów. Kapral klął siarczyście: „Ci łajdacy zdolni są przylecieć jeszcze tej nocy!"

Zaciemnienie było kompletne. Ludzie z obrony przeciwlotniczej przechadzali się po ulicach i gwizdali widząc najmniejsze światełka w którymś z okien. Mieliśmy na naszej ulicy szefa bloku, który gwizdał ze szczególną pasją. Niejednego z nas i nieraz przyprawił o migrenę.

Nie było wiele do roboty w gazecie. Ustanowiono cenzurę.

Tymczasem hitlerowcy szli coraz dalej w głąb Polski.

XIV

OD ŚMIESZNEJ WOJNY DO WOJNY BŁYSKAWICZNEJ

Mobilizacji dokonano z precyzją mechanizmu zegarowego... Tak przynajmniej twierdzono w kołach urzędowych. Zapomniano jedynie dodać, że według tego planu do zakończenia mobilizacji potrzeba było pięćdziesięciu dni. Hitler na zajęcie Polski zużył mniej niż połowę tego czasu.

Nie istnieją żadne ogólnie obowiązujące zasady, jak należy prowadzić wojnę. Jeśli Niemcy przyjęły zasadę wojny błyskawicznej, stało się to nie tylko dlatego, że niemiecki sztab generalny uważał ofensywę za najbardziej skuteczny sposób prowadzenia wojny. Koncepcja wojny błyskawicznej zrodziła się we Włoszech i została przyjęta przez Niemcy, ponieważ zwycięstwo jednego i drugiego z tych narodów zależało od szybkości działania. Położenie geograficzne Niemiec, ich potencjał rolniczy, zależność od obcych źródeł surowców nakazywały bezwzględną koncentrację wysiłków, by móc zadawać ciosy szybkie i rozstrzygające.

Z Francją było inaczej. Musiała ona walczyć z nieprzyjacielem dwa razy silniejszym i posiadającym wielkie tradycje militarne; taka sytuacja wymagała zrównoważenia jej mniejszego potencjału ludnościowego i przemysłowego przez sojusze z innymi narodami, które były tak samo zainteresowane w zahamowaniu dążeń Hitlera do opanowania konty-

nentu. Gdyby Francji nie udało się zawrzeć sojuszów tego rodzaju, przeciwnik miałby w ręku wielkie atuty. Francja mogłaby przezwyciężyć swe trudności tylko odwlekając decydujące posunięcia aż do czasu, w którym skutki blokady zaczęłyby działać na stan moralny Niemców.

Ta właśnie idea zrodziła koncepcję linii Maginota. Kiedy się okazało, że te fortyfikacje nie miały dużej wartości militarnej, zaczęto uważać, że Francja została pokonana na skutek swej ślepej wiary w owe fortyfikacje. Myślę, że ta interpretacja nie jest właściwa. Idea linii Maginota sama w sobie nie była, być może, fałszywa. Fatalnym był natomiast „duch linii Maginota", który dał jej początek.

Chcę przez to powiedzieć, że francuski sztab generalny w swych kalkulacjach przywiązywał większe znaczenie do technicznej strony samych umocnień niż do ludzi, którzy mieli się w nich bronić. Ktoś powiedział, że francuski sztab generalny przygotowywał wojnę w roku 1940 tak, jakby była ona przedłużeniem wojny z roku 1914. Należy to rozumieć w tym sensie, że francuska strategia wojenna nie zdawała sobie zupełnie sprawy z olbrzymich przeobrażeń, jakie zaszły w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Lecz nie jest to najważniejsze, iż francuski sztab generalny nie zdawał sobie sprawy, że prowadzenie nowoczesnej wojny wymaga nowej techniki. Prawdopodobnie nie doceniał on roli lotnictwa i czołgów. To jednak nie tłumaczy dostatecznie druzgocącej klęski. Momentem, którego generałowie francuscy, a wraz z nimi przywódcy polityczni nie docenili zupełnie, jest rola czynnika społecznego.

Wojnę nowoczesną z jej olbrzymimi możliwościami technicznymi można przegrać przed jej rozpoczęciem. Oto prawdziwa i głęboka lekcja, wyniesiona z bitwy o Francję.

Przystępując do wojny Francja była rozdarta wewnętrznie od podstaw do szczytu drabiny społecznej. Przyczyną tego rozdarcia była zarówno sama wojna jak okoliczności, które ją wywołały. Wybitny teoretyk wojskowy Niemiec hitlerowskich napisał, że podczas wojny jedno zagadnienie: zagadnie-

nie, po co toczy się wojna, nie może być w żadnym wypadku przedmiotem dyskusji. Tymczasem cały prawie naród francuski, od samego początku działań wojennych, żądał z uporem odpowiedzi na to właśnie pytanie. Ci, którzy sądzili, że wojna była konieczna, gdy chodziło o obronę wiernego sojusznika, jak Czechosłowacja, o obronę innych małych krajów, po to, by ocalić pokój, pytali obecnie: „Dlaczego mamy bić się właśnie za Polskę?" Pytanie to można było odczytać w spojrzeniach wszystkich, w spojrzeniu żołnierza, udającego się do swego pułku, w spojrzeniu pełnym łez matki, żony i siostry, gdy pociąg uwożący ich bliskich znikał na horyzoncie.

Nikt nie oczekiwał objawów entuzjazmu. Dzienniki stwierdziły, że cisza, z jaką przyjęto wojnę, była oznaką zdecydowania i godności. Oznaczała ona, sugerowały, iż Francja była gotowa położyć kres nie dającej się utrzymać sytuacji. Ale nie było to ścisłe. Francuzi szli na wojnę z wielkim smutkiem w sercu. W najlepszym razie byli gotowi z rezygnacją znieść jej konsekwencje i byli przekonani, że teraz należało to uczynić.

Politycy, na których barki spadł obowiązek przekonania narodu, byli niezdolni do podjęcia tak niewdzięcznego zadania. I jakże mogło być inaczej? Byli to przecież ci sami ludzie, którzy położyli swój podpis pod układem monachijskim. Byli to ci sami ludzie, których błędy, usankcjonowane ich autorytetem, podkopały morale narodu. Rząd oświadczył: „Jedność jest palącą koniecznością". Ale sam był wewnętrznie rozdarty. Pierwsze strony dzienników wychwalały niezwykłą odwagę, jaką wykazał lud francuski w godzinie próby. Ale na następnych stronicach toczyły się nadal potępieńcze swary i zjadliwe polemiki, ziejące jadem nienawiści.

Jak można było osiągnąć jedność? Nie da się jej uzyskać przy pomocy słów. Podstawą jedności jest idea lub konieczność. Lud nie odczuwał w tej wojnie ani jednej, ani drugiej.

Walka za demokrację? Hasło to dla części narodu straciło swą siłę atrakcyjną od chwili, kiedy ze słowem demokracja złączyło się pojęcie zdrady i hańby.

Walka z hitleryzmem? Hasło to nie odpowiadało innej części opinii publicznej, gdyż dla niej Hitler był twierdzą przeciwko bolszewizmowi. Sądziła, że nieprzyjaciel nie był po drugiej stronie Renu.

Propaganda hitlerowska doceniała magiczną potęgę tej idei. Wypróbowała ją dokładnie już przed wojną. Stosowała ją i podczas wojny. Potężna piąta kolumna, wdarłszy się i zajęwszy obronne stanowiska na wszystkich najbardziej kluczowych placówkach aparatu państwowego, była chorążym tej idei. Kiedy wojna wybuchła, ludzie Hitlera byli już w samym sercu Francji. Bastion francuski był podminowany od wewnątrz, zanim został zaatakowany z zewnątrz.

Francja walczyła z Niemcami przez dziesięć miesięcy. Podczas pierwszych ośmiu i pół miesiąca naród francuski widział i przeżywał wojnę pozycyjną. Nerwy poddane zostały działaniu zaporowego ognia propagandy. Ze strony francuskiej nie było widać żadnej skutecznej kontrofensywy. W ciągu następnych sześciu tygodni Hitler stoczył z Francją wojnę błyskawiczną. Wynik jej był wiadomy już w ciągu piętnastu dni, po pierwszym piorunującym uderzeniu. Kiedy Niemcy przebili front pod Sedanem i doszli do kanału La Manche, kampania francuska była zakończona. Po raz drugi w ciągu lat siedemdziesięciu los Francji został przypieczętowany w tym samym miejscu. Sedan stał się symbolem francuskiej klęski. Po Sedanie z roku 1870 Trzecia Republika narodziła się; po Sedanie z roku 1940 została zamordowana.

Dziesięć miesięcy wojny francuskiej można podzielić na pięć okresów. Następują one jeden po drugim, nieubłaganie, jak akty greckiej tragedii. Myślę, że warto kolejno przyjrzeć

się tym pięciu okresom przed wysunięciem z nich pewnych wniosków ogólnych.

Pierwszy okres trwał od chwili wypowiedzenia wojny do upadku Warszawy; trwał dwadzieścia siedem dni miesiąca września 1939 roku.

W ciągu tego czasu Hitler zachowywał wobec Francji postawę na wpół przyjazną „Nie prowadzę wojny przeciwko Francji. Nie będę jej atakował" — oświadczył w Reichstagu, w przemówieniu wygłoszonym w chwili rozpoczęcia działań wojennych. Niemieckie radiostacje i ich francuscy agenci powtarzali te słowa do znudzenia.

Żona jednego z kolegów, który był w tym czasie korespondentem wojennym, powtórzyła mi słowo w słowo zasadnicze ustępy przemówienia Hitlera. Sprzedawczyni dzienników, u której stale kupowałem gazety, powiedziała mi: — — Jeśli chodzi o mnie, uważam, że Niemcy zachowują się w stosunku do nas bardzo przyzwoicie.

W ciągu pierwszych czterech tygodni wojny Francja szybko przyzwyczaiła się do różnych ograniczeń życiowych. Zaciemnienie uczyniło z Paryża miasto ciemności. Podczas pierwszych alarmów lotniczych odbyło się bez poważnych strat. Nasza sąsiadka, młoda dziewczyna, urzędniczka Ministerstwa Kolonii, usłyszawszy po raz pierwszy wycie syreny dostała ataku nerwowego. Ale większość kobiet z naszego bloku zachowała spokój; zaopatrzyła się w maski gazowe i gotowa była użyć ich w razie potrzeby. Trzeci nalot już minął bez wrażenia. Nie było trwogi ani paniki. Początkowo noszono maskę gazową z pewnego rodzaju dumą, niczym dekorację. Ale wkrótce przestało się je widzieć na ulicach.

Armia francuska posuwała się ostrożnie naprzód przez niezamieszkałe tereny i pola minowe na obszarze Saary. Przed oddziałami pędzono stada świń dla wywołania wybuchów min. Twierdzono, że te działania zmusiły Hitlera do wycofania z Polski sześciu dywizji, aby wzmocnić linię Zygfryda. Trudno byłoby jednak zauważyć jakąkolwiek potrzebę rzucenia ich do walki. Poza kilkoma utarczkami grup

zwiadowczych, bez większego znaczenia, nie nastąpiło żadne spotkanie między Niemcami a Francuzami, godne zanotowania. W tym okresie wylądowały we Francji pierwsze kontyngenty wojsk angielskich. Był to już wielki czas, gdyż piąta kolumna starała się wygrywać na ich nieobecności, siejąc odpowiednią propagandę wśród żołnierzy. W wielu garnizonach zrzędzono i narzekano: „Gdzie są Anglicy?"

Daladier oczywiście zrekonstruował gabinet. Wreszcie, ale o wiele za późno — Bonnet opuścił Quai d'Orsay. Daladier przejął jego tekę, Bonnet zaś objął tekę ministra sprawiedliwości, gdzie miał możność osłaniania agentów Hitlera przed skazującymi wyrokami.

Około połowy września redaktor mój uzyskał z wiarogodnych źródeł informację, iż Bonnet otrzymał znaczne fundusze na przeprowadzenie kampanii na rzecz porozumienia z Hitlerem. Dwie grupy polityków wzięły udział w posunięciach związanych z tą akcją. Około piętnastu deputowanych zgrupowało się wokół Déata i Bergery'ego. Około trzydziestu innych stworzyło drugą klikę wokół Lavala i Marqueta. Bonnet występował jako łącznik pomiędzy tymi dwiema grupami. Wraz z Lavalem dysponował większą częścią pieniędzy przeznaczonych na owe matactwa.

W owym pierwszym okresie odbyły się dwa zgromadzenia Najwyższej Rady Wojennej. „Gdzieś we Francji" Chamberlain oraz kilku jego ministrów spotkało się z Daladierem. Rozmowy ich dotyczyły rozpaczliwych apelów Polski o pomoc, przyspieszenia poboru do wojska w Anglii i ustalenia polityki w stosunku do Rosji i Włoch. Dwaj premierzy zdecydowali nie wysyłać samolotów do Polski. Chamberlain mówił o trudnościach, jakie wywołało przyspieszenie poboru, a to na skutek braku wyszkolonych oficerów i ekwipunku dla nowych oddziałów. Zgodzono się na ponowną próbę zbliżenia z Włochami celem oderwania ich od Niemiec. Zamierzano ofiarować Mussoliniemu port Dżibutti, kilka koncesji terytorialnych w brytyjskim Somali, zwiększenie ilości akcji i miejsc w zarządzie Kanału Sues-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit.

kiego, rozszerzenie uprawnień Włochów w Tunisie i znaczne kredyty. W Najwyższej Radzie Wojennej załatwiono również sprawę koordynacji działalności armii francuskich i angielskich na Bliskim Wschodzie, na wypadek napaści na Związek Radziecki. Generał Weygand został mianowany głównodowodzącym wojsk francuskich w Syrii.

Podczas gdy kampania w Polsce dobiegała końca, Daladier odbył szereg konferencji ze sztabem generalnym i ministrem spraw wewnętrznych, Sarrautem w sprawie przedsięwzięcia środków zaradczych w stosunku do komunistów. Pewien członek rządu powiedział mi, że w czasie jednej z tych rozmów wywiązała się gwałtowna polemika między Daladierem a generałem Gamelin. Sztab generalny przeciwstawił się delegalizacji partii komunistycznej; generał obawiał się, że w armii, gdzie jeden człowiek na dziesięciu był komunistą, tego rodzaju posunięcie wywoła wielkie niezadowolenie nawet wśród wielu ludzi pracy, nie mających żadnej sympatii dla komunistów. Bał się, że to zarządzenie może źle wpłynąć na stan moralny żołnierzy; w końcu jednak ustąpił przed wolą Daladiera. Sarraut podtrzymał premiera w dyskusji i partia komunistyczna została postawiona poza nawiasem prawa.

Po bohaterskiej obronie Warszawa padła. Tego samego dnia oddziały francuskie zaczęły wycofywać się z niezamieszkałych terenów przygranicznych, które przedtem zajęły. Wycofały się na linię Maginota.

Pierwszy okres wojny był zakończony.

Następna faza wojny trwała przez październik i listopad, aż do początku wojny rosyjsko-fińskiej.

W ciągu tych trzech miesięcy dzienniki francuskie, z wyjątkiem kilku, które były przeciwko Monachium, zaczęły otwarcie traktować Rosję jako wroga numer 1. Hitler został odsunięty na drugi plan. Pewien członek rządu brytyjskiego, przybyły na konferencję do Paryża, powiedział mi: „Kiedy czyta się prasę francuską, ma się wrażenie, że Francja pro-

wadzi wojnę ze Związkiem Radzieckim, a z Niemcami jest co najwyżej w nieco naprężonych stosunkach".

Na początku października Hitler wygłosił w Reichstagu przemówienie, które, jak twierdził, zawierało jego ostatnią propozycję pokojową. W kilka dni później otrzymaliśmy pocztą w naszej redakcji małą broszurkę. Drukowana była bez wątpienia w Niemczech i zawierała główne urywki z przemówienia Hitlera. Broszury te musiały być rozpowszechniane we Francji w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Policja odkryła następnie, że przedostawały się one do Francji przez Szwajcarię przy współdziałaniu jednej z grup organizacji Krzyżów Ognistych, czynnej w okolicach granicy francusko-szwajcarskiej, koło Genewy.

Jeśli chodzi o front wewnętrzny, ogłoszono nowe dekrety. Przedłużały one tydzień pracy do siedemdziesięciu dwóch godzin, nakładały podatek w wysokości 15% od dochodu i 40% od dochodu z pracy w godzinach nadliczbowych. Zarządzenia te wywołały duże wzburzenie w fabrykach, przede wszystkim dlatego, że nie wprowadzono jednocześnie żadnego nowego opodatkowania zysków wojennych.

Marcel Déat, który napisał artykuł żądający zawarcia natychmiastowego pokoju bez stawiania jakichkolwiek warunków, został przesłuchany przez sędziego śledczego i zwolniony. Wkrótce potem nawet oskarżenie przeciwko niemu zostało cofnięte.

Członek stałej komisji administracyjnej przy Partii Socjalistycznej, prof. Zoretti, puścił w obieg w kuluarach Izby Deputowanych i przesłał do kilku redakcji rewelacyjny list. Zoretti został wykluczony z SFIO, ponieważ zażądał od pewnego socjalisty szwajcarskiego, aby zwrócił się do Socjalistycznej Międzynarodówki z propozycją omówienia sprawy pokoju. Zoretti ogłosił, że Paul Faure podzielał jego poglądy; że Faure współpracował ściśle z Lavalem i że wskutek interwencji tych dwóch osobników Blum po przesileniu rządowym

nie został wicepremierem w gabinecie Daladiera, a Herriot ministrem spraw zagranicznych. Rewelacje te nie były pozbawione złośliwości, gdyż Zoretti cytował również pewne antysemickie aluzje, czynione przez Faure'a pod adresem Leona Bluma.

Faure i Laval pozostali nadal doradcami Daladiera.

Zmiany w rządzie włoskim zostały powitane przez prasę francuską jako oznaka, że duce dążył do usunięcia wpływów proniemieckich ze swego gabinetu. Dwa dzienniki usiłujące wyrazić inną opinię — która, jak późniejsze wypadki dowiodły, była jedynie słuszna — zostały poddane energicznym zabiegom cenzury i uprzedzone, że grozi im zamknięcie.

Listopad rozpoczął się w atmosferze dużego podniecenia. Krążyły pogłoski, że hitlerowcy przygotowują najazd na Holandię i Belgię. Pewnego ranka o wczesnej godzinie, gdzieś koło piątej, zostałem obudzony dzwonkiem telefonicznym. Z Quai d'Orsay zawiadamiano mnie, że inwazja została rozpoczęta. Był to fałszywy alarm. Według Quai d'Orsay generałowie powstrzymali Hitlera od wystąpienia. Moim zdaniem pogłoska o ofensywie grożącej Belgii i Holandii rozpowszechniona została przez Goebbelsa jako jeden z elementów „wojny nerwów". Podobne pogłoski krążyły stale, utrzymując przywódców politycznych i wojskowych w stanie ciągłego podniecenia nerwowego. Niestety, ilekroć Hitler rozpoczynał prawdziwą ofensywę, była ona zawsze niespodzianką.

Do Paryża doszła wiadomość o wybuchu bomby zegarowej w monachijskim Bierhalle. Wybuchła za wcześnie, na dwadzieścia minut przed przybyciem Hitlera. Ten nieudany zamach uznano za wyraz pogorszenia się sytuacji w Niemczech. Oświadczono oficjalnie, że gestapo samo sprowokowało ów zamach bądź dla zwiększenia popularności Hitlera w narodzie niemieckim, bądź po to, by dowieść, że gestapo było niezbędne. Historia zamachu miała konsekwencje dosyć komiczne. Różne grupy niemieckich emigrantów przyznawały się do udziału w jego organizacji. O przygotowaniach spiskowców opowiedziały mnóstwo szczegółów dwie tajne radio-

stacje, zorganizowane przez francuską służbę propagandową. Te fantastyczne wymysły zostały szybko zdemaskowane.

Nazajutrz po zamachu monachijskim, w granicznym miasteczku holenderskim de Venloo, zostało uprowadzonych przez hitlerowców dwu agentów brytyjskiego wywiadu. Hitlerowcy oświadczyli, że dwaj Anglicy byli zamieszani w sprawę zamachu. Rząd brytyjski natomiast oświadczył, że udali się oni na granicę holenderską celem przyjęcia niemieckich propozycji pokojowych. Pewien wysoki dygnitarz z tajnego wywiadu holenderskiego, który często bywał w Paryżu, opowiedział mi, że ci dwaj ludzie mieli wręczyć Goeringowi pismo lorda Halifaxa.

W tym okresie rządy, francuski i angielski, żywiły nadzieję, że uda się zorganizować spisek z udziałem Goeringa, dra Schachta i kilku poważnych niemieckich przemysłowców, przeciwnych paktowi niemiecko-sowieckiemu, którzy obalą Hitlera i doprowadzą do porozumienia z aliantami.

Stosunki między Daladierem i ministrem finansów, Reynaudem, były bardzo napięte z powodu rosnących wpływów Reynauda. Ów mały i ruchliwy „pies łańcuchowy" francuskich finansistów był znany w kołach parlamentarnych pod przezwiskiem „Delfina", ponieważ uważano na ogół, że obejmie on dziedzictwo po Daladierze. Aby położyć kres rosnącej popularności Reynauda, który zyskiwał coraz większe wpływy w Izbie, Daladier wysłał go do Londynu dla poczynienia Anglikom ważnych propozycji gospodarczych i finansowych. Rozmowy Reynauda i kanclerza skarbu, sir Johna Simona, zakończyły się porozumieniem zredagowanym w sposób dość ogólnikowy. Daladier wykorzystał to niepowodzenie Reynauda, posługując się tym jako argumentem wobec zwolenników ambitnego ministra.

Zawiść między tymi dwoma mężami stanu oczywiście poważnie wpłynęła na działalność rządu. Pewnego dnia przybyli do Paryża dwaj ministrowie angielscy i Daladier nie za-

prosił Reynauda na obiad wydany na ich cześć. Dwaj Anglicy, aby zobaczyć Reynauda, musieli udać się do jego ministerstwa, a uczynili to przed pójściem na obiad do Daladiera. Wprowadziło to premiera w stan takiej wściekłości, że o mało nie odwołał obiadu.

Parlament zaczynał powoli reagować na wojnę nerwów. Bezczynność armii francuskiej wywoływała u niektórych głęboką troskę, dla innych stanowiła jeszcze jeden argument za sprawą pokoju. W komisji spraw zagranicznych senatu Laval w jednym ze swych wystąpień zaatakował rząd, że nie dość energicznie usiłował nawiązać rozmowy z Mussolinim. Jego przyjaciel, Paul Reynaud, powrócił z Rzymu z pustymi rękoma. Laval podtrzymywany przez większość swoich kolegów żądał zerwania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim.

Znalazł on sojuszników, którzy poparli go na łamach Temps, Journal des Débats, Matin i kilku innych pism. Kampania była prowadzona z zapałem i zaciekłością, która wzmogła się szczególnie w chwili, w której wybuchła wojna rosyjsko-fińska.

Trzy następne miesiące przeszły niemal całkowicie pod znakiem tego wydarzenia. Trzeci okres wojny charakteryzowała jak najgwałtowniejsza kampania antysowiecka.

Wkrótce po wybuchu konfliktu fińskiego dyplomacja francusko-angielska wzięła się do roboty w Genewie: Rosja została wykluczona z Ligi Narodów. Głosy takie, jak głos Kerillisa, który przestrzegał przed „dodawaniem 170 milionów Rosjan do 80 milionów Niemców, których Francja miała mieć przeciwko sobie", zostały całkowicie zagłuszone wołaniem, żądającym wypowiedzenia przez Francję wojny Rosji.

Dwie grupy deputowanych, które sformowały się wokół Bergery'ego i Lavala, nie przestając zabiegać o pokój z Hitlerem, wywierały na Daladiera nacisk, by rozpoczął wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Podkreślali oni fakt, że

niebezpieczeństwo połączenia dwóch konfliktów, francusko-niemieckiego i rosyjsko-fińskiego, było raczej korzystne dla Francji. Uważali, że to połączenie dwóch wojen umożliwiłoby krucjatę antybolszewicką na wielką skalę, która przeciągnęłaby na stronę aliantów Włochy i Hiszpanię i skłoniła większość neutralnych mocarstw Europy oraz Stany Zjednoczone do udziału w konflikcie po stronie Francji.

Generała Weyganda wezwano do Paryża dla omówienia przygotowań na Bliskim Wschodzie. Inny generał francuski został wysłany do Finlandii jako doradca wojskowy. Przygotowywano załadunek samolotów i czołgów do Helsinek. W ciągu trzech miesięcy utrzymywano francuską opinię publiczną w wierze, że Finlandia może wygrać wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, a w każdym razie, że może opierać mu się przynajmniej przez rok.

W Izbie tymczasem narastał coraz wyraźniej kryzys z powodu irytujących praktyk cenzury i arogancji, z jaką Daladier traktował koła polityczne. Udało mu się go zażegnać jedynie zapewnieniem, iż nie ma on zamiaru pozbawiania parlamentu wszystkich jego uprawnień. Budżet wojenny w wysokości 259 miliardów franków został zatwierdzony.

Pod koniec roku pewna dywizja brytyjska zluzowała kilka jednostek francuskich na linii Maginota. Żołnierze angielscy święcili Boże Narodzenie zajadając różne smakołyki, co wywołało wielkie wrzenie w oddziałach francuskich, gdyż żołnierza francuskiego oburzała świadomość, że jest gorzej opłacany i żywiony niż żołnierz angielski. Piechur francuski otrzymywał dziennie zaledwie kilka sous, podczas gdy brytyjski dostawał 2 szylingi.

W dzień Nowego Roku naczelne dowództwo francuskie ogłosiło uspokajający komunikat, według którego linia Maginota miała być potrojona i przedłużona wzdłuż granicy belgijskiej aż do morza. Nowy Rok rozpoczął się rekonstrukcją rządu angielskiego. Hore-Belisha jako minister wojny ustąpił miejsca Oliverowi Stanleyowi. Pewien pułkownik we francuskim Ministerstwie Wojny powiedział mi, że francus-

ki sztab generalny powitał z zadowoleniem zmiany w gabinecie angielskim. Hore-Belisha popełnił niewybaczalną zbrodnię — usunął kilku starych generałów. — Widzi pan — powiedział mi ów pułkownik — nasi generałowie bardzo nie lubią myśleć, że można by ich zastąpić młodszymi.

W kołach politycznych narastała tymczasem burza przeciwko naczelnemu dowództwu francuskiemu. Skarżono się, że generał Gamelin nie prowadzi wojny z dostateczną energią. Krytykowano go za nadmiar ostrożności i sprzeciwianie się wszelkiej akcji ofensywnej. Jako ewentualnego następcę wysuwano po nim generała Noguès, generalnego gubernatora Maroka. Ale nowy alarm w sprawie Belgii i Holandii ocalił Gamelina. Wrzenie w Izbie nie uspokajało się. Kuluary były zdecydowanie wrogo nastawione do Daladiera. Coraz większa liczba deputowanych żądała zamknięcia sesji parlamentu. — Jeśli Daladier zjawi się w senacie na sesji zamkniętej — powiedział mi Jeanneney — nie uzyska więcej niż setkę głosów.

Grupy Bergery'ego i Lavala zaczęły sugerować, że szefem rządu zamiast Daladiera powinien zostać marszałek Pétain. — Tylko wielki żołnierz — mówili oni — może wyciągnąć Francję z tej straszliwej sytuacji. — Daladier — według nich — był zbyt miękki i zbyt słaby w stosunku do komunistów i do Anglików.

Ale Daladier przygotował kontrofensywę. Z początku powołał w Izbie komisję specjalną do uregulowania sprawy komunistów. Komisja ta zaproponowała usunięcie wszystkich komunistów z urzędów i niedopuszczenie do pełnienia funkcji publicznych. Następnie Daladier zarządził zwołanie nowego posiedzenia Najwyższej Alianckiej Rady Wojennej. Francuzi i Anglicy zdecydowali się na interwencję w Finlandii przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jeżeli Finowie zażądają tego wyraźnie i publicznie.

W pewnym porcie francuskim zgromadzono korpus ekspedycyjny, złożony z pięćdziesięciu tysięcy ludzi gotowych wyruszyć do Finlandii.

Przygotowawszy w ten sposób teren Daladier stanął przed parlamentem na sesji zamkniętej, pierwszej od wybuchu wojny. Trwała ona trzydzieści jeden godzin i zakończyła się udzieleniem Daladierowi wotum zaufania pięćset trzydziestoma pięcioma głosami przeciw zeru, co świadczyło o całkowitej jednomyślności Izby.

Ofensywa tzw. pacyfistów podjęta została wówczas z nową siłą. Największy z dzienników, Le Petit Parisien, powrócił do obozu pacyfistycznego i uczynił aluzję na temat możliwości znalezienia dróg porozumienia z hitlerowcami. Konferencja okręgowych sekretarzy partii socjalistycznej wykazała, że aparat partyjny stał za pacyfistą Paul Faurem.

Opinię publiczną przygotowywano stopniowo do ewentualnej porażki Finów. Jednakże ogłoszenie pokoju między Finlandią i Związkiem Radzieckim, po przełamaniu linii Mannerheima, wprawiło w wielkie zdumienie większość społeczeństwa. Dzienniki zbyt często mówiły o oporze Finów. Daladier musiał zgodzić się na nową sesję zamkniętą w Izbie.

Wyszedł z niej zwyciężony. Tym razem trzystu deputowanych, należących do wszystkich stronnictw, wstrzymało się od głosu, a tylko 239 głosowało za nim.

Trzeci okres kampanii francuskiej kończy się wraz z dymisją Daladiera. Aby ratować gabinet, Daladier o mało nie wtrącił swego narodu w wojnę ze Związkiem Radzieckim. Wysłał w tajemnicy samoloty i czołgi do Finlandii. Brak ich odczuwano później dotkliwie na froncie niemieckim. Pogłębił on zdecydowanie przepaść, jaka dzieliła francuskie społeczeństwo.

Następcą jego był Paul Reynaud.

„Mickey Mouse" parlamentu francuskiego długo oczekiwał, aż wybije jego godzina. Utalentowany adwokat, zręczny parlamentarzysta, należał już do kilku gabinetów.

Pochodził z rodziny bogatej, która zdobyła majątek w Ameryce Południowej. Mały, żywy i ruchliwy, robił wrażenie człowieka gwałtownego i szybko działającego. Wyglądał, jakby się zawsze śpieszył. — Działaj szybko, powiedział kiedyś, oto sekret powodzenia. — Ludzie małego wzrostu wykazują często dużą stanowczość. Reynaud kompensował swój niski wzrost niezwykłą ambicją. Wiele podróżował, kilka razy objechał wokoło świata i bez wątpienia wiele się nauczył. W ciągu lat poprzednich odwiedził wszystkie kraje, które mogły odegrać decydującą rolę w polityce światowej. Mówił biegle po angielsku i po hiszpańsku.

Jego kariera była jednym pasmem sukcesów. Za pierwszym razem, kiedy zabrał głos na konferencji adwokackiej, wybrany został na sekretarza rady adwokackiej miasta Paryża.

W Izbie reprezentował okręg giełdy paryskiej. Uważano go za specjalistę od zagadnień techniki finansowej. W parlamencie zasiadał wśród umiarkowanych, to znaczy na prawicy. Jego kariera polityczna stała się rzeczą pewną w dniu, w którym Clemenceau wyraził się o nim: „Ten komar powinien dobrze kłuć!" Ale talenty jego umniejszał fakt, że był on tylko zręcznym technikiem. Nikt nie umiał trafniej od niego zanalizować zagadnienia i wydobyć na światło jego rysów charakterystycznych. Ale był on tylko technikiem. Naród chciał kogoś, kogo mógłby obdarzyć zaufaniem i w kogo mógłby wierzyć. Nie tylko rachmistrza, choćby nie wiedzieć jak wymownego, który widzi techniczną stronę zagadnienia, ale kogoś, kto dostrzega także jego aspekty ludzkie i społeczne. Tego właśnie brakowało Reynaudowi. Kiedy po Monachium ogłosił swe dekrety z mocą ustawy, kiedy podczas wojny nakładał na ubogą ludność ciężary podatkowe, widział tylko konieczność zrównoważenia swego budżetu, a nie pamiętał o potrzebach człowieka, który musiał je płacić. Rozumiał doskonale życiowe znaczenie motoryzacji w prowadzeniu nowoczesnej wojny. W ciągu lat domagał się, aby Francja miała lepszą armię zmotoryzowaną. Ale plany swe ukła-

dał z pominięciem człowieka, który miał siedzieć w czołgu, prowadzić samochód i obsługiwać działo. Jego znajomość natury ludzkiej nie wykraczała poza giełdę i salony paryskie. Jeżeli znał lepiej historię niż profesor Edouard Daladier, tym niemniej wykazywał na równi z nim całkowitą nieznajomość czynników rozstrzygających o prawach jej rozwoju.

W jego życiu bardzo wielką rolę odgrywały kobiety. W ciągu blisko lat dwudziestu był on przyjacielem hrabiny de Portes, która miała nań znaczny wpływ. Podczas wojny wpływ ten był zgubny dla polityki francuskiej.

Hrabina de Portes była córką inżyniera z Marsylii. Jedna z jej przyjaciółek z lat dziecinnych powiedziała mi, że mimo mało pociągającego wyglądu budziła zawsze duże zainteresowanie u mężczyzn. Kiedy spotkała Paula Reynaud, była już kobietą doświadczoną. Poślubiając hrabiego de Portes, była już przyjaciółką Reynauda. To małżeństwo umożliwiło jej wstęp do paryskich kół towarzyskich i do środowiska wielkiej finansjery. W Paryżu twierdzono, że to środowisko właśnie kształtowało jej poglądy polityczne. Opowiadano również, że w ciągu wielu lat stała za kulisami kilku wielkich afer.

Jednym z jej przyjaciół był Paul Baudouin, przyjaciel Lavala i wielbiciel Mussoliniego. To właśnie hrabina de Portes zorganizowała współpracę dwóch ludzi o tym samym imieniu: Paula Reynaud i Paula Baudouin.

Czwarty okres wojny rozpoczął się z chwilą utworzenia gabinetu Paula Reynaud. Nie był to gabinet pełen świetnych nazwisk, lecz raczej zbiorowisko figur przeciętnych, z których kilka przeszło z gabinetu Daladiera, a kilka z innych rządów poprzednich. Nowością było w nim usunięcie Georges'a Bonneta i pojawienie się na nowo kilku ministrów socjalistycznych. Ministrem spraw wewnętrznych został radykał, senator Henri Roy.

Parlament odniósł się z mściwą wrogością do nowego rządu. Prawica była mu przeciwna z powodu pojawienia się

w nim socjalistów, radykałowie — z powodu upadku ich przewodniczącego Daladiera, co przypisywali po części intrygom Reynauda. Nowy premier powinien był powołać Daladiera na ministra obrony narodowej, jeżeli chciał, aby rząd utrzymał się. Ale ci dwaj ludzie nie lubili się wzajemnie. Podobnie zresztą jak ich przyjaciółki, hrabina de Portes i markiza de Crussol.

Maria Luiza de Crussol d'Uzes miała na Daladiera taki sam wpływ jak hrabina de Portes na Reynauda. Daladier stracił swą żonę mając około trzydziestki. Wkrótce potem nawiązał bliskie stosunki z markizą. Pochodziła ona z bogatej rodziny, która zdobyła majątek na produkcji konserw w Bretanii, tytuł zaś szlachecki otrzymała przez małżeństwo z wnukiem księżnej d'Uzes.

Markiza de Crussol, żywa i pociągająca, utrzymywała w ciągu wielu lat ożywiony salon polityczny. Było to miejsce spotkań dyplomatów, deputowanych i finansistów. W tym właśnie salonie Daladier zawarł sojusz z wielką finansjerą.

Reynauda od upadku jego gabinetu uratowała w Izbie większość jednego głosu. Miał on do czynienia z bardzo wpływową czwórką: z Lavalem, którego wpływy gwałtownie wzrastały w senacie, z Malvy, byłym ministrem, którego Clemenceau chciał skazać za zdradę; z Georges Bonnetem i z Paul Faurem.

Kiedy Reynaud przejmował rządy po Daladierze, najspokojniejsze dni wojny minęły. W połowie marca Mussolini i Hitler spotkali się na przełęczy brennerskiej i gabinet Reynauda poczuł wkrótce skutki porozumienia powziętego przez dwu dyktatorów.

Jako nowy sternik spraw zagranicznych Reynaud miał do uregulowania incydent, który wywołał Daladier. Ten ostatni zażądał od Moskwy odwołania ambasadora sowieckiego w Paryżu. Dyplomata ten przekazał telegraficznie rezolucję kolonii rosyjskiej w Paryżu, która potępiała „francuskich podżegaczy wojennych za ich wrogą postawę w stosunku do Związku Radzieckiego". Jakub Surycz musiał wyjechać.

W chwilach kiedy ważyły się losy Francji, nie było ambasadora francuskiego w Moskwie ani ambasadora sowieckiego w Paryżu. W tym samym czasie natomiast między Paryżem a Rzymem bezustannie kursowali emisariusze.

W kilka dni później Hitler napadł na Danię i Norwegię. Reynaud przemawiał przez radio, występując przeciwko tym, którzy nazywali wojnę „śmieszną". Sam nie wiedział wówczas, do jakiego stopnia miał rację. Oświadczył on poza tym, że Francja kuła broń, która miała poprowadzić ją do zwycięstwa, i gotowa była w każdej chwili jej użyć. Jakże bardzo się mylił!

Wraz z inwazją na kraje skandynawskie wypadki zaczęły toczyć się coraz szybciej. Zdawało się na początku, że Hitler natknął się nareszcie na godnego siebie przeciwnika w postaci floty brytyjskiej i że oddziały jego zostaną odcięte od metropolii. Churchill chełpił się, że Hitler popełnił błąd dający porównać się z inwazją Napoleona na Hiszpanię. Reynaud zjednał sobie wrogi dotąd senat wygłaszając przemówienie optymistyczne. Przedstawił w sposób dramatyczny historię zatonięcia dwudziestu statków niemieckich na wodach norweskich. Korpus ekspedycyjny francusko-angielski wylądował w Norwegii. Ale pod koniec kwietnia aliancka rada wojenna musiała wycofać te oddziały. Jedynie w okolicach arktycznego portu Narvik strzelcy alpejscy, Polacy i Anglicy, bili się nadal z góralami austriackimi. Hitler znów zdołał osiągnąć sensacyjne zwycięstwo, które wkrótce zaciążyło poważnie na postawie małych państw neutralnych.

Właśnie na początku kwietnia Chamberlain zaryzykował twierdzenie, iż Hitler pokpił sprawę. W miesiąc później hitlerowskie oddziały spadochronowe lądowały w Holandii i Belgii. Piąty okres, tragiczna kampania francuska, rozpoczął się.

W ciągu pierwszych godzin dnia uporczywie dzwonił telefon. Donoszono mi o nowej ofensywie Hitlera. Pośpieszyłem na Quai d'Orsay, gdzie sekretarz premiera powiedział mi, że

telefonował właśnie do Londynu. Reynaud, którego spotkałem w tym momencie, zawołał w przejściu: „Armia francuska idzie naprzód".

Czyżby powzięto wielką decyzję? Lub może Hitler chciał zająć tylko morskie i lotnicze bazy Holandii? Paul Reynaud myślał, jak mi oświadczył owego wieczora, że Hitler wszystko rzucił na szalę. Jeśli taki był jego pogląd, przedsięwzięte kroki nie sprzyjały bynajmniej szczęśliwej kontrofensywie francuskiej. Reynaud zamierzał rozszerzyć swój gabinet powołując do niego Louis Marina, starego Lotaryńczyka, szefa prawicy republikańskiej, i Jean Ybarnegaray, wiceprzewodniczącego Krzyżów Ognistych. Aby stawić czoło Hitlerowi, Reynaud powoływał hitlerowca do swego rządu.

Wypadki te tkwią jeszcze całkiem świeżo w mej pamięci. W ciągu minuty Paryż zmienił się, został jak gdyby zelektryzowany, lecz nie było w nim wcale optymizmu; raczej mieszanina obawy, złych przeczuć i ulgi z powodu końca nieznośnej, fałszywej sytuacji.

W Londynie Winston Churchill zajął miejsce Neville Chamberlaina.

W pięć dni po rozpoczęciu ofensywy oddziały hitlerowskie stąpały po ziemi francuskiej. Po raz drugi w ciągu lat dwudziestu pięciu obce armie weszły na terytorium Francji.

W dniu, w którym został przełamany front pod Sedanem, siedzieliśmy w redakcji w oczekiwaniu nowin; depesze oficjalne były optymistyczne. Prywatne informacje nie były równie pomyślne, ale i one nie ujawniały bynajmniej właściwego rozmiaru katastrofy. Odbyłem wędrówkę po ministerstwach: — Sytuacja ogólnie biorąc bardzo poważna, ale przygotowujemy środki zaradcze. —

Holandia kapitulowała, armie francusko-angielskie biły się w ciągłym odwrocie. Reynaud rekonstruował swój gabinet. Powołał doń, jako wicepremiera, Pétaina, przyjaciela Franco, a Daladierowi powierzył ministerstwo spraw zagranicznych; sam zaś objął tekę ministra obrony narodowej. Mianował faszystowskiego generała Weyganda generalissimusem, a Paula

Baudouin — podsekretarzem stanu. Georges Mandel otrzymał sprawy wewnętrzne.

W taki sposób zareagował Reynaud na dojście hitlerowców do kanału La Manche. Armie alianckie zostały rozdzielone i do końca nie mogły się już połączyć. W rządzie rozpoczął swą podziemną robotę, a raczej prowadził ją nadal wezwany przez samego Reynauda wpływowy reprezentant piątej kolumny.

Na pierwszym posiedzeniu gabinetu, którego przebieg opowiedział mi pewien minister, bardzo tym wszystkim przybity — marszałek Pétain zażądał natychmiastowego zakończenia wojny. Weygand oświadczył, że został wezwany o dwa tygodnie za późno. — Żadnej szansy utrzymania się — powtórzył kilkakrotnie. Obaj ci ludzie należeli do tej grupy, która wolała widzieć w Paryżu raczej Hitlera niż Front Ludowy.

Ciosy spadały na Francję, jedne po drugich, w odstępach coraz krótszych. Syreny alarmowe obwieszczały wciąż nowe ataki lotnicze. Fala uciekinierów holenderskich, belgijskich i francuskich przelewała się przez stolicę. Paniczne pogłoski, zrodzone nie wiedzieć gdzie, rozprzestrzeniały się jak pożar w gąszczu leśnym. Pewnego dnia na ulicy przed Quai d'Orsay zaczęto palić akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ponieważ z naczelnego dowództwa zatelefonowano, że w ciągu kilku godzin pojawi się w Paryżu pancerna kolumna niemiecka. Nie pojawiła się wówczas! Hitler musiał przedtem wygrać bitwę w Belgii.

Paryż został ogłoszony jaka strefa przyfrontowa. Zarekwirowano autobusy. Wydano bardzo surowe zarządzenia co do godziny policyjnej. Tysiące emigrantów niemieckich i austriackich zostało zamkniętych w obozach w okolicy Paryża. Piąta kolumna! — Zwalczajcie piątą kolumnę! — głosiły wielkimi czcionkami dzienniki. Można było przypuszczać, że Mandel oczyści w końcu salony paryskie i redakcje dzienników z agentów hitlerowskich. Zamknął on tygodnik J e s u i s P a r t o u t, pismo inspirowane przez hitlerowców, i kazał do-

konać kilku aresztowań. Ale pod koniec maja l'O r d r e skarżył się jeszcze, że „w więzieniach było tysiące komunistów, a zaledwie kilku agentów hitlerowskich".

Trzy armie francuskie, brytyjski korpus ekspedycyjny, resztki armii belgijskiej biły się w odwrocie ku kanałowi La Manche: padło Boulogne, później Calais.

Ale Francja nie osiągnęła jeszcze kresu swej drogi męczeńskiej. Król belgijski, Leopold III, poddał się Hitlerowi. Od przeszło tygodnia setki tysięcy ludzi oczekiwało z trwogą wieści o swych najbliższych z Belgii. Czy ich synowie, mężowie, krewni zdołali się ewakuować?

Nękający atak lotniczy na Paryż zdawał się niemal ulgą. Wiele ludzi w Paryżu nie mogło znieść myśli, że miliony Francuzów cierpiały, podczas gdy oni sami nie byli narażeni na żadne niebezpieczeństwo. W nalocie straciło życie 260 osób, ponadto były setki rannych.

Paryż opustoszał. Setki tysięcy ludzi opuściło miasto. W redakcji poczyniliśmy przygotowania do wyjazdu; rząd poczynił je również.

Bitwa w Belgii została zakończona. Połowa armii francuskich zdołała się wycofać; reszta dostała się w ręce Hitlera.

Bitwa o Francję rozpoczęła się.

Przez dwa dni zdawało się, że będzie można utrzymać front. Ale lewe skrzydło nie wytrzymało. Rozpoczął się odwrót na Paryż.

Gabinet Reynauda został jeszcze raz zrekonstruowany. Daladiera usunięto, Paul Baudouin zajął jego miejsce na Quai d'Orsay.

Rząd opuścił Paryż.

Mussolini wypowiedział Francji wojnę dokładnie w tym momencie, kiedy właściwie była ona już zakończona.

Wyjechałem do Tours.

Paryż z chwili na chwilę oczekiwał wejścia Niemców.

Kraj, który przegrał wojnę, pragnie zawsze ustalić odpowiedzialność za poniesioną klęskę, ale nie zawsze dostrzega właściwych winowajców.

Pétain i Laval zwołali w małym, sennym miasteczku Riom — sąd; miał on ustalić imiona „tych, z których winy kraj przeszedł ze stanu pokoju do stanu wojny". Historia nie uzna wyroku tych ludzi. Rząd Pétaina jest tworem hitlerowców, tak samo jak wszystkie jego akty i zarządzenia.

Francja rozpoczęła wojnę z Niemcami nie mając prawie żadnych widoków powodzenia. Laval storpedował zbiorowe bezpieczeństwo. Polityka nieinterwencji Bluma wywołała rozłam wśród sił, które mogły i chciały opierać się hitlerowskiej agresji. Daladier i Bonnet sprzedali nieprzyjacielowi Czechosłowację, sojuszniczkę Francji. Unicestwili traktat wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim. Właściwie już w Monachium Francja przegrała wojnę. Sytuację można było zmienić tylko przez wpojenie francuskim masom ludowym przekonania, że po Monachium nie wolno już cofnąć się ani o krok więcej; tylko przez utrzymanie społecznego ustawodawstwa Frontu Ludowego; tylko przez prawdziwą współpracę rządu francuskiego ze wszystkimi rządami antyfaszystowskimi. Zamiast tego rząd Daladier — Bonnet prowadził po Monachium nadal, i to w sposób coraz bardziej zdecydowany, swą politykę antyrobotniczą. Na domiar złego Reynaud stanął w obliczu bardzo ciężkiej sytuacji gospodarczej.

W ten sposób, w chwili rozpoczęcia działań wojennych, Francja była rozdarta wewnętrznie i zdemoralizowana przez zdradę, której była świadkiem. Nie miała zaufania do ludzi, którzy nią kierowali.

Przez swych zauszników, zajmujących najważniejsze placówki państwowe, Hitler orientował się we wszystkich posunięciach rządów francuskiego i angielskiego lub Najwyższej Międzyalianckiej Rady Wojennej. Gdy Najwyższa Rada Wojenna postanowiła wysłać na front dywizję angielską, Hitler wiedział już o tym po upływie dwóch godzin.

Kiedy król Jerzy VI udał się na front, radio niemieckie podało do wiadomości miejsca, które odwiedził, wcześniej niż prasa francuska i angielska.

Oczywiście radio hitlerowskie nadawało reportaże na temat kłótni i konfliktów wewnątrz każdego z francuskich rządów. Budził zgorszenie fakt, jak dobrze było poinformowane.

Pierwsze braki techniczne w uzbrojeniu i zaopatrzeniu armii francuskiej ujawnione zostały już na początku wojny. Zima roku 1939-1940 była jedną z najsurowszych zim stulecia. Ale armia francuska nie miała koców. Dlaczego? Po prostu wskutek całkowitego chaosu organizacyjnego.

To samo było z obuwiem. Na wysuniętych placówkach linii Maginota żołnierze francuscy na deszcz, grad i śnieg mieli tylko letnie obuwie. Pisali do domów prosząc o przysłanie im butów odpowiednich na zimę. Jeden z tych listów został opublikowany w pewnym dzienniku wraz z apelem publicznym, wzywającym do zbiórki obuwia dla żołnierzy. Dziennik ten został zaatakowany przez inne gazety za „ujawnianie tajemnic wojskowych nieprzyjacielowi".

W drugim miesiącu wojny pewien robotnik z fabryki samolotów Blocha powiedział, że z powodu braku surowców fabryka konstruowała w tym czasie mniej samolotów niż przed wojną. I rzeczywiście francuska produkcja samolotów osiągnęła poziom przedwojenny dopiero w roku 1940.

Dowództwo naczelne proponowało zakup samolotów w Stanach Zjednoczonych. Minister lotnictwa nie zgodził się na dokonanie większych zamówień, ponieważ fabrykanci francuscy wywierali nacisk, by finansowano ich produkcję. Zamówienie znacznej ilości czołgów i samolotów w chwili rozpoczęcia działań wojennych mogło zmienić przebieg wojny i przekształcić jej charakter.

Podziemne lotniska i fabryki budowano w żółwim tempie, niewiarogodnym nawet w normalnych warunkach pokojo-

wych, a to z powodu stałych zmian zarządzeń i opóźnienia w dostawie materiałów.

Propaganda hitlerowska szalała w całym kraju, propaganda zaś francuska znajdowała się w rękach takich ludzi, jak Giraudoux, wyznawca rasistowskich koncepcji Hitlera, lub Frossard, zdeklarowany monachijczyk, który rozpoczął swoją działalność serią audycji radiowych, atakujących Rosję. Programy radia francuskiego były zresztą tak marne, że nikt nie miał ochoty ich słuchać. Propagandę w językach obcych powierzono ludziom, którzy stracili kontakt ze swymi krajami lub nie rozumieli najelementarniejszych zasad nowoczesnej propagandy.

Cenzura pozbawiała ludność wszelkich poważnych informacji lub informowała w sposób najbardziej fałszywy. Jej szefem był Martinaud-Déplat, były deputowany radykalny, który przy wyborach z roku 1936 wyłamał się spod dyscypliny Frontu Ludowego. Przy głosowaniu wysunął swą kandydaturę, popierany przez prawicę przeciwko komunistom, i przegrał. Był to osobisty przyjaciel Daladiera i zagorzały monachijczyk w obozie pacyfistów. Swój urząd obsadził on głównie emerytowanymi oficerami, z których kilku było ściśle związanych z monarchistyczno-faszystowskim dziennikiem Action Française. Ludzie ci prześladowali zawzięcie wszystkie dzienniki, które występowały przeciwko Monachium. O Włoszech nie wolno było podać żadnej prawdziwej wiadomości. Kiedy pod koniec roku 1939 hr. Ciano zaatakował gwałtownie Francję, prasie francuskiej nie pozwolono pisać o tym przemówieniu. Ale najabsurdalniejsze i najbardziej przypochlebne plotki na temat postawy Mussoliniego były przyjmowane jak najżyczliwiej. To samo dotyczyło najfantastyczniejszych opowiadań o tym, co jakoby działo się w Niemczech, według których Rzesza znajdowała się u progu katastrofy wskutek powszechnego głodu. Znów stawał się modny popularny w roku 1914 obrazek żołnierza niemieckiego, którego można było łatwo skłonić do dezercji ofiarowując mu kawałek chleba. Natomiast kiedy w Hiszpanii

prasa generała Franco rzucała ohydne oszczerstwa na Francję, dziennikom francuskim nie wolno było o tym pisać.

Przemówienia ministrów i członków parlamentu brytyjskiego podlegały cenzurze. Cenzura zajęła się również drugą oficjalną brytyjską Błękitną Księgą. Sprzedawano ją w kioskach przez jeden dzień, po czym władze francuskie wstrzymały sprzedaż i kazały książkę wycofać z obiegu. Dopiero po tygodniu pozwolono na jej ponowną sprzedaż.

Bardzo dużą rolę odegrało w upadku Paryża przekupstwo parlamentu i prasy.

Pewnego dnia Daladier oświadczył przed komisją śledczą, że 80% prasy francuskiej było subwencjonowane przez rząd lub kapitał prywatny. Na dwadzieścia pięć dzienników wychodzących w Paryżu cztery: le Temps, le Journal des Débats, l'Information i la Journée Industrielle były własnością wysoko postawionych osobistości z wielkiego przemysłu. Dziesięć innych korzystało ze znacznej pomocy finansowej dwustu rodzin, trzy były w rękach fabrykanta papieru, Jean Prouvosta, którego Reynaud uczynił ministrem informacji. Dziennik Le Populaire był subwencjonowany przez Paula Reynaud, od czasu kiedy Paule Faure w celu pozbycia się Leona Bluma skłonił organizacje socjalistyczne, aby przestały popierać pismo. Inne dzienniki, „druki prywatne" — tak je nazywano z powodu ich wyjątkowo niskiego nakładu — musiały, jak mi oświadczył redaktor jednego z nich, uciekać się do żebraniny, ażeby móc egzystować. Tylko dwa pisma codzienne, wychodzące w Paryżu podczas wojny, były bezprzecznie antymonachijskie: l'Ordre i l'Epoque.

Instytucja tajnych funduszów dyspozycyjnych w budżecie uświęcała oficjalnie korupcję. Na Quai d'Orsay i w innych ministerstwach na początku każdego tygodnia przygotowywano „zamknięte koperty" dla administratorów i współpracowników różnych pism. Gdy wprowadzono cenzurę, wywołało to ogólne niezadowolenie, gdyż — jak oświadczył jeden

z wydawców — ministrowie, którzy mogą zapobiec atakom przeciwko sobie przy pomocy cenzury, nie będą płacili.

Pewnego dnia, przypadkiem, znalazłem się w biurze jednej z większych agencji informacyjnych w chwili, gdy Daladier przejął od Bonneta ministerstwo spraw zagranicznych. Pytanie, które sobie stawiano, nie brzmiało: — Jaką on będzie prowadził politykę? lecz — kto będzie płacił?

Jeden z popleczników Bonneta, który wypowiadał poglądy ministra w wielkim dzienniku wieczornym, był przed kryzysem monachijskim redaktorem biuletynu informacyjnego, subwencjonowanego przez Czechów. W biuletynie tym zajął on stanowisko antymonachijskie i przez dłuższy czas siedział jednocześnie na dwóch stołkach.

Pewien były deputowany, mający stosunki na Quai d'Orsay, robił każdego ranka przegląd prasy zagranicznej dla Bonneta; otrzymywał za tę pracę 5.000 franków na miesiąc. Lecz z kopią swego przeglądu chodził do Ministerstwa Skarbu, dyktował ten sam przegląd prasy dla Paul Reynauda i tam otrzymywał za swój trud również 4.000 franków. Wieczorem spotykał się z pewnym dziennikarzem zagranicznym, któremu sprzedawał niektóre wiadomości, uzyskane w Ministerstwach Spraw Zagranicznych i Skarbu. Wreszcie kierował codziennym biuletynem informacyjnym, subwencjonowanym przez premiera.

Korupcja parlamentu była również daleko posunięta. Clemenceau mógł powiedzieć z właściwą sobie zgryźliwością: „Parlamentarzyści francuscy robią tylko dwie rzeczy: śpią i biorą pieniądze! Pewien stały bywalec Izby wyjaśnił mi kiedyś całą hierarchię tego systemu przekupstw.

Na dolnych szczeblach drabiny znajdowali się byli deputowani, których spotykało się w kuluarach. Później szli młodzi, którzy stawiali swe pierwsze kroki na arenie politycznej, przeważnie w służbie małych firm. Później deputowani o ustalonej reputacji i wiedzy prawniczej, pozostający w służbie wielkich interesów. U szczytu królowali byli ministrowie,

będący obecnie przewodniczącymi lub dyrektorami potężnych przedsiębiorstw.

Podczas wojny kilku deputowanych dorobiło się niemałej fortuny wyrabiając zwolnienia od służby wojskowej. Informator mój oceniał, że na 608 deputowanych przynajmniej 200 posiadało różne poboczne dochody.

Tajny wywiad wojskowy, tak zwany drugi oddział, był gniazdem korupcji. Ustalono, że niektórzy z jego agentów pracowali dla hitlerowców i że niektóre z osób stojących na jego czele w Paryżu wykorzystywały swe stanowisko dla celów szantażu i przestępczych transakcji handlowych. Znam trzy wypadki, w których emigranci z państw faszystowskich musieli płacić wysokie sumy wyższemu oficerowi drugiego oddziału, aby uzyskać prawo naturalizacji. Uprawiano korzystny handel fałszywymi paszportami; ministrowie byli często informowani o szczególnie jaskrawych wypadkach korupcji, którą zarzucano tej instytucji; nie mogli oni jednak lub nie chcieli nic uczynić w tej sprawie; drugi oddział wydawał się wszechpotężny, ale podczas wojny był on niezdolny do działania.

Tajna policja i służba bezpieczeństwa były częścią aparatu politycznego. Większość ludzi, stojących na ich czele, współpracowała z deputowanymi i mężami stanu. W czasie wojny ujawniono, że piętnastu ludzi z bezpieczeństwa współpracowało z gestapo.

Armia francuska oczywiście również nie była wolna od tych przywar. Była także zarażona korupcją, charakterystyczną dla ostatnich lat Trzeciej Republiki. Wyżsi oficerowie i generałowie zabiegali usilnie o posady w wielkim przemyśle. Przy większych transakcjach uciekali się do pośrednictwa swych oficerów łącznikowych.

Generał Gamelin, który stał na czele armii od roku 1935, musiał być poinformowany o demoralizacji w korpusie oficerskim. Większość oficerów żywiła sympatię dla dyktato-

rów i nie usiłowała nawet maskować swoich uczuć. Gamelin nie uczynił nic, aby oczyścić armię przynajmniej z elementów najbardziej podejrzanych. Został wyznaczony na swe naczelne stanowisko przez przypadek. Stanowisko Weyganda miał w roku 1935 objąć generał Georges. Ale Georges został ciężko ranny w zamachu marsylskim w roku 1934 i Gamelina wyznaczono na jego miejsce. Kariera jego nie była bynajmniej błyskotliwa. Generałowie muszą mieć swoją legendę: trudno byłoby stworzyć legendę dla Gamelina. Był on najmniej godny uwagi spośród francuskich generałów. Należał do sztabu Joffre'a w przeddzień bitwy pod Marną.

Na korzyść Gamelina powiedzieć należy, że nigdy, w przeciwieństwie do swych kolegów, Pétaina i Weyganda, nie brał udziału w spiskach przeciwko republice. Ale ta cnota nie wystarcza, by być naczelnym dowódcą. Jako dowódca armii należał do tych ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za braki i za opóźnienia w uzbrojeniu. Gdyby w swoim czasie, jak to wynikało z jego obowiązków, przestrzegł kogo należy, można by zastosować środki zaradcze. Ponosi on odpowiedzialność za straszliwe niedbalstwo przy budowie linii Maginota, która powinna była być przedłużona aż do kanału La Manche. Linia Maginota nosiła bardzo głośną nazwę, lecz składała się z szeregu rozproszonych w terenie fortyfikacji. To było wszystko.

Na generale Gamelin ciąży wreszcie odpowiedzialność za fatalny manewr armii francuskiej w Belgii. Z sytuacji wynikało bezwzględnie, że armia francuska winna pozostać na z góry przygotowanych pozycjach. Opuszczając je wkraczała w teren nieufortyfikowany i szła naprzeciw nieprzyjaciela posiadającego przygniatającą przewagę w ekwipunku technicznym, motoryzacji i lotnictwie. Ofensywa w Belgii narażała armię francuską na atak z flanki w lesistym rejonie belgijskich Ardenów.

Mówiono, że ministrowie angielscy żądali tej ofensywy. Czy należało bronić portów kanału La Manche czy rejonu Paryża? To stare zagadnienie powróciło w najkrytyczniej-

szej godzinie wojny. Gamelin, wbrew opinii przygniatającej większości członków swego sztabu, postanowił wysłać wojska do Belgii.

Na ósmej armii pod dowództwem generała Corap spoczywał główny ciężar francuskiej ofensywy. Posuwała się ona dość szybko, zajmując w ciągu trzech dni przestrzeń szesnastu kilometrów w głąb. Nie osiągnęła jeszcze pozycji, które, jak mniemano, powinna była osiągnąć, kiedy zmotoryzowane jednostki niemieckie przełamały front; 20% armii Corapa ocalało; reszta zginęła lub wpadła w ręce hitlerowców. Strata z powodu tej katastrofy — czy była to zdrada czy też straszliwa pomyłka — nigdy już nie mogła być wyrównana.

Na podstawie licznych informacji można sądzić, że większa część oficerów z pewnością nie stanęła na wysokości zadania. Brali oni udział w wojnie wbrew swym przekonaniom; nie wierzyli, iż należy prowadzić tę właśnie wojnę. Wielu oficerów rezerwy należało do Krzyżów Ognistych i innych organizacji faszystowskich. Patrzyli na hitlerowców z nieukrywanym podziwem. Nie byli to odpowiedni ludzie, by prowadzić żołnierzy do ataku lub kierować nimi w obronie.

I rzeczywiście — żołnierze, którymi dowodzili, nie mieli do nich zaufania.

Od chwili pierwszych klęsk korpus oficerski wykazywać zaczął od razu oznaki rozkładu i, kiedy kampania francuska wzięła obrót niepomyślny, wielu z nich opuściło swe jednostki i powróciło do rodzin, by ewakuować je z Paryża.

Francja nie została pobita przez Hitlera. Zniszczyła ją od wewnątrz piąta kolumna, która miała potężne wpływy w rządzie, która rządziła wielkim przemysłem, administracją i armią.

Na pokładzie statku, na którym opuściłem Francję, spotkałem jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych handlarzy zbożem we Francji. W chwili rozpoczęcia działań

wojennych znalazł on zajęcie w intendenturze wojskowej. Zainstalował wówczas biura intendentury w swym własnym domu w Paryżu. Później, w maju, uzyskał zwolnienie dzięki hojnym łapówkom. Wyjeżdżał w misji specjalnej do Argentyny.

Rozmawialiśmy długo o tragedii Francji. Zadałem mu pytanie, które często stawiałem sobie samemu:

— Dlaczego się to stało? Dlaczego mogło się to stać?

Odpowiedział mi:

— Ponieważ we Francji było zbyt wiele ludzi takich jak ja!

To cyniczne zdanie było najlepszym wytłumaczeniem, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

SPIS TREŚCI

		str.
	Przedmowa	5
I.	Kapitulacja	11
II.	Od dojścia do władzy Hitlera do zamieszek w Paryżu	22
III.	Regenci Francji	50
IV.	Papa Doumergue, nieudany zbawca	58
V.	Piętnaście miesięcy Lavala	75
VI.	Dwóch Edwardów	104
VII.	Hitler kroczy naprzód, Flandin płacze	112
VIII.	Front Ludowy w akcji	122
IX.	Chautemps: staczanie się po równi pochyłej	154
X.	Monachium	167
XI.	Monachijczycy i antymonachijczycy	196
XII.	Praga	202
XIII.	W przededniu wojny	218
XIV.	Od śmiesznej wojny do wojny błyskawicznej	228



6942/2

15 9